tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 51 (1302)
16-22.12.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

WOJCIECH KUCZOK JAK CO TYDZIEŃ O PIŁCE NOŻNEJ

Prof. Mirosław Bańko
Za bary z językiem

Prof. Andrzej Karpiński
Wspomnienia z życia w trzech ustrojach

Adrian Nowakowski
– pielęgniarz nagrodzony w Sztokholmie

Kornel Wawrzyniak
Ostatnie Pokolenie – przyklejeni do asfaltu

Bogdan Święczkowski

Rzeźnik sprawiedliwości

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
51 >
9 771509 311409

eprasa.pl b9ab29a521

Czytajcie książki ISKIER

ISKRY

PUSZCZA. OPOWIEŚCI KAMPINOSKIE
Lechosław Herz

POWIDOKI CODZIENNOŚCI
Roch Sulima

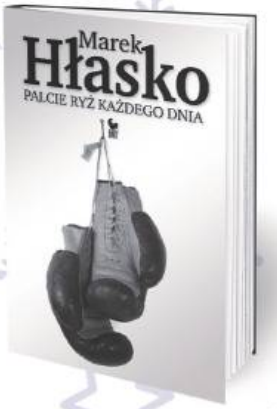

PALCIE RYŻ KAŻDEGO DNIA
Marek Hłasko

TO JEST ZJAWISKO, I NA TO NIE MA RADY
Antoni Kroh

DOM POD WIECZNYM PIÓREM
Jan Polewka

ANTONI PATEK. ZEGARMISTRZ KRÓLÓW. ŚLADAMI ŻYCIA
Beniamin Czapla

ZAJRZYJ NA: www.iskry.com.pl WydawnictwoIskry wydawnictwoiskry

eprasa.pl b9ab29a521

Jerzy Domański

Grand Press obroniony

W imponującym rozmachem i nowoczesnością Muzeum Historii Polski po raz pierwszy wręczono najważniejsze nagrody dziennikarskie Grand Press. Tytuł Dziennikarza Roku 2024 trafił do Andrzeja Andrysiaka, prezesa Stowarzyszenia Gazet Lokalnych i wydawcy „Gazety Radomszczańskiej". Tytuł dla laureata tym cenniejszy, że przyznaje go samo środowisko dziennikarskie. W tym roku głosowało 88 polskich redakcji prasowych, radiowych, telewizyjnych i internetowych. Wyróżniając Andrzeja Andrysiaka, doceniliśmy także to, że media lokalne mają najtrudniej. Tam sprawdza się siła charakterów i wierność zasadom. Wielu dziennikarzy lokalnych patrzy na ręce władzy i nie daje się omamić dobrami materialnymi w zamian za lukrowanie rzeczywistości. Nie ulega naciskom samorządowców i powiązanego z nimi biznesu. To oczywiście część tego środowiska. Najwartościowsza. Niestety, w Polsce nie ma systemu, który by umacniał i popularyzował takie postawy. W tym roku członkiem jury Grand Press był świetnie znany naszym czytelnikom Robert Walenciak, który wręczył pierwszą w 28-letniej historii konkursu nagrodę w kategorii dziennikarstwo lokalne i regionalne. Widzowie TVN 24, która prowadziła transmisję gali na żywo, mogli po raz pierwszy w tej stacji zobaczyć przemawiającego Roberta.

Szczególnie miło jest mi poinformować, że wśród nominowanych do Grand Press 2024 był nasz bardzo zdolny kolega. Kornel Wawrzyniak, jako jeden z piątki, dostał nominację w kategorii publicystyka za tekst „Centralne Polityczne Kuglarstwo". Przyznając nagrody, jury kierowało się wybitnymi walorami warsztatowymi, indywidualnym charakterem materiału oraz najwyższymi standardami dziennikarstwa. Kornelowi i wszystkim laureatom oraz nominowanym gratuluję tych zasłużonych wyróżnień.

A mogło już nie być Grand Press ani tych nagród. W ubiegłym roku doszło do próby wrogiego przejęcia konkursu. Na szczęście przy wsparciu dużej części środowiska nie udało się zagrabić dorobku Andrzeja Skworza, inicjatora i wieloletniego animatora tych cennych wyróżnień. Mam nadzieję, że jeszcze przyjdzie czas na docenienie tego, co zrobił dla naszego środowiska.

Od ubiegłego roku konkurs organizuje Fundacja Grand Press z Weroniką Mirowską na czele. Jej dzielności i wielkim umiejętnościom zawdzięczamy to, co najlepsze w tych nagrodach.

PIERWSZA KSIĄŻKA W POLSCE WYDANA PO WYBORACH

Błyskotliwa analiza amerykańskiej duszy i politycznych wyborów

Jak kupić, s. 16

BĄKOWSKI

CZYTAJ I WSPIERAJ

Drodzy Czytelnicy!

Dzięki Wam wydajemy PRZEGLĄD i kolejne książki.

Jesteśmy WSPÓLNOTĄ ludzi, których łączą poglądy.

Podobnie myślimy i widzimy świat. Mamy własne zdanie.

Jesteśmy niezależni od polityków i biznesu. Razem możemy realizować nowe ciekawe pomysły.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy o darowizny na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta

Każda wpłata ma znaczenie!

eprasa.pl b9ab29a521

W NUMERZE

KRAJ

8 Rzeźnik sprawiedliwości
Pisowski cyngiel prezesem TK

12 Terror histerii czy głos rozsądku?
Czego naprawdę chce Ostatnie Pokolenie

18 Romanowski, oddaj 100 milionów
Test na sprawczość Tuska

20 Finis Europae?
– rozmowa z prof. Andrzejem Karpińskim

38 Zabawy czy za bary z językiem?
– rozmowa z prof. Mirosławem Bańką

42 Ziemia dla rolników
Dzierżawa gruntów z KOWR się opłaca

OPINIE

24 Feng Zhang
Co powiedziałby Konfucjusz
o amerykańsko-chińskiej rywalizacji?

ZAGRANICA

28 Nowy rozdział dla Syrii, epilog dla Asada
Upadek reżimu, ale co dalej?

31 Kłótnia to kwestia czasu
Trump i Musk – duet wybuchowy

34 Sycylia przeciw mafijnym magnesom
Korespondencja z Sycylii

SPORT

36 Pożegnania i pocieszenia
Brychczy – hanys w Legii

KULTURA

46 Wspaniałego Stańczyka mieliśmy
Stanisław Tym scenę miał we krwi

50 Głos po matce
Kurzak – śpiewaczka z talentem aktorskim

53 Qulturalia

66 11. Ogólnopolskie Biennale „Pejzaż ludzki"

ZDROWIE

54 Stefania lubi mówić nie
– rozmowa z Adrianem Nowakowskim

OBSERWACJE

58 Mizofonia, czyli tortury dźwiękiem
Miliony cierpiących, lekceważony problem

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Grand Press obroniony

19 Jan Widacki
Prawo karne w państwie prawa

27 Roman Kurkiewicz
Nie wyrażam zgody
na pociągnięcie mnie do odpowiedzialności

45 Tomasz Jastrun
Zapamiętamy to

49 Wojciech Kuczok
Zegar apokalipsy

34
ZAGRANICA

SYCYLIA PRZECIW MAFIJNYM MAGNESOM
Korespondencja z Sycylii

50
KULTURA

GŁOS PO MATCE
Kurzak – śpiewaczka z talentem aktorskim

54
ZDROWIE

STEFANIA LUBI MÓWIĆ NIE
– rozmowa
z Adrianem Nowakowskim

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl b9ab29a521

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Spacerniak czeka

PIERWSZA KSIĄŻKA W POLSCE WYDANA PO WYBORACH

Spacerniak czeka

Red. Jerzy Domański obiecuje: „Spacerniak czeka". Donald Tusk też konkretnie obiecał (konkret nr 22) postawienie Zbigniewa Ziobry przed Trybunałem Stanu. W listopadzie 2023 r. Ziobro nabijał się z trybuny sejmowej: „Mam nadzieję, że nie okażecie się fujarami". Im dłużej rząd Donalda Tuska zwleka z ukaraniem poprzedników, tym bardziej wydaje mi się prawdopodobne, że działa tak samo jak poprzednicy. Piękna gadka w gębie, a państwowe złoto w prywatnej kieszeni. Bo gdyby sami robili to, co poprzednicy, a któregoś ważnego złodzieja wsadzili do więzienia, to inni z poprzedniej bandy głośno wskazywaliby konkretne nieprawidłowości i wykroczenia rządzących. Towarzysze z poprzedniej pafii (pafia, czyli PArtia maFIA) są doświadczeni, mają wprawne oko i widzą wyraźnie to, czego nie dostrzegają zwykli obywatele. W tym samym numerze „Przeglądu" jest cytat Jacka Żakowskiego o Danielu Obajtku: „Kto lub co chroni teraz Daniela Obajtka? I czy rok to naprawdę za mało, by dołączył do Palikota?".

Józef Brzozowski

Bez rozliczenia PiS nie naprawimy Polski

Teraz rozliczają PiS, a później będzie rozliczana „uśmiechnięta koalicja". Najpierw przez wyborców, a później przez następne komisje. Mnie naprawdę nie interesują komisje, interesuje mnie, kiedy wreszcie wprowadzone w życie zostanie 12 obietnic Tuska z 2007 r. i oczywiście 100 obietnic z 2023 r. Dopiero wtedy Polska będzie naprawiona. A co do rozliczeń, to była okazja postawić Ziobrę przed Trybunałem Stanu. I co? Kopacz i Sikorski nie pojawili się w Sejmie, gdy było głosowanie. Wciąż nie wiem dlaczego.

Waleria Lubner

•

O czym mówić przy tak niskiej jakości kadr w ministerstwach! Skoro w MEN z sześciu osób kierownictwa (w tym czworga posłów) nikt nie miał do czynienia ze zwykłą szkołą od swojej matury (wśród nich oskarżona Joanna Mucha, znana z „sukcesów" w Ministerstwie Sportu), skoro minister Leszczyna od zdrowia jest nauczycielem metodykiem od polskiego, nie wspominając już o Wieczorku, Gawkowskim i Gduli, którzy są obrazem lewicowej nędzy i rozpaczy w rządzie, ani o pani Hennig-Klosce od Hołowni od środowiska. Czy naprawdę w wielkim gronie anty-PiS (pół Polski!) nie było i nie ma nikogo o lepszych kwalifikacjach do kierowania ministerstwami?

Włodzimierz Zielicz

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ranny w izraelskim bombardowaniu czeka przed szpitalem Al-Najjar w Rafah w Strefie Gazy, 13 marca 2024 r. Jedno ze zdjęć roku AFP.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b9ab29a521

53% kobiet lubi lub bardzo lubi czytać, w przypadku mężczyzn odsetek ten wynosi 36% **(raport Biblioteki Narodowej)**.

•

Ponad **400 mld zł wypłacanych jest rocznie z bankomatów**. Wychodzi, że codziennie to ponad 1 mld zł gotówki.

•

Ile rodzin dostaje alimenty od państwa? Tylko 39 tys. Ułamek potrzebujących. Bo **niepłacenie alimentów to w Polsce plaga, z którą nie potrafił sobie poradzić żaden rząd.** I tak pozostanie, dopóki limit dochodowy na osobę będzie wynosił 1209 zł. Spróbujcie za tę kwotę wyżyć. Najwyższa też pora, by państwo skuteczniej egzekwowało obowiązki alimentacyjne od dłużników.

•

TVN i Polsat trafią na **listę podmiotów pod specjalną ochroną**. Ma to związek ze spekulacjami, że amerykański właściciel sprzeda TVN inwestorom sprzyjającym PiS. Warner Bros. Discovery jest tak zadłużony (40 mld dol.), że chce sprzedać stację temu, kto zapłaci więcej.

•

Od 1 czerwca 2024 r. ponownie działa **program in vitro**, na który rząd przeznacza 500 mln zł rocznie. Dzięki programowi są już **5064 ciąże**.

•

Gdy w 2018 r. **Orlen za prezesury Obajtka** podejmował decyzję o wielkiej inwestycji **Olefiny III**, jej koszt szacowano na 8,3 mld zł. W 2024 r. jest to już 45 mld zł, a jeśli policzyć ukryte wydatki, ponad 50 mld zł. Nowy zarząd Orlenu urealnił tę sufitową twórczość Obajtka. Ma być budowana Nowa Chemia za o wiele mniejsze pieniądze.

•

Nagrodę im. Jerzego Turowicza otrzymali **Anne Applebaum** – za dorobek pisarski i dziennikarski oraz cenny wkład w opis historii Europy Środkowo-Wschodniej, a także **warszawski Klub Inteligencji Katolickiej.**

•

Z ponad 62 tys. osób pracujących w obszarze kultury tylko 11% jest zatrudnionych na umowę o pracę, 37% pracuje na umowę o dzieło. Pozostali są na samozatrudnieniu, zleceniach lub nie mają żadnych umów **(„Tygodnik Powszechny")**.

•

Nawet skarbówka zatrudnia na etatach kapelanów. **Krajowa Administracja Skarbowa** w ciągu pięciu lat wydała 5 mln zł na **etaty siedmiu księży**. I 1,5 mln zł tylko w 2023 r. na nagrody roczne i jubileuszowe.

•

Już ponad 28 tys. osób zachorowało w tym roku na krztusiec.

•

Największymi odbiorcami polskich artykułów rolno-spożywczych w 2023 r. były na rynku unijnym Niemcy (13,3 mld euro), Niderlandy (3,2 mld euro), Francja (3 mld), Włochy (2,5 mld) i Czechy (2,4 mld).

•

Coco Gauff zarobiła w tym roku 30,4 mln dol., a **Iga Świątek** 21,4 mln. W większości są to pieniądze z kontraktów reklamowych.

•

Według amerykańskiego dwutygodnika „Forbes" na świecie jest **2781 miliarderów**, którzy zgromadzili **majątek o wartości 14,2 bln dol.**

•

Najczęściej marnowana żywność w Polsce to owoce (27,7%), wędliny (26%), warzywa (25,4%) i pieczywo (20,9%).

PRZEBŁYSKI

W „Tysolu" wreszcie prawda o Orlenie

Daniel Obajtek, jeszcze bez czarnego paska na oczach, wyciął „Tygodnikowi Solidarność" numer, który zaszokował związkowców. Najpierw sypał organowi Dudy kasę z Orlenu i tygodnik puchł od panegiryków na chwałę nowego Dyzmy. Obajtka na szczęście w Orlenie już nie ma, ale umowa sponsorska została. Przydała się nowemu zarządowi Orlenu, który przedstawił na łamach „Tysola" swój pierwszy prawdziwy tekst. Jest dużo lepiej niż za rządów Dyzmy z Pcimia. 20 grudnia Orlen wypłaci dywidendę po 4,15 zł za jedną akcję.

Jeżeli Obajtek zawarł długą umowę z „Tysolem", to będzie się działo. Co tydzień prawda o Orlenie.

Wildstein z kompleksem Kapuścińskiego

Skoro był miś na miarę czasów, to bywają i pisarze na miarę potrzeb. A zapotrzebowanie na literatów jest, zwłaszcza w PiS, ogromne. Niestety, popyt przewyższa podaż. A jak już się trafi literat chętny do współpracy, to na miarę Bronisława Wildsteina. Karmiła go dojna zmiana nagrodami. Udekorowała Orderem Orła Białego. Ale lud pisowski nie rozsmakował się w prozie Wildsteina. Sfrustrowany śladowym czytelnictwem literat Wildstein pojechał z grubej rury po Ryszardzie Kapuścińskim. Bo Polska Agencja Prasowa po przerwie (w latach 2015-2023) przywróciła Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego. Tego Wildstein już nie mógł przeboleć.

Nie dziwimy się. Kapuściński był wielki i pozostanie w historii. A Wildstein? Mógłby na początek nauczyć się pisać.

Młody Sikorski kontra sepleniący narodowiec

Znany głównie z memów Adam Andruszkiewicz, narodowiec z Grajewa, został koordynatorem kampanii internetowej Karola Nawrockiego. Z Andruszkiewicza kpią nawet media dojnej zmiany, bo tak mamrocze, że trudno go zrozumieć. Przytulił go Morawiecki, pozwolił nawet robić za wiceministra. Ale o czym syn ziemi grajewskiej mógł rozmawiać z banksterem? Ze specjalistą od wyciskania sztangi Andruszkiewiczowi jest bardziej po drodze.

Zobaczymy, jak sobie poradzi z Aleksandrem Sikorskim, synem Radosława, który zaczął pomagać Rafałowi Trzaskowskiemu. Świetnie wykształcony i kreatywny Sikorski przebija Andruszkiewicza pod każdym względem. Co oczywiście nas nie martwi.

FOT. YOUTUBE, PLATFORMA X, FACEBOOK

eprasa.pl b9ab29a521

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy Polak zna swoje prawa?

PROF. MAREK CHMAJ,
prawnik, konstytucjonalista

Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Jedni Polacy znają bardzo dobrze swoje prawa, np. więźniowie czy osoby będące w areszcie. Wielu bardzo dobrze sporządza pisma procesowe. W związku z tym sami piszą skargi choćby do Rzecznika Praw Obywatelskich. Mamy więc grupę, która świetnie zna swoje prawa i z nich korzysta. Jest też jednak dużo osób, które nie tylko nie znają swoich praw, ale także ich nie chronią. Bardzo wnikliwie czytamy umowę na dostawę internetu, a nie wczytujemy się w umowę kupna mieszkania czy umowę przedwstępną. Różnica jest taka, że w pierwszym przypadku umowa jest na krótko i na kilkadziesiąt złotych. W drugiej zaś sytuacji chodzi o setki tysięcy złotych i dekady. Bardzo często nie znamy także naszych praw konsumenckich albo posługujemy się nimi tylko w mocno ograniczonym zakresie. Dlatego nieznajomość prawa czy brak chęci nawigowania w gąszczu przepisów obraca się przeciwko nam.

TOMASZ CHRÓSTNY,
prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów

Jeśli chodzi o znajomość praw konsumenckich w Polsce, to jest coraz lepiej. Jako „raczej dobrą" swoją świadomość konsumencką oceniają sami Polacy. Tak wynika m.in. z badania wykonanego na zlecenie Fundacji Forum Konsumentów i firmę Amazon, którego wyniki zostały opublikowane w marcu tego roku. O rosnącej świadomości prawa konsumenckiego świadczy także liczba i treść sygnałów konsumenckich wpływających do UOKiK. Skąd ta poprawa? Przede wszystkim w ciągu ostatnich lat znacząco poprawiło się prawo konsumenckie, ale Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów jako jeden ze strażników tego prawa ma w tym swój udział. To efekt choćby naszych kampanii edukacyjnych czy działań informacyjnych związanych z postępowaniami wobec przedsiębiorców łamiących przepisy.

DR KAMIL STĘPNIAK,
prawnik, Centrum Prawa Konstytucyjnego i Monitorowania Praworządności

Trudno ocenić znajomość prawa wśród rodaków postrzeganych jako pewna całość. Wynika to ze zróżnicowanego wykształcenia, zainteresowań, wpływów środowiska czy wykonywanej pracy. Natomiast można powiedzieć, że ze świadomością Polaków co do ich praw jest trochę tak jak z ludową obrzędowością. Postępujemy w określony sposób, bo żyjemy w określonej kulturze prawnej. Chodzimy na pasterkę, bo taka jest tradycja. Oczywiście uogólniam. Mamy świadomość określonych uprawnień, ale często nie wiemy, z czego one wynikają. Problem pojawia się w momencie, w którym takie prawa jesteśmy zmuszeni wyegzekwować. Tutaj najczęściej sięgamy do wyszukiwarki internetowej, a ona nie jest najlepszym doradcą. Dlatego warto byłoby postawić na edukację prawną już od najmłodszych lat.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl b9ab29a521

Rzeźnik sprawiedliwości

Bogdan Święczkowski powinien zasiadać na ławie oskarżonych, a nie kierować pracami Trybunału Konstytucyjnego

Andrzej Sikorski

Zgodnie z przewidywaniami nowym prezesem marionetkowego Trybunału Konstytucyjnego został Bogdan Święczkowski, ze względu na swoją posturę zwany „Godzillą". Podczas uroczystości wręczenia powołania w Pałacu Prezydenckim Andrzej Duda nie mógł się nachwalić Święczkowskiego. Mówił, że nominat ma „wielkie doświadczenie w instytucjach, których działanie nie jest łatwe" i on „osobiście to doświadczenie obserwował", gdy pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości. A od 2016 do 2022 r. Święczkowski jako prokurator krajowy „niósł na swoich barkach odpowiedzialność za funkcjonowanie całej prokuratury, olbrzymiej instytucji odpowiedzialnej za porządek prawny i bezpieczeństwo państwa, ale i za praworządność obserwowaną od strony interesu publicznego".

Powołanie Bogdana Święczkowskiego na prezesa TK i wystawienie mu laurki jest obrazą państwa i obywateli, prawa i przyzwoitości. Święczkowski nie gwarantuje apolityczności urzędu nie tylko jako były polityk i wiceminister w rządzie PiS. Świeżo powołany prezes TK był najważniejszym prokuratorem i szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Ma wiedzę, którą może wykorzystywać, np. szantażując uczestników postępowań prowadzonych przed TK. Zapewne ma haki na polityków, urzędników państwowych i prokuratorów, a być może nawet na innych sędziów. Niedorzeczne twierdzenie? Każdy, kto tak uważa, powinien dokładnie prześledzić przeszłość Święczkowskiego.

Kolega Zbigniewa Ziobry

Święczkowski karierę zawdzięcza Zbigniewowi Ziobrze, z którym w latach 90. robił aplikację prokuratorską. Łączy ich też rok urodzenia, 1970. Gdy Ziobro był wiceministrem w resorcie sprawiedliwości kierowanym przez Lecha Kaczyńskiego, ściągnął w 2001 r. Święczkowskiego do Prokuratury Krajowej. Tam Święczkowski zajmował się m.in. tropieniem źródeł informacji dziennikarzy piszących niepochlebne teksty o wpływowych ludziach z rządu AWS-UW. Po odwołaniu Kaczyńskiego z funkcji ministra sprawiedliwości został szeregowym prokuratorem w Prokuraturze Okręgowej w Katowicach. Jesienią 2005 r., po wygranych przez PiS wyborach, Ziobro awansował go na dyrektora Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej, gdzie Święczkowski nadzorował wszystkie najważniejsze śledztwa. Miał wtedy ledwie 36 lat i brakowało mu doświadczenia oraz kompetencji, aby zajmować tak ważne stanowisko.

Rządy PiS koncentrowały się wówczas na haśle walki z tzw. układem. Chodziło o nieformalne związki ludzi, którzy kariery zaczęli robić jeszcze w czasach PRL albo mieli rzekomo związki z politykami SLD. Partia Jarosława Kaczyńskiego wzięła na celownik różne grupy zawodowe, m.in. dyplomatów, urzędników państwowych, nauczycieli akademickich, działaczy związków sportowych i lekarzy. Święczkowskiemu przypadło zadanie rozprawienia się z „układem" w prokuraturze. Wytypowano grupę wysokich rangą śledczych, których zaczęto wikłać w absurdalne i wyimaginowane afery.

Dopaść prokuratora Kaucza

Sprawa wyszła przypadkiem. Były zastępca prokuratora generalnego Andrzej Kaucz został wezwany na przesłuchanie do Prokuratury Krajowej, która prowadziła śledztwo dotyczące nielegalnego obrotu ziemią z zasobu Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Jeden z podejrzanych po wielu latach przypomniał sobie, że Kaucz może być zamieszany w proceder przestępczy. Prokurator Kaucz zeznał: „Chcę wskazać na przyczyny, dla których niniejsze postępowanie zostało zainicjowane. Po objęciu funkcji Prokuratora Generalnego przez Zbigniewa Ziobrę, w kilka miesięcy później Dyrektorem Biura Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej został pan Święczkowski. W drodze kontaktów z Ministrem Sprawiedliwości Prokuratorem Generalnym ustalono listę osób z Prokuratury Krajowej, co do których założono, że za wszelką cenę należy wobec nich wszcząć postępowania dyscyplinarne, a nawet karne. Na czele tej listy znalazła się prokurator Małgorzata Wilkosz-Śliwa. Ja również figurowałem w składzie tej

Powołanie Bogdana Święczkowskiego na prezesa TK i wystawienie mu laurki jest obrazą państwa i obywateli, prawa i przyzwoitości.

eprasa.pl b9ab29a521

Podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim Andrzej Duda nie mógł się nachwalić Bogdana Święczkowskiego, który przyjął też gratulacje od Julii Przyłębskiej.

grupy. (…) Pan Święczkowski polecił pionowi PZ (przestępczości zorganizowanej – przyp. A.S.) dokonać kwerendy prowadzonych spraw karnych, gdziekolwiek pojawiały się nasze nazwiska. W przypadku mojej osoby na skutek informacji uzyskiwanych z prokuratur w Polsce, gdzie przewijało się moje nazwisko, byłem przesłuchiwany w charakterze świadka. Te przesłuchania miały miejsce m.in. w Prokuraturze Okręgowej w Rzeszowie, gdzie byłem przesłuchiwany w sprawie żądania przeze mnie korzyści majątkowej w kwocie 200 tys. zł w zamian za umorzenie postępowania dotyczącego firmy »1 Przemysłowa«. Nadto w tej samej prokuraturze byłem przesłuchiwany w sprawie Wiesława Huszczy na okoliczność udzielenia mu pomocy w załatwianiu transakcji, poprzez wskazanie skutecznego adwokata. W Prokuraturze Okręgowej w Gdańsku byłem przesłuchiwany w sprawie mafii paliwowej na okoliczność zawiązania przeze mnie agenturalnej siatki byłych funkcjonariuszy i rezydentów Stasi w Polsce po 1989 r. Następne postępowanie, w którym występowałem i byłem przesłuchiwany kilkakrotnie, najpierw w Prokuraturze Okręgowej w Opolu, a następnie w Prokuraturze Apelacyjnej w Katowicach, to była sprawa dotycząca narady u prokuratora Napierskiego i wypuszczenia z Polski Edwarda Mazura (podejrzewanego o zlecenie zamordowania komendanta głównego policji Marka Papały – przyp. A.S.). Przypominam sobie jeszcze jedno postępowanie, prowadzone przez Prokuraturę Okręgową w Gdańsku, a dotyczące przyjęcia przez Jerzego Jaskiernię kwoty 10 mln zł (…) w zamian za lobbing w sprawie ustawy medialnej, o czym miałem powziąć wiedzę podczas strzelania organizowanego dla prokuratury przez UOP w Warszawie, a następnie nie nadałem biegu tej sprawie. Te wszystkie postępowania miały miejsce na przestrzeni półtora roku. Wszystkie te postępowania zostały umorzone. W paru przypadkach prokurator Święczkowski osobiście interesował się biegiem spraw, interweniował w ich przebieg u referentów, przepytując ich na okoliczność podstaw decyzji o umorzeniu, dając im polecenia znalezienia innych spraw".

Święczkowski próbował dopaść Kaucza ponownie, gdy w 2016 r. został prokuratorem krajowym. Wobec niepokornego prokuratora (który przeszedł w stan spoczynku) wszczęto postępowanie dyscyplinarne tylko dlatego, że krytykował publicznie upolitycznienie prokuratury. Proces przed sądem dyscyplinarnym się nie odbył, Kaucz zmarł na skutek wylewu w marcu 2019 r.

Wrobić Barbarę Blidę

W 2006 r. Święczkowski został szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To on przygotowywał prowokację wobec Barbary Blidy i to on odpowiada za jej śmierć. Podczas przesłuchania przed sejmową komisją śledczą stwierdził, że Blida „dopuściła się szeregu przestępstw korupcyjnych na kilkaset tysięcy złotych" i tylko śmierć sprawiła, że uniknęła kary.

„Proszę mieć szacunek dla zmarłej. Niech pan pamięta, że Barbara Blida nie może się bronić", upominał Święczkowskiego przewodniczący komisji Ryszard Kalisz. „Ani pan, ani ja nie włożyliśmy jej broni do ręki. Jestem przeciwny robieniu z niej bohatera", odpowiedział bezczelnie Święczkowski.

Blida wcale nie popełniła samobójstwa, jak głosi pisowska propaganda. Ktoś jej w tym „pomógł". Z ustaleń komisji śledczej wynika, że między Blidą a pilnującą ją funkcjonariuszką ABW doszło do szamotaniny. Gdy broń wypaliła, funkcjonariuszka uciekła z łazienki i usiadła w fotelu, jak gdyby nic się nie stało. Ślady z miejsca tragedii zostały dokładnie zatarte. Ciało Blidy było nienaturalnie ułożone, co wykluczało wersję samobójstwa. Wytarto odciski palców z rewolweru. Na kurtce funkcjonariuszki nie było śladów prochów strzelniczych, nie było krwi Barbary Blidy. Jak się okazało, kurtka została podmieniona.

To nadzorowana przez Święczkowskiego ABW zmontowała polityczną hucpę, jaką było wmieszanie popularnej i powszechnie lubianej byłej posłanki SLD w tzw. mafię węglową. Przebywająca w areszcie pod zarzutami korupcyjnymi śląska bizneswoman Barbara Kmiecik po nieformalnych wizytach funkcjonariuszy ABW została nakłoniona przez

eprasa.pl b9ab29a521

nich do współpracy. Postawiła warunek: będzie mówić, ale musi wyjść na wolność. Sąd uchylił wobec niej areszt, a ona kilka dni po opuszczeniu celi zaczęła składać zeznania obciążające Blidę. ABW dysponowała też opowieściami byłego posła SLD Ryszarda Zająca, który gdzieś słyszał, że Kmiecik opłacała Blidę. Choć zeznania te nie były warte funta kłaków, machina osaczania nabrała tempa.

Do centrali ABW w Warszawie (z pominięciem drogi służbowej) wezwano katowickiego prokuratora Tomasza Balasa, który spotkał się ze Święczkowskim, jego zastępcą Grzegorzem Ocieczkiem i szefem delegatury ABW w Katowicach Rafałem Śliwińskim. Funkcjonariusze policji politycznej nakazali prokuratorowi przyśpieszenie śledztwa w sprawie Barbary Blidy. W lutym 2007 r. w kancelarii premiera Jarosława Kaczyńskiego odbyła się narada, na której Ziobro i Święczkowski referowali sprawę mafii węglowej. Święczkowski twierdził, że sprawa jest „hiciorem" i „przez Blidę można wyjść na osoby z wierchuszki SLD".

Dwa dni przed zatrzymaniem Blidy w ośrodku ABW w Magdalence doszło do kolejnego nieformalnego spotkania. Wzięli w nim udział m.in. Kaczyński, Ziobro i Święczkowski, który dysponował już zarzutami, jakie miała usłyszeć była polityczka SLD. Mówił, że jeśli Blida zostanie aresztowana, na pewno coś powie. Wobec zgłaszanych wątpliwości, czy sąd zastosuje wobec niej areszt, Święczkowski stwierdził, że „jest to już załatwione". I nie był gołosłowny, gdyż w tym samym czasie prezesem Sądu Okręgowego w Katowicach została Monika Śliwińska, znajoma Święczkowskiego i jednocześnie żona jego podwładnego – dyrektora delegatury ABW w Katowicach. Okazało się, że to Święczkowski podsunął Ziobrze kandydaturę Śliwińskiej, a ten przedstawił ją śląskiemu zgromadzeniu sędziów. Gdy sprawa wyszła na jaw, oburzenia nie krył Stanisław Dąbrowski, przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa, twierdząc, że służby specjalne w demokratycznym państwie nie powinny ingerować w działalność samorządu sędziowskiego.

Gdy w 2016 r. Święczkowski został prawą ręką Ziobry i prokuratorem krajowym, wrócił do praktyk szukania haków i wrabiania przeciwników politycznych PiS w przestępstwa.

Zatrzymanie Barbary Blidy zaplanowane było jako przedstawienie medialne. Ziobro miał wystąpić na specjalnej konferencji prasowej. Na Śląsk udali się Święczkowski i jego zastępca Ocieczek. Przed komisją śledczą łgali, że znaleźli się tam przypadkiem. Ocieczek twierdził, że był na pogrzebie kolegi, ale nie pamiętał jego nazwiska (sic!) ani nazwy miejscowości, gdzie znajomy był chowany. Święczkowski z kolei miał załatwiać sprawy prywatne.

Tymczasem dwa dni przed zatrzymaniem Blidy instruował podwładnych w katowickiej delegaturze co do sposobu przeprowadzenia aresztowania.

Wałęsa, Brochwicz, Kwaśniewscy

Święczkowski próbował też dopaść Jarosława Wałęsę. Pretekstem była zdobyta drogą operacyjną informacja, że eurodeputowany Platformy Obywatelskiej miał prowadzić wspólne interesy z gangsterami. Nie mając pewności, że informacja jest prawdziwa, poinformował o wszystkim Jarosława Kaczyńskiego. Według byłego szefa MSWiA Janusza Kaczmarka prezes PiS miał wtedy powiedzieć, że „przez młodego wyjdziemy na starego". Mimo szeroko zakrojonej akcji zbierania haków niczego na syna Wałęsy nie znaleziono.

Święczkowski odpowiada ponadto za nielegalną inwigilację mecenasa Wojciecha Brochwicza, byłego oficera UOP, związanego z politykami PO. Konsekwencji nie poniósł, gdyż na uchylenie mu immunitetu prokuratorskiego nie zgodził się Odwoławczy Sąd Dyscyplinarny przy Prokuratorze Generalnym. Podobnych spraw Święczkowski ma na sumieniu więcej. Jak ujawnił były szef ABW gen. Krzysztof Bondaryk, inwigilował ludzi na zlecenie Ziobry. Brał materiały operacyjne z klauzulą ściśle tajne nawet na dwa tygodnie. Czasami było to odnotowywane, czasami nie. Potwierdził to również Janusz Kaczmarek w książce „Cena władzy" – wspominał w niej, że Święczkowski zanosił teczki z hakami na znanych ludzi Kaczyńskiemu i Ziobrze.

O zbieraniu na zlecenie Święczkowskiego materiałów obciążających polityków lewicy mówił prokurator Marek Wełna. W 2006 r. Święczkowski wydał Wełnie polecenie

Święczkowski ma wiedzę, którą może wykorzystywać, zapewne ma haki na polityków, urzędników państwowych i prokuratorów, a może nawet na innych sędziów.

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

eprasa.pl b9ab29a521

wystąpienia do austriackich organów ścigania o przekazanie 138 kaset, na których zarejestrowano podsłuchy rozmów telefonicznych między Jolantą Kwaśniewską a biznesmenami Andrzejem Kuną i Aleksandrem Żaglem, które miały wskazywać na nieprawidłowości w fundacji Porozumienie bez Barier prowadzonej przez prezydentową. Według Wełny „Święczkowski, Ziobro i Kaczmarek mówili wprost, że takie są oczekiwania pana Jarosława Kaczyńskiego". Za pierwszych rządów PiS prokuratura prowadziła kilka śledztw w sprawie m.in. rzekomych malwersacji w Porozumieniu bez Barier oraz nielegalnego finansowania fundacji Amicus Europae założonej przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Wszystkie sprawy zakończyły się umorzeniem.

Gdy w 2016 r. Święczkowski został prawą ręką Ziobry i prokuratorem krajowym, wrócił do praktyk szukania haków i wrabiania przeciwników politycznych PiS w przestępstwa. Spotkało to m.in. Romana Giertycha oraz Bartosza Kramka i jego żonę Ludmiłę Kozłowską z Fundacji Otwarty Dialog. Taką sprawą było też śledztwo wszczęte jeszcze za pierwszych rządów PiS i umorzone w 2010 r., a dotyczące nielegalnego pochodzenia majątku Aleksandra Kwaśniewskiego, czyli słynnej willi w Kazimierzu Dolnym. Jak dziś już wiemy dzięki skruszonemu „agentowi Tomkowi", czyli Tomaszowi Kaczmarkowi, dowody zostały spreparowane. Mimo to na polecenie Święczkowskiego w 2016 r. śledztwo wobec byłego prezydenta zostało podjęte na nowo i ponownie w 2022 r. umorzone.

Na celowniku znaleźli się także prokuratorzy, którzy nie chcieli iść na współpracę z PiS i krytycznie recenzowali poczynania Zbigniewa Ziobry w wymiarze sprawiedliwości. Byli to m.in. Mariusz Krasoń, Ewa Wrzosek, Daniel Drapała, Katarzyna Kwiatkowska, Artur Matkowski, Jarosław Onyszczuk i Katarzyna Szeska. Podpadniętych prokuratorów w ramach represji zsyłano na delegacje do odległych jednostek, wszczynano też wobec nich postępowania dyscyplinarne. Nękano nawet tych prokuratorów, którzy stawali w obronie szykanowanych.

W służbie PiS

Święczkowski jako prokurator krajowy regularnie był widywany w siedzibie PiS przy Nowogrodzkiej w Warszawie. Gdy zapytałem rzeczniczkę Prokuratury Krajowej o cel tych wizyt, usłyszałem, że załatwiał sprawy prywatne (sic!). Jednak moi informatorzy twierdzili, że Święczkowski spotykał się z Jarosławem Kaczyńskim, przekazując mu informacje z prowadzonych śledztw, m.in. w sprawie byłego męża Marty Kaczyńskiej Marcina Dubienieckiego, reprywatyzacji w Warszawie czy niegospodarności na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu.

Analizując funkcjonowanie prokuratury pod rządami Święczkowskiego, można odnieść wrażenie, że stworzył on dobrze zorganizowaną grupę przestępczą, której zadaniem było niezasadne wszczynanie śledztw wobec przeciwników PiS i chronienie tych osób, które dopuściły się przestępstw, a były związane z ówczesnym obozem władzy. Szokuje przykład syna byłego prezesa TVP i europosła PiS Jacka Kurskiego. Przeciw Zdzisławowi Antoniemu Kurskiemu wysunięte zostało oskarżenie o wielokrotne zgwałcenie nieletniej. Jak ujawniła „Gazeta Wyborcza", śledztwo zostało skręcone, a prokuratura pominęła istotne dowody świadczące o winie ustosunkowanego młodzieńca. Teraz usłużne politycznie prokuratorki Grażyna Wawryniuk, która prowadziła śledztwo (wieloletnia rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Gdańsku), oraz jej szefowa w latach rządów PiS Teresa Rutkowska-Szmydyńska prawdopodobnie trafią na ławę oskarżonych.

Prokuratorów, którzy dopuszczali się przestępstw i sprzeniewierzyli ślubowaniu, jest więcej. Były już prokurator regionalny w Lublinie Jerzy Ziarkiewicz teczki z niewygodnymi sprawami ukrywał w garażu. Jak ujawnił minister Adam Bodnar, takich politycznych śledztw toczyło się ok. 200 i są one teraz przedmiotem analizy specjalnego zespołu prokuratorów. Audyt tych spraw ma zostać ujawniony do końca grudnia i, jak wiele wskazuje, będzie podstawą do przygotowania licznych aktów oskarżenia wobec nieuczciwych prokuratorów, w tym być może Bogdana Święczkowskiego.

Andrzej Sikorski

Hydra IPN

Paweł Dybicz

Instytut Pamięci Narodowej przeistacza się w hydrę, która pożera coraz większe kwoty z budżetu państwa, przeznaczane przez parlament. I na dobrą sprawę nieważne, kto rządzi – PiS czy Platforma i jej koalicjanci, w tym Lewica, z roku na rok IPN dysponuje funduszami, których inne instytucje, szczególnie placówki naukowe, mogą tylko pozazdrościć. Jak to możliwe?

Budżet IPN z roku na rok rośnie jak na drożdżach. Od 396 mln zł w 2020 r. do 434 mln w 2022 r., 539 mln w roku następnym, by w 2024 osiągnąć prawie 580 mln zł. Ale nawet ten kolosalny wzrost nie zmniejszył apetytów IPN, który w tym roku wystąpił o zwiększenie budżetu na 2025 r. do 652 mln zł, czyli o 71 mln.

W IPN zatrudnionych jest ponad 2,5 tys. osób, a ich wynagrodzenia stanowią przeszło połowę wydatków na instytut. Ta potężna armia ludzi z pewnością zostanie wykorzystana w kampanii wyborczej prezesa Karola Nawrockiego, „obywatelskiego kandydata" z nadania PiS, a konkretnie z pakietu prezesa Kaczyńskiego.

Posłowie koalicji rządzącej, którzy się cieszą, że dokonali cięć w budżecie IPN, muszą pamiętać, że żadne ograniczanie kwot przeznaczanych na ten instytut nie przyniesie zmiany w tym, co ta instytucja głosi, czyli w prymitywnej interpretacji historii Polski. Tę swoistą policję historyczną trzeba potraktować jak hydrę, pozbywając się ostatecznie. Pytanie tylko, kto się okaże polskim Heraklesem. ■

eprasa.pl b9ab29a521

TERROR HISTERII czy GŁOS ROZSĄDKU?

Aktywiści Ostatniego Pokolenia blokują drogi. Premier straszy więc ekologów. Establishment obraża się na premiera. Pytanie, gdzie się podział rozsądek

Kornel Wawrzyniak

„Patrzę właśnie na zakrwawiony fotel pasażera w moim samochodzie. Kilka tygodni temu moja partnerka dostała krwotoku po operacji ginekologicznej. Karetka, co zdarza się w takich przypadkach, stwierdziła, że musimy jechać do szpitala sami, bo nie są taksówką. Co to ma wspólnego z ekologią? Gdyby Ostatnie Pokolenie tego dnia przerwało blokadą Wisłostrady mój szaleńczy rajd do szpitala, dziś pisałbym te słowa znad grobu ukochanej osoby. Tamtego poranka każda minuta była kwestią życia i śmierci. Nie miałbym czasu na rozpaczliwe tłumaczenie i udowadnianie fanatykom, że interes jednostki może być ważniejszy niż interes planety", pisze w liście do redakcji czytelnik „Przeglądu".

Tusk zapowiada

Establishment oburzył się na Donalda Tuska, który po kolejnych blokadach Wisłostrady przez aktywistów ekologicznych z Ostatniego Pokolenia zapowiedział, że nakaże służbom bezwzględne traktowanie blokujących. „Blokowanie dróg, niezależnie od politycznych intencji, stwarza zagrożenie dla państwa i wszystkich użytkowników dróg. Wezwałem dziś odpowiednie służby do zdecydowanego reagowania i przeciwdziałania takim akcjom", napisał premier w serwisie X.

Takie słowa budzą zaniepokojenie. Wyrazili je już działacze opozycji demokratycznej, pierwszej Solidarności, ludzie kultury i nauki oraz środowisko prawnicze z prof. Moniką Płatek i prof. Hanną Machińską na czele. Trudno nie zgodzić się z postulatem, że zamiast straszyć młodzież, należy z nią rozmawiać. Warto jednak rozważyć, jak chcemy jako społeczeństwo definiować pojęcie aktu obywatelskiego nieposłuszeństwa. Jeśli potraktujemy to pojęcie zbyt szeroko, w konsekwencji możemy otworzyć wielu organizacjom furtkę do działań zakrawających na terroryzm. Z jednej strony, nie chcemy agresji na Marszach Niepodległości, narzekamy na utrudnienia z nimi związane, część warszawianek i warszawiaków 11 listopada nie chce wychodzić z domu. Z drugiej, Ostatniego Pokolenia tej samej bańce jest żal, bo to w większości nastolatki siedzące na zimnej jezdni w słusznej sprawie.

Piotr Beniuszys, publicysta czasopisma „Liberté!", uważa, że forma, jaką przybrały protesty Ostatniego Pokolenia, jest nie do zaakceptowania: „Ostatnie Pokolenie nadużywa przysługującej w demokracji wolności zgromadzeń. Zamiast demonstrować swoje poglądy w sposób zgodny z zasadami współżycia społecznego i prawem, brutalnie ogranicza wolność współobywatelom".

W całym tym emocjonalnym zgiełku zatraciło się chyba jednak meritum. Kombatanckie wspomnienia walki o demokrację z ostatnich ośmiu lat czy z lat 80. przysłoniły szerszy kontekst. Rozpatruje się bowiem jedynie fakt, czy ktoś ma prawo protestować. A odpowiedź na to pytanie jest oczywista: tak. Uporządkujmy wobec tego dyskurs i zacznijmy od nieposłuszeństwa obywatelskiego, którego wszyscy chcą bronić. To wyrażanie sprzeciwu wobec władzy poprzez łamanie prawa.

Osobą, dzięki której to hasło zapisało się na kartach historii, był XIX-wieczny amerykański filozof, poeta i pisarz Henry David Thoreau. Odmówił on płacenia podatków, aby się sprzeciwić przyzwoleniu na niewolnictwo i prowadzenie wojny z Meksykiem przez Amerykę. Wolał pójść do więzienia, niż dorzucić się do takich działań. Thoreau pisał, że najpierw należy być człowiekiem, a dopiero potem obywatelem. Przekonywał, że dobry obywatel musi się kierować własnym sumieniem

eprasa.pl b9ab29a521

Jedni współczują: nastolatki siedzące na zimnej jezdni w słusznej sprawie. Drugich blokowanie przejazdu tylko zraża. Nz. akcja na stołecznej Wisłostradzie 13 grudnia 2024 r.

i nie może z niego rezygnować. A już na pewno nie może oddawać kontroli nad swoim sumieniem przedstawicielom władzy. Współczesny amerykański filozof John Rawls (zm. 2002) zdefiniował zaś nieposłuszeństwo obywatelskie jako „publiczny, pozbawiony przemocy, kierowany sumieniem, polityczny akt sprzeciwu wobec prawa, zwykle podejmowany w celu doprowadzenia do zmiany prawa lub polityki rządu".

uzyskanie wpływu na tok wydarzeń. Pomiędzy klimatycznym denializmem a klimatyczną histerią jest cała paleta godnych polecenia postaw".

Ekolodzy w każdym domu

„Od 40 lat wiemy o zmianie klimatu, były raporty, były petycje, marsze, międzynarodowe negocjacje. Nic nie przyniosło zdecydowanych działań", mówiła w OKO.press

Ostatnie Pokolenie jest kalką niemieckiej organizacji Letzte Generation.

Należy tu się zastanowić nad środkami, którymi postanowili operować aktywiści. Beniuszys pisze: „Tym ludziom (kierowcom w godzinach szczytu – przyp. red.) na drodze staje grupka aktywistów, która blokuje ruch, rozwija transparenty, przykleja się do asfaltu i twierdzi, że »nie ma innego wyjścia«. To nieprawda. Innych wyjść jest bez liku i działacze ekologiczni poprzednich pokoleń pokazali te możliwości. W demokracji możliwością jest nie tylko aktywizm, ale i wejście do polityki, zdobycie poparcia, zbudowanie lobby i w efekcie

Julia Keane z Ostatniego Pokolenia. Działaczka powołuje się jednak wyłącznie na doświadczenia innych, nie na działania własnej organizacji. Dodatkowo należy brać pod uwagę to, że Ostatnie Pokolenie jest kalką niemieckiego Letzte Generation. Pomińmy na chwilę fakt, że LG zostało uznane za organizację przestępczą. Jego „dokonania na rzecz planety" obejmują np. uziemienie 10 tys. osób, gdy w lipcu br. aktywiści przykleili się do płyty lotniska we Frankfurcie nad Menem. Nie użyli wtedy tzw. superkleju, który dość łatwo się

rozpuszcza, ale specjalnej mieszanki budowlanej. Kiedy taka substancja twardnieje, grozi to nawet amputacjami. W kwietniu zeszłego roku stanął zaś cały Berlin. Aktywiści zablokowali 40 newralgicznych skrzyżowań, paraliżując miasto. Tutaj również w użyciu był mocniejszy klej. Drogowcy musieli skuwać fragmenty jezdni, aby usunąć demonstrantów. Wspomniany Rawls w swojej definicji obywatelskiego nieposłuszeństwa podkreśla brak przemocy. Czy wywoływanie w kimś strachu, że być może nie dotrze do szpitala, nie jest już przemocą? I czy na potencjalnym samookaleczaniu się aktywiści poprzestaną?

Łatwo skrzywdzić drugiego człowieka, kiedy jednostka założy, że robi coś dla wyższych celów. Według Jeremy'ego Benthama, angielskiego filozofa i prawnika z przełomu XVIII i XIX w., ludzkie postępowanie jest moralne wtedy, gdy dąży do realizacji zasady największego szczęścia największej liczby ludzi. W tym ujęciu można oczywiście stwierdzić, że w rachunku ogólnego szczęścia ratowanie planety stoi ponad byciem na czas na rozmowie o pracę. Takie myślenie jest zagrożeniem dla społeczeństwa. Warto też pamiętać, że rok 1989 już dawno za nami. Polska jest całkiem sprawnie funkcjonującą demokracją. Ta zaś oferuje pełen wachlarz działań, jeśli chce się mieć jako obywatel wpływ na zmiany dookoła.

Słabość Benthamowskiego rachunku szczęśliwości dostrzegał nieco późniejszy filozof John Stuart Mill, który do podstawowych wolności obywatelskich zaliczał wolność zgromadzeń, zrzeszania się i tworzenia grup nacisku; wolność wygłaszania publicznie swoich poglądów oraz zakaz prześladowania za poglądy inne, niż ma większość. Również Mill zasłynął maksymą, że wolność jednego człowieka kończy się tam, gdzie się zaczyna wolność drugiego.

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl b9ab29a521

Z jakiego powodu Ostatnie Pokolenie stawia więc siebie ponad innych obywateli? Dlaczego nie można zapowiedzieć zorganizowania blokad dróg? Warszawa i tak się zakorkuje. Jeśli kierowcy musieliby jechać jednym pasem Wisłostrady, kiedy dwa kolejne są zablokowane, to zdążyliby przeczytać transparenty aktywistów. Uprzedzanie o blokadach może skłonić do jazdy komunikacją miejską. Aktywizm powinien polegać raczej na myśleniu i wdrażaniu strategii w miejsce robienia poruty i komunikowania w mediach społecznościowych, że „przykro nam, ale trzeba".

Ostatnie Pokolenie twierdzi, że przez dziewięć miesięcy nie doczekało się reakcji premiera. Warto jednak zadać sobie pytanie nie tylko o to, z czym zwrócili się do rządu, ale i o to, co przez te dziewięć miesięcy robili. Według naszych źródeł w środowiskach ekologicznych i specjalistów od transportu Ostatniego Pokolenia nie było widać albo nie odpowiadało na zaproszenia do udziału w dyskusjach. – Zapraszaliśmy Ostatnie Pokolenie jako Wykluczenie Transportowe do wielu akcji, ale zwrócili się do nas dopiero ostatnio, jakieś trzy miesiące temu, abyśmy poparli ich postulaty. Niestety, nie możemy poprzeć czegoś, co nie działa, nie ma poparcia w danych, a w konsekwencji może działać destrukcyjnie na rozwój transportu publicznego – wspomina Iwona Budych, prezeska Stowarzyszenia Wykluczenie Transportowe.

Warto zauważyć, że aktywiści zwrócili się do rządu z ultimatum. Na ich stronach nie ma zaś żadnych danych na poparcie wystosowanych żądań. Czy mówią o rzeczach oczywistych w kontekście zmian klimatu? Owszem. Jednak bez podparcia się faktami postulat biletu na wszystkie połączenia za 50 zł wydaje się jedynie kalką działań Letzte Generation, które żąda biletu za 9 euro. – Zarówno my, jak i inne stowarzyszenia mówimy o konkretnych zmianach. Ujednolicenie ulg w transporcie publicznym, zwrócenie uwagi na Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych, który generuje wiele problemów przy naborze wniosków. I mimo głoszonych postulatów Ostatnie Pokolenie o tym nie mówi. Oni ogólnie nie skupiają się na rzeczach ważnych w kontekście transportu publicznego. Wprowadzenie biletu za 50 zł niczego nie zmieni. Takie działanie mogłoby raczej pogrążyć budżety ubogich gmin, w których siatka połączeń nawet w tej chwili jest słaba. Nadchodzący 2025 r. będzie jeszcze większym wyzwaniem, bo już teraz widać, że wiosną przyjdzie kryzys związany ze skokowym wzrostem cen za tzw. wozokilometr – komentuje Iwona Budych.

Terroryzm w słusznej sprawie

Trzymając się społecznego przyzwolenia na naruszanie wolności współobywateli, podążymy bardzo krótką ścieżką do terroryzmu. Obecnie uważa się, że terroryzmem jest ogół agresywnych działań przestępczych nastawionych na rozgłos i wytworzenie lęku, mających na celu wymuszenie na władzy lub społeczeństwie określonych ustępstw lub świadczeń. Być może dziś przyklejanie się do asfaltu nie wygląda specjalnie przerażająco, ale przypomnijmy, że w Niemczech Ostatnie Pokolenie wyrządziło szkody na kilka milionów euro. Sparaliżowanie całego miasta czy to klejem, czy bombami powoduje chaos, w którym mogą ucierpieć lub zginąć niewinni ludzie (vide: karetka, która utknęła w korku).

Trudno nazwać akcje Ostatniego Pokolenia strategią. – Działania podejmowane przez Ostatnie Pokolenie nie poprawiają postrzegania transportu publicznego, bo blokowanie chociażby Wisłostrady i mówienie o tym w kontekście transportu publicznego wywołuje u ludzi negatywne odczucia. Poza tym zarówno wiele organizacji pozarządowych związanych z transportem, jak i eksperci podejmują w ostatnich latach różnego rodzaju kampanie mające na celu poprawę transportu publicznego w Polsce – podkreśla Iwona Budych.

Od miesięcy aktywiści OP starają się skupić na sobie uwagę mediów. Na przykład za sprawą blokowania wjazdu Taylor Swift na Stadion Narodowy, niszczenia wystaw sklepowych, oblewania pomników farbą i blokowania Warszawy. Na stronie chwalą się, że dzięki ich działaniom w mediach mówi się o zmianach klimatycznych częściej niż kiedyś. To wprowadzanie opinii publicznej w błąd. O zmianach klimatycznych od 25 lat mówią w mediach naukowcy i aktywiści. Tymczasem w związku z działaniami Ostatniego Pokolenia mówi się o… Ostatnim Pokoleniu. Aktywiści mają tylko dwa postulaty. Wspomniany już bilet na połączenia regionalne za 50 zł miesięcznie i przesunięcie 100% środków z budowy autostrad na transport publiczny. Według specjalistów od rynku transportowego te postulaty są niczym innym jak prostymi medialnymi hasłami mającymi jedynie przykuć uwagę.

Ostatnie Pokolenie powołuje się na 40 lat doświadczeń ekologów, ale nie wyciąga wniosków. Najlepszą drogą jest działanie instytucjonalne i wywieranie nacisku.

Z powodu skomplikowania sytuacji na rynku transportu publicznego żądania OP są nierealistyczne. Zwłaszcza że w Polsce nie ma jednego organizatora transportu publicznego. Często tam, gdzie kończy się granica województwa, kończą się kompetencje danego organizatora transportu. – Jako środowisko zajmujące się transportem chcielibyśmy wiedzieć, na podstawie jakich wyliczeń i danych aktywiści komunikują światu takie postulaty. Warto zdawać sobie sprawę, że wykluczenie komunikacyjne to dziś nośne medialnie hasło. Szczególnie w czasie wzmożenia politycznego, jakim jest okres kolejnej kampanii wyborczej – mówi Iwona Budych.

Nieprawdą są też twierdzenia OP, że nikt nic nie robi w sprawie klimatu i wykluczenia komunikacyjnego. – Minister Stanisław Bukowiec

eprasa.pl b9ab29a521

powołał zespół ds. walki z wykluczeniem komunikacyjnym. W Ministerstwie Funduszy i Polityki Pieniężnej trwają obecnie prace w grupie roboczej nad wprowadzeniem społecznego funduszu klimatycznego. To są realnie podejmowane działania. Tylko nigdzie nie zauważyłam w tym obecności przedstawicieli Ostatniego Pokolenia. Jeżeli chcą mówić o zmianach i zwrócić uwagę na transport publiczny, to z korzyścią dla wszystkich byłoby, żeby rzeczywiście wiedzieli, o czym mówią i z jakimi postulatami wychodzą – podkreśla prezeska Stowarzyszenia Wykluczenie Transportowe.

Bilet miesięczny w Warszawie na pierwszą i drugą strefę kosztuje 180 zł (na okaziciela 230 zł). Mowa o bilecie bez ulg. Podobne ceny są w całej Polsce. We Wrocławiu 110 zł, 109 zł w Gdańsku, 108 zł w Toruniu, 148 zł w Krakowie. Wspominam o tym, ponieważ przedstawicielka Ostatniego Pokolenia nie potrafiła podać w telewizji ceny biletu miesięcznego, a dodatkowo chwaliła się, że do studia przyjechała taksówką. Miała to być oznaka fraternizowania się z kierowcami, którym wcześniej blokowała przejazd. Na merytoryczne pytania prowadzącej program dziennikarki gościni odpowiedziała, że są tendencyjne.

Argumentację o przesuwaniu pieniędzy z budowy dróg na komunikację zbiorową również można uznać za puste hasło. – Nie opowiadam się za tym, żeby jeszcze bardziej inwestować w drogi. Jednak autobusy, bo to one mają szansę najszybciej załatać komunikacyjne dziury, muszą po czymś jeździć. To wszystko musi być wyważone. Dlatego środki na utrzymanie dróg także są potrzebne. Ważniejsze jest jednak to, żeby najpierw uświadomić skalę problemu, jakim jest wykluczenie transportowe – wyjaśnia Iwona Budych.

Społeczeństwo, widząc brak merytoryczności, a czasem głupotę aktywistów OP, zniechęca się do sprawy, zamiast w nią się angażować. Przykład WOŚP, Strajków Kobiet czy mobilizacji podczas wojny w Ukrainie, kiedy Polki i Polacy rzucili się na pomoc sąsiadom, pokazuje, że nasze społeczeństwo jest gotowe do działań, kiedy wie, o jaką gra stawkę. Wystarczy wytłumaczyć, w czym rzecz, zamiast traktować ludzi z góry.

Przekonywać, nie ośmieszać

Ostatnie Pokolenie powołuje się na 40 lat doświadczeń ekologów, ale nie wyciąga wniosków. Najlepszą drogą jest działanie instytucjonalne i wywieranie nacisku. Zamiast tego aktywiści OP postanowili rzucić się w wir rozróby, bo jak tłumaczą, nie starcza im już cierpliwości. Ich postulaty nie są też trafione pod względem powszechnej wiedzy. Według raportu przygotowanego przez brytyjski Chatham House globalna produkcja mięsa generuje więcej dwutlenku węgla niż transport samochodowy, lotniczy, kolejowy i wodny razem wzięte. Brytyjczycy już 10 lat temu wskazywali, że odstawienie mięsa i ograniczenie nabiału najskuteczniej wyhamuje postępujące zmiany klimatyczne. Dlaczego aktywiści Ostatniego Pokolenia nie przyklejają się przed wjazdem do mleczarni lub nie wypuszczają krów na wolność?

Zadajmy sobie wreszcie pytanie, czy współczesne społeczeństwo poruszają takie aktywistyczne zrywy. Od kilku dekad widzimy przykuwanie się do drzew, kontrowersyjne transparenty, oblewanie farbą gwiazd noszących futra. W protestach aktywistów poprzedniego pokolenia widać było jakiś przekaz, były dane i rozum. I nie można powiedzieć, że nie przyczyniły się do zmian. Nawet jeśli szokowały społecznie jak słynna akcja organizacji PETA We'd Rather Go Naked Than Wear Fur (Wolimy chodzić nago, niż nosić futro), w której sławne modelki i gwiazdy występowały nago.

Tymczasem wydawać by się mogło, że aktywiści Ostatniego Pokolenia są ofiarami retoryki międzynarodowych korporacji, które paradoksalnie narzuciły światu myślenie, że odpowiedzialność za ratowanie planety spoczywa na barkach jednostek. Na przykład segregacja śmieci ma załatwić za Coca-Colę problem plastikowych butelek. Jak udowodniono już wiele lat temu, takie działanie to jedynie kropla w morzu, lecz aktywiści OP naiwnie rzucili się własnoręcznie „ratować planetę". Niewiele to się różni od pisania w mediach społecznościowych, że od dzisiaj nie pije się jakiegoś napoju. Decydując się na karierę aktywisty, warto myśleć o tym, jak przekonać ludzi do swoich racji, a nie ośmieszać temat.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Kup roczną **e-prenumeratę PRZEGLĄDU** na 2025 r.

W starej cenie tylko do 27 grudnia!
Jedynie **160 zł** za cały rok czytania

- **Nowy numer już w każdą sobotę**
- E-book „Cierń szansy. Nie przepraszamy za PRL" **GRATIS**
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

OSTATNIA CHWILA NA PREZENTY

Gwarancją dostawy przed świętami jest złożenie i opłacenie zamówienia w sklepie internetowym do 18 grudnia!

Należy wybrać dostawę kurierską, do paczkomatu InPost lub Orlen Paczką.

95 zł

OSOBISTA RELACJA Z OSTATNICH DEKAD NASZEJ HISTORII. KSIĄŻKA, KTÓRA POMAGA JE ZROZUMIEĆ

58 zł

BŁYSKOTLIWA ANALIZA „AMERYKAŃSKIEJ DUSZY" I POLITYCZNYCH WYBORÓW

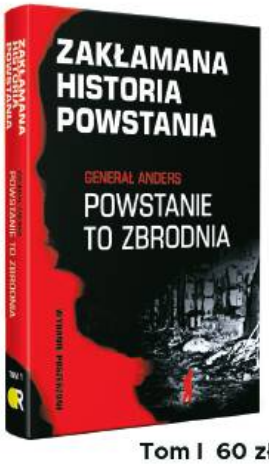

Tom I 60 zł

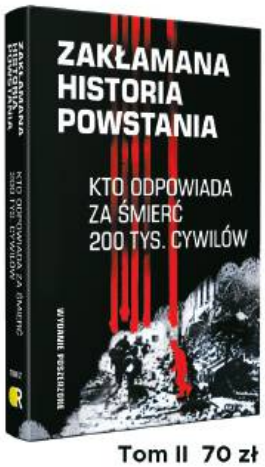

Tom II 70 zł

Pakiet 110 zł ~~130 zł~~

200 TYSIĘCY OFIAR I RUINY MIASTA UPOMINAJĄ SIĘ O PRAWDĘ

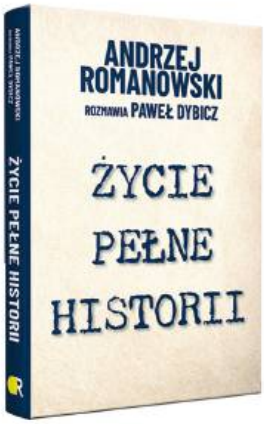

79 zł

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI W PASJONUJĄCEJ ROZMOWIE Z PAWŁEM DYBICZEM

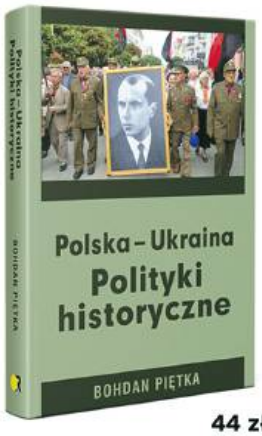

44 zł
~~50 zł~~

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA. POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

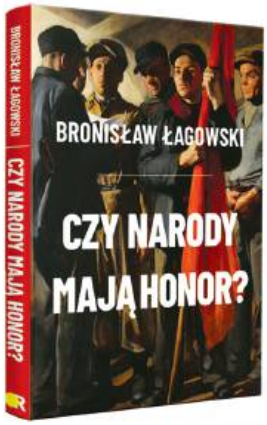

58 zł

HISTORIA POLSKI OBARCZONA BYŁA FATALIZMEM ZACOFANIA

2 + 1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Zakłamana historia powstania" t. IV W PREZENCIE

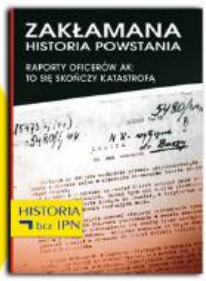

Promocja ważna do 31.12.2024 r. lub do wyczerpania zapasów.

Święta z e-bookami PRZEGLĄDU

Zrób prezent sobie i bliskim

Mamy już 52 tytuły!

kup na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**

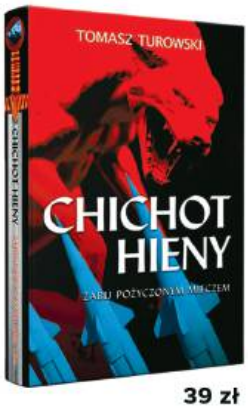

39 zł

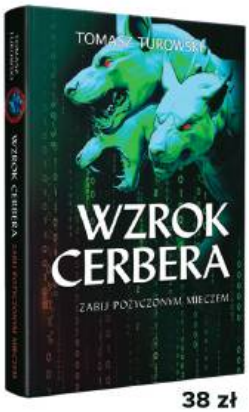

38 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

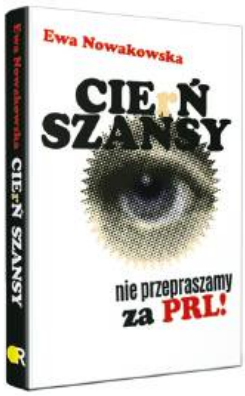

38 zł
~~48 zł~~

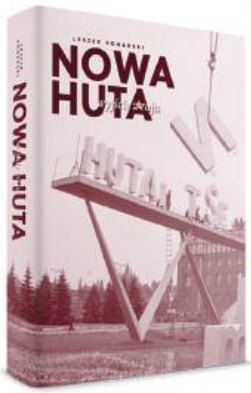

39 zł
~~49 zł~~

KSIĄŻKA LESZKA KONARSKIEGO, JEDNA Z 15 FINALISTEK GRAND PRESS KSIĄŻKA REPORTERSKA 2020

OD PRL DO III RP OCZAMI ZNANEJ DZIENNIKARKI EWY NOWAKOWSKIEJ

Tom I 75 zł Tom II 76 zł Tom III 77 zł

Pakiet 190 zł ~~228 zł~~

LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

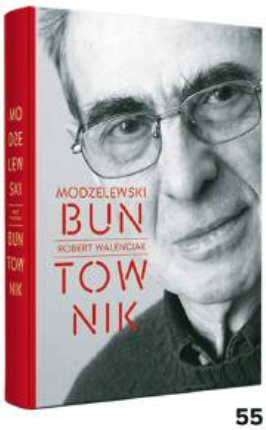

55 zł
~~65 zł~~

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ZDRADZIŁ SOLIDARNOŚCI

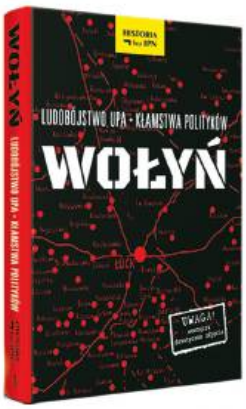

44 zł

OFIARY RZEZI UPA I REHABILITACJA ZBRODNIARZY

Wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
*Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.
Lub zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl, gdzie istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +15,50 zł, Orlen Paczką +11,00 zł, do paczkomatu InPost +15,00 zł lub dostawy kurierem InPost +16,00 zł.

eprasa.pl b9ab29a521

Romanowski, oddaj 100 milionów

Najpierw groził, potem uciekł

Robert Walenciak

Gdzie jest Marcin Romanowski? Gdy piszę te słowa w piątek rano, byłego wiceministra sprawiedliwości, za którym został wystawiony list gończy, poszukuje policja. Bardzo więc prawdopodobne, że kiedy ten tekst do państwa dotrze, Romanowski będzie już pod opieką służb penitencjarnych.

To ukrywanie się i policyjne poszukiwania na pewno dodają sprawie kolorytu i przyciągają uwagę. Jest w tym nawet element komedii. Romanowski, jeszcze gdy chronił go immunitet, prężył się godnościowo, wykrzykiwał, że niczego się nie boi, bo jest niewinny i prześladowany. Teraz z hardości niewiele zostało. Partyjni koledzy kolportowali w ubiegłym tygodniu zdjęcie, jak leży na szpitalnym łóżku po operacji. Tymczasem prokuratura ustaliła, że Romanowski przechodził zabieg niezagrażający życiu i wypisał się ze szpitala na własne żądanie 5 grudnia. Czyli fotografia była sprzed paru dni. Brał więc nas najpierw na huk, potem na litość, a teraz gdzieś się ukrył.

Powód ma. 10 grudnia sąd postanowił o aresztowaniu go na trzy miesiące. Prokuratura sformułowała wobec Romanowskiego 11 zarzutów, dotyczą one Funduszu Sprawiedliwości, który nadzorował jako wiceminister sprawiedliwości, zastępca Zbigniewa Ziobry.

Jeszcze w lipcu, podczas próby pierwszego zatrzymania Romanowskiego, minister sprawiedliwości Adam Bodnar mówił, że osobom, które usłyszały zarzuty w sprawie funduszu, zarzuca się stworzenie zorganizowanej grupy przestępczej, ustawianie konkursów, przekraczanie uprawnień, poświadczanie nieprawdy w dokumentach, niedopełnienie obowiązków, a także wyrządzenie szkody wielkich rozmiarów w mieniu skarbu państwa w celu osiągnięcia korzyści osobistych i majątkowych. Chodziło o kwotę ponad 107 mln zł. „Te zarzuty opierają się na solidnym materiale dowodowym – podkreślał Bodnar. – Jest to przede wszystkim dokumentacja, dane bankowe, ale także materiał uzyskany w wyniku przeszukań czy zeznania świadków w tej sprawie". No i – dodajmy – były nagrania, które przyniósł do prokuratury Tomasz Mraz.

POSZUKIWANY LISTEM GOŃCZYM MARCIN ROMANOWSKI

Data publikacji 12.12.2024 ← Powrót Drukuj

Policjanci Komendy Stołecznej Policji, na podstawie listu gończego wydanego przez Prokuraturę Krajową poszukują Marcina Romanowskiego. Mężczyzna ukrywa się przed organami ścigania. Jeśli znasz miejsce pobytu tej osoby skontaktuj się z policjantami z Komendy Stołecznej Policji, tel. 47 7237657, 47 7237893, numerem alarmowym 112 lub z najbliższą jednostką Policji.

List gończy w celu zatrzymania został wydany przez Prokuraturę Krajową.

Poszukiwany: **Marcin Romanowski**

s. Romualda

lat 48

zam. Warszawa i Giłów

Wzrost: 180 cm

Oczy: niebieskie

Romanowskiemu grozi do 25 lat więzienia. Tylko zatem czekać na zamknięcie śledztwa i rozprawę sądową. W ten sposób wiceminister ma szansę przejść do historii jako pierwszy polityk poprzedniego rządu, który zasiądzie na ławie oskarżonych. Pytanie, w jakim towarzystwie. Jeżeli bowiem prokuratura mówi o „zorganizowanej grupie przestępczej", to znaczy, że Romanowski nie był sam. Więc z kim? Był w tej grupie szefem czy pomocnikiem? Czyim? Jak widzimy, najbardziej bronią go partyjni koledzy z Suwerennej Polski, część z nich również pracowała w Ministerstwie Sprawiedliwości. Czy to jakiś trop? Zobaczymy. Na razie pozostaje zgorszenie, że w ministerstwie, które z zasady powinno być kryształowe, działy się takie rzeczy.

W sprawie Romanowskiego mamy też inny rodzaj zgorszenia. Że wszystko trwa tak długo. Ale na usprawiedliwienie prokuratury trzeba dodać, że pierwsza próba zatrzymania byłego wiceministra miała miejsce w lipcu. Wtedy sąd nie uwzględnił wniosku prokuratury, uznając, że Romanowskiego jako delegowanego do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy chroni tamtejszy immunitet. Ostatecznie w październiku zgromadzenie przegłosowało uchylenie immunitetu, więc nic nie stało już na przeszkodzie, by go zatrzymać.

Jest w tej historii jeszcze jeden wątek – polityczny. Otóż Donald Tusk rok temu przejmował władzę, obiecując rozliczenie pisowskich afer. Te rozliczenia zaczęły buksować i w efekcie pojawiły się w debacie publicznej dwie grupy. Pierwsza to zwolennicy prawicy, którzy zaczęli przekonywać, że rządy PiS były „czyste", czego dowodzi brak procesów sądowych. Drugą grupę tworzyli zwolennicy koalicji, rozczarowani mizernymi efektami. Dla nich był to dowód na nieudolność ekipy Tuska oraz na zdradę, zmowę polityków: oficjalnie zarzucają sobie rzeczy najgorsze, a w rzeczywistości nikt nikogo nie rusza. Czyli mamy ciche przyzwolenie na stawianie polityków ponad prawem. Mogą wszystko, a nic im nie grozi, w przeciwieństwie do „zwykłych" obywateli.

Takie opinie rozchodziły się wśród wyborców bardzo szybko. Dlatego Tusk nie miał wyboru – musiał wezwać do przyśpieszenia rozliczeń. Wyboru nie ma też Bodnar. On się broni, parę miesięcy temu przedstawił listę 20 spraw w prokuraturze, dotyczących afer PiS. Teraz zapowiada listę 200 spraw, które toczyły się w ostatnich latach w prokuraturze i były „wątpliwe".

Ta sytuacja jest testem na sprawczość premiera, na to, czy rządząca koalicja chce do polityki wnieść cywilizowane standardy. Miejsce aferzysty jest przed sądem, a nie w sejmowych ławach. A obecna koalicja to nie PiS bis.

Taka stawka leży na stole.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

eprasa.pl b9ab29a521

Z Galicji

Jan Widacki

Prawo karne w państwie prawa

Najogólniej rzecz ujmując, państwem prawa jest państwo, w którym prawo ma prymat nad polityką. Czyli takie państwo, w którym prawo jest na usługach dobra wspólnego, a politycy to prawo stosują, stoją na jego straży i przede wszystkim je szanują. W państwie, w którym szanowany jest trójpodział władz, prawo stanowi władza ustawodawcza, stosuje wykonawcza, a legalność (czyli zgodność z prawem) działań tych władz kontroluje władza sądownicza.

Zgodnie z konstytucją Rzeczpospolita Polska jest państwem prawa. Czy jest nim rzeczywiście? Niestety, coraz bardziej nie jest. Gdy na początku III RP zmieniano prawo karne, projekt Kodeksu karnego pisali profesorowie prawa karnego i wybitni praktycy powołani do komisji kodyfikacyjnej. Do napisanego przez nich projektu nie wtrącali się politycy. Nawet Ministerstwo Sprawiedliwości nie zgłaszało tu żadnych życzeń ani tym bardziej poprawek. Projekt w takim kształcie, w jakim wyszedł z komisji kodyfikacyjnej, trafił jako projekt rządowy do Sejmu. Sejm uchwalił kodeks w 1997 r. O tym kodeksie można wiele powiedzieć. Na pewno nie był doskonały. Ale na pewno był najlepszy, na jaki wtedy było nas stać.

Na początku lat 90. w Polsce – i we wszystkich przechodzących transformację ustrojową krajach Europy Środkowej – wzrosła liczba przestępstw ujawnionych i opisywanych w statystykach. Zjawisko to jest dla kryminologów zrozumiałe i daje się łatwo wytłumaczyć. Było efektem transformacji, związanym z rozchwianiem norm, zmianą warunków życia, otwarciem granic itd. Wraz ze wzrostem przestępczości wzrosło w społeczeństwie poczucie zagrożenia, lęk przed przestępstwem. Prawie 90% Polaków uważało, że Polska jest krajem niebezpiecznym, zagrożonym przestępczością. Równocześnie w społeczeństwie zakorzenione było głębokie, choć zupełnie nieprawdziwe przekonanie, że rosnącą przestępczość można zatrzymać surowymi karami. Ten społeczny niepokój wykorzystało PiS, wchodząc na scenę polityczną z hasłem zaostrzenia prawa karnego, co miało być remedium na ów wzrost przestępczości. Z hasłem tym sięgnęło wkrótce po władzę. Kodeks karny nowelizowano wielokrotnie, za każdym razem zaostrzając sankcje. Towarzyszyła temu narracja, podchwycona przez media, że polskie prawo karne jest zbyt łagodne, zbyt wyrozumiałe dla przestępców.

Tymczasem przestępczość w Polsce maleje, ciągle i systematycznie od 2003 r. Rośnie też poczucie bezpieczeństwa. Już prawie 90% Polaków uważa, że Polska jest bezpiecznym krajem. Wedle wszelkich możliwych pomiarów poziom przestępczości (mierzony choćby liczbą przestępstw na 100 tys. mieszkańców) jest u nas znacznie poniżej europejskiej średniej. Natomiast liczbę osób osadzonych w kryminałach w przeliczeniu na liczbę mieszkańców mamy najwyższą w Unii Europejskiej. Dwu-, trzykrotnie wyższą niż większość państw tzw. Starej Unii. Wynika z tego jasno, że nasze prawo karne i polityka karna są bardzo surowe, a nie, jak głosi po stokroć powtarzany przez polityków i publicystów mit, bardzo łagodne.

Populizm zastępuje demokrację, i to zupełnie jawnie.

Strasząc ludzi rzekomo narastającą przestępczością, Prawo i Sprawiedliwość, a już szczególnie Solidarna Polska, czyli Ziobro z kamratami, nie tylko po raz kolejny tak dalece zaostrzyły prawo karne, że praktycznie zmieniły jego filozofię, cofając je o 150 lat. Ostatnia nowelizacja, która była de facto niczemu niesłużącą barbaryzacją prawa karnego, przewidującą m.in. możliwość ponoszenia odpowiedzialności karnej na równi z dorosłymi przez 14-latków, wykreślającą z celów kary resocjalizację, wprowadzającą drakońskie kary (30 lat pozbawienia wolności, bezwzględne dożywocie, by wymienić pierwsze z brzegu), miała być cofnięta po wyborach wygranych przez zwycięską koalicję przyznającą się do europejskiej tradycji. Powołano nawet Komisję Kodyfikacyjną Prawa Karnego. Komisja przygotowała stosowną nowelizację, aliści okazało się, że zdaniem rządu, ściślej pana premiera, pełne cofnięcie Ziobrowych reform nie jest możliwe, bo z wyliczeń obozu władzy wynika, że drakońskie prawo podoba się ludowi, jego łagodzenie mogłoby zatem niebezpiecznie obniżyć rządzącym słupki poparcia. Można więc będzie wsadzać do kryminału razem z dorosłymi 14-latków, można będzie wymierzać po 30 lat więzienia. Ziobrowa myśl prawnokarna górą!

Populizm zastępuje demokrację, i to zupełnie jawnie. Co na to wszystko współrządząca Lewica? Nie słyszałem, aby politycy Lewicy zabierali w tej sprawie głos. Widać zajęci są świętowaniem sukcesu: z sondaży wynika, że ich potencjalna kandydatka na urząd prezydenta może liczyć na nieco więcej niż 3% poparcia. Przy takiej politycznej aktywności, przy takiej wierności lewicowym ideałom to faktycznie sukces. Skąd aż 3% poparcia? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

Rozmawia Paweł Dybicz

Finis Europae?

Największe zagrożenie dla Starego Kontynentu to rosnący konflikt USA z Chinami

PROF. ANDRZEJ KARPIŃSKI
– były zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, a potem sekretarz naukowy Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus" przy Prezydium PAN. Staraniem „Przeglądu" ukazały się wspomnienia profesora „Jak ja to widziałem".

Czy Europejczycy zdają sobie sprawę z gwałtownie rosnących zagrożeń dla przyszłości ich kontynentu?

– Europejczycy – opinia publiczna, a i większość polityków – nie zdają sobie sprawy z wagi zagrożeń dla pozycji Europy w świecie, dla jej przyszłości w najbliższych 30-40 latach. Nigdy dotąd, może od XIII w. i najazdów ze Wschodu, Europa nie stała wobec tak wielkich zagrożeń. Nie przypadkiem w „The Economist" przy omawianiu tego problemu obok słowa niebezpieczeństwo po raz pierwszy pojawiła się ocena „mortal" – śmiertelne.

Europa traci znaczenie, bo znalazła się między USA a Chinami?

– Rzeczywiście z politycznych czarnych chmur zbierających się nad Europą za największą uważam coraz silniejszy konflikt pomiędzy USA a Chinami. W przeszłości nigdy ani USA, ani Chiny nie były zagrożeniem dla Europy. Teraz mogą nim się stać w związku z wyborem Trumpa oraz kontynuowaniem obecnej polityki Chin. Europa nie jest w stanie uniknąć uczestnictwa w tym konflikcie w jakiejś formie, a tym bardziej jego konsekwencji dla gospodarki. Niewątpliwie zaangażowanie się Ameryki w ten konflikt będzie prowadzić do zmniejszenia jej zainteresowania problemami Starego Kontynentu. W tej sytuacji niemałe znaczenie będzie miał sposób podejmowania decyzji. Czy będą zapadały na szczeblu całej Unii Europejskiej jako równorzędnego partnera, jednego z pięciu głównych podmiotów gospodarki światowej, obok USA, Chin, Indii i Rosji, czy też będą one wynikiem bezpośrednich negocjacji Ameryki z poszczególnymi krajami Unii. Bo to może być dla Unii mniej korzystne. Mogłoby bowiem zaangażować jej środki i zasoby potrzebne do wspólnych własnych inwestycji w Europie.

Co ten konflikt oznacza dla Europy?

– Nieuchronną i bezpośrednią konsekwencją zmian w układzie sił w świecie jest konieczność budowy własnego przemysłu zbrojeniowego Europy i tym samym zwiększenia zdolności do obrony. Wybór Trumpa w zasadniczy sposób wzmacnia tę potrzebę.

Jakie są główne zagrożenia gospodarcze dla Europy?

– „The Economist" wyróżnia trzy zagrożenia o największym znaczeniu i nazywa je potrójnym szokiem. W jego ocenie to: 1) koniec dostępu Europy do taniej energii; 2) konieczność przebudowy całego jej transportu na inny napęd niż benzynowy; 3) przejście USA do polityki aktywnego oddziaływania państwa na rozwój własnej gospodarki i przemysłu, nazwanego neointerwencjonizmem, co utrudni ekspansję Europy na tym rynku. Jeżeli Unia nie znajdzie korzystnych rozwiązań dla każdej z tych trzech kwestii, to znacznie osłabi wciąż jeszcze mocną pozycję Europy w przemyśle i gospodarce światowej.

Prześledźmy ten potrójny szok. Zacznijmy od dostępu do taniej energii.

– Wzrost kosztów energii, głównego czynnika napędowego rozwoju gospodarki, może utrudnić lub nawet spowolnić rozwój przemysłowy Europy. Dotychczasowa strategia pozyskiwania taniej energii z Rosji i krajów tego regionu, pochodzącej z eksploatacji węgla, ropy i gazu, nie może już być kontynuowana, z przyczyn politycznych i ekonomicznych. Przechodzi do bezpowrotnej przeszłości. Utratę dostępu do tanich źródeł energii może w jakimś stopniu zastąpić rozwój energetyki odnawialnej, zwłaszcza energii wiatrowej. To już czyni Ameryka, która zakłada, że udział tej ostatniej w produkcji energii elektrycznej zwiększy się w 2035 r. do 50% zapotrzebowania. W USA za szczególnie atrakcyjną uznaje się lokalizację elektrowni wiatrowych w strefie przybrzeżnej na morzu.

Elektrownie wiatrowe nie rozwiążą chyba w przyszłości problemu ciągłości dostaw.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b9ab29a521

– Dlatego w Ameryce bardzo stawia się na postęp badań w nauce nad atomem, a także nad tanią energią z kosmosu.

Drugi szok przyszłości to...

– Konieczność zastąpienia w masowej skali samochodów osobowych o napędzie benzynowym pojazdami o napędzie elektrycznym, hybrydowym czy wodorowym. W Europie ma to szczególne znaczenie ze względu na wyjątkowo wysoką, najwyższą na świecie, koncentrację tych samochodów. Liczba aut osobowych na Starym Kontynencie wynosi obecnie ok. 350 mln, czyli około jednej trzeciej całego światowego parku tych samochodów, ocenianego na 1-1,1 mld sztuk. W stosunku do ludności Europy stanowi to 47%. Na żadnym innym kontynencie nie ma tak zaawansowanego procesu motoryzacji indywidualnej.

W Europie przestawienie się na samochody elektryczne budzi jednak coraz większe obawy i opory.

– Owszem, ale i wiele nieprzewidywalnych problemów. Jak chociażby niedobór półprzewodników i brak surowców do ich produkcji. To powoduje znaczne uzależnienie przemysłu samochodowego Europy od importu.

A z czego wynika trzeci szok?

– Z faktu, że USA weszły na drogę wspomnianego neointerwencjonizmu, czyli bardziej aktywnego oddziaływania państwa na rozwój własnego przemysłu i gospodarki. Znajduje to wyraz w skrajnie aktywnej, wręcz radykalnej polityce przemysłowej USA, którą znamy z dotychczasowej historii. Taka jest reakcja na to, co zaszło w gospodarce amerykańskiej w ostatnich dziesięcioleciach. Pod wpływem doktryny neoliberalizmu ekonomicznego rynek USA został na skalę uprzednio nienotowaną otwarty na wyroby z innych krajów, zwłaszcza z Chin (17% całego importu) i Niemiec. Spowodowało to likwidację w znacznej części przemysłu w centrum kraju. Donald Trump wygrał teraz wybory na terenach, gdzie przemysł był likwidowany, nazywanych „pasem rdzy" z powodu ruin byłych zakładów przemysłowych. Nowy kierunek polityki amerykańskiej wyraża się także w pomocy rządu USA w finansowaniu powrotu do Stanów zakładów i gałęzi przemysłu, które opuściły ich teren. Indywidualne dofinansowanie państwa w tych przypadkach może sięgać nawet 50% kosztów przemieszczenia.

Europy chyba nie stać na takie dofinansowanie.

– Raczej nie, a przynajmniej nie na taką skalę. Warto zauważyć, że te propozycje są atrakcyjne również dla koncernów pozaamerykańskich. Świadczą o tym ich pierwsze reakcje, takie jak przeniesienie kilku zakładów przemysłowych z Wielkiej Brytanii do USA.

Jaką rolę w ochronie własnego przemysłu mogą odegrać w USA bariery celne?

– Już obecna ochrona celna rynku amerykańskiego jest większa niż w Unii Europejskiej. W niektórych przypadkach sięga 35% kosztu importu. Europa nie może na to sobie pozwolić. Natomiast Amerykanie cechują się dużą samowystarczalnością i są mniej zależni od importu niż Europa – w przemysłach wysokiej techniki (zwłaszcza w informatyce i komputerach), środkach łączności, technologii laserowej itp. Wzrost interwencji państwa w stosunku do własnego przemysłu i gospodarki może w USA zmienić w istotny sposób warunki działania firm z innych kontynentów na tym rynku. Może to mieć poważny wpływ na całą gospodarkę światową. Utrudni bowiem dostęp innych krajów do rynku amerykańskiego.

Amerykański neointerwencjonizm nie rokuje zatem dobrze przyszłości Europy.

– Dlatego ja do tych trzech szoków, które są już nie do uniknięcia, dodałbym jeszcze jeden. Ogromne zagrożenie dla europejskich przemysłów wysokiej techniki, wynikające z importu z Chin. Jesteśmy świadkami zalewu Starego Kontynentu sprzętem importowanym z Chin. W Europie sytuacja rozwinęła się więc całkowicie inaczej, niż to przewidywała Margaret Thatcher. Uważała ona, że Chiny przekształcą się w fabrykę przemysłową dla całego świata i będą na masową skalę wytwarzać wyroby prymitywne i proste technologicznie. Natomiast kraje zachodnie będą im dostarczać wyroby wymagające najwyższego poziomu technologii przy ich wytwarzaniu. Ambicje Chin idą jednak znacznie dalej. Główny wysiłek Chiny kierują na ekspansję w produkcji i eksporcie wyrobów przemysłów wysokiej technologii. Mają tu szczególnie silne atuty: produkcja tych wyrobów jest o jedną trzecią tańsza niż w Europie, a niekiedy cena jest jeszcze niższa. Należy pamiętać, że w tych przemysłach ogromną rolę – największą wśród wszystkich innych przemysłów – odgrywa skala produkcji.

Czy są szanse na odczuwalne zmniejszenie dysproporcji między Europą a USA i Chinami?

– Małe. I takie pozostaną, dopóki największy kraj europejski, Niemcy, nie zacznie się utożsamiać ze strategią Unii, a nie tylko z własną polityką przemysłową, którą często traktuje jak politykę Europy. A więc będzie uznawać jej nadrzędność w stosunku do własnej strategii. Niemcy nie widzą sprzeczności nawet między swoją polityką przemysłową a unijną. Na przykład gazociąg Nord Stream zwiększał dostęp Niemiec do taniej energii, ale utrwalał zależność energetyczną UE od Rosji. Dopiero aktywne działania Niemiec w imię Wspólnoty mogą zapewnić realny postęp w zmniejszaniu tej luki.

Jednak nawet największe postępy w rozwoju małych, a choćby i średnich przedsiębiorstw przemysłowych – mimo wszystkich ich niewątpliwych zalet oraz intensywnej propagandy na rzecz ich rozwoju – ani usług, w tym informatycznych, nie zapewnią znaczącej pozycji Europy w światowym przemyśle.

Już obecna ochrona celna rynku amerykańskiego jest większa niż w Unii Europejskiej.

eprasa.pl b9ab29a521

Duży wpływ na koszty wytwarzania mają płace pracowników, a te w Europie nie są niskie.

– Rzeczywiście, płace w Europie stanowią niemały składnik ceny wyrobu. Wiadomo, że Europejczycy zarabiają relatywnie znacznie więcej niż mieszkańcy takich krajów jak Chiny, Indie czy Pakistan. Trudno przewidywać, że zatrudnieni w Europie nie będą naciskać na dalszy wzrost wynagrodzeń. Konkurencyjność Europy osłabia jeszcze jeden czynnik, mianowicie wyższy wzrost płac niż wydajności na jednego zatrudnionego. W przeciwieństwie do USA, gdzie jest odwrotnie.

W Europie istnieje nacisk na krótszy czas pracy. Niektóre środowiska w Polsce też głoszą konieczność szybkiego skrócenia tygodnia pracy do 35 godzin.

– Do czasu głębszej zmiany w strukturze naszego przemysłu na rzecz przemysłów najnowocześniejszych, a zwłaszcza profesjonalnej elektroniki i informatyki przemysłowej, oraz większego wykorzystania technologii sztucznej inteligencji może to się okazać trudniejsze niż w innych krajach. Jesteśmy pod tym względem bardzo opóźnieni. O ile w USA technologię tę stosuje się na 33% obszaru rynku pracy, o tyle w Polsce według szacunkowych danych ten udział nie osiągnął jeszcze 5%.

Czy Europejczycy mają coraz bardziej hedonistyczny stosunek do życia?

– Nie czuję się dostatecznie kompetentny, aby odpowiedzieć na to pytanie. Ale czytając prace socjologów, myślę, że coś w tym jest. Istnieją przesłanki, wskazywane przez naukowców, pozwalające stwierdzić, że duża część młodzieży w Europie – i w USA – ma właśnie takie hedonistyczne podejście do świata, bardziej niż rówieśnicy na innych kontynentach. Dowodem niech będzie to, że młodzi Europejczycy, ale nie tylko oni, coraz więcej wydają na turystykę zagraniczną. To bardzo atrakcyjny kierunek konsumpcji dla większości europejskich społeczeństw, także dla nas. Ale niewielu przejmuje się tym, że wydatki związane z turystyką zmniejszają środki przeznaczane na rozwój własnego kraju. Dlatego niesprostanie tym szokom przyszłości może doprowadzić do sytuacji opisywanej w publicystyce jako florydyzacja Europy.

Staniemy się czymś w rodzaju sanatorium, żeby nie powiedzieć inaczej?

– W znacznej mierze tak, choć to zaowocuje też napływem bogatych i najbogatszych ludzi z całego świata, chcących tu przeżyć starość. Taką funkcję w dużym stopniu spełnia Floryda. Ale najczęściej następuje to kosztem osłabienia aktywności gospodarczej i innowacyjności takich obszarów.

Starzenie się Europejczyków powoduje, że przedsiębiorcy coraz głośniej mówią o braku rąk do pracy.

– To prawda. A liczenie na imigrantów będzie coraz trudniejsze, choćby ze względu na wzrost nacjonalizmów w Europie, kłopoty związane z adaptacją ludzi z innych kontynentów i przedstawicieli innych wyznań. Do tego Europie coraz trudniej ponosić koszty utrzymania imigrantów.

Rozwój automatyzacji i robotyzacji, który może złagodzić brak rąk do pracy, staje się absolutną koniecznością.

– To właściwy kierunek, ale nie da się tego osiągnąć bez badań naukowych na szeroką skalę. A my w tej dziedzinie jesteśmy szczególnie opóźnieni. Udział wydatków na naukę w naszym PKB jest przeszło dwa razy mniejszy niż średnio w krajach Unii, a ponadtrzykrotnie mniejszy niż w 15 najwyżej rozwiniętych krajach UE.

Co robić w tej sytuacji?

– Moim zdaniem wyjściem nie jest postulowana w niektórych wypowiedziach konieczność odejścia od „wspólnego rynku". Nie byłoby to ani skuteczne, ani rozsądne. Mogłoby bowiem osłabić zalety ustrojowe gospodarki rynkowej i jednocześnie nie dać pożądanych impulsów prorozwojowych. Za bardziej skuteczne i korzystne uważam odpowiednie zachęty dla rodzimego kapitału i biznesu. Jedynym skutecznym rozwiązaniem jest też wytworzenie w ramach gospodarki rynkowej instrumentów i mechanizmów oraz rozwiązań zezwalających państwom lepiej oddziaływać na zmiany strukturalne w przemyśle i gospodarce.

W jakich dziedzinach powinno się przejawiać to oddziaływanie państwa?

– Za najpilniejsze uważam stworzenie dwóch programów wspólnego rozwiązania problemów we współpracy wszystkich krajów europejskich. Pierwszy to wspólny Europejski Program Inwestycji w Ochronę Środowiska. Tę słuszną i bardzo trafną propozycję sformułował prof. Grzegorz W. Kołodko, dlatego należy mocno podkreślać jego autorstwo. Drugi to wspólny Europejski Program Rozwoju Przemysłów Wysokiej Techniki. Szczególnie ten drugi program ma znaczenie dla państw, które nie są w stanie w pojedynkę rozwiązać kluczowych problemów w tych przemysłach.

Co obejmowałby ten drugi program?

– Nie mam żadnej wątpliwości, że musi się w nim znaleźć co najmniej pięć gałęzi przemysłu. Pierwsza to rzecz jasna przemysł zbrojeniowy, zwłaszcza lotniczy i rakietowy, z przyczyn, o których mówiłem na początku. Druga to przemysł elektroniki profesjonalnej i surowców do jej produkcji, przede wszystkim półprzewodników. Niedawne odkrycia geologiczne pokładów litu na terenie Serbii mogą być szczególnie obiecujące. Trzecia – przemysł sprzętu i materiałów dla ochrony środowiska. Jednym z największych w świecie producentów tego sprzętu są Niemcy. Powinno się wykorzystać ten fakt do transgranicznej kooperacji z przemysłem niemieckim. W tej dziedzinie samowystarczalność i bieżące funkcjonowanie infrastruktury (oczyszczalnie ścieków,

Amerykanie cechują się dużą samowystarczalnością i są mniej zależni od importu niż Europa.

eprasa.pl b9ab29a521

zbiorniki wodne itp.) ma obiektywne uzasadnienie oraz zasługuje na poparcie i priorytet. A zarówno my, jak i Europa jesteśmy od tego jeszcze bardzo daleko. Czwarty powinien być przemysł biotechnologiczny – ze względu na rosnące potrzeby masowych szczepień przeciwko epidemiom i konieczność zmniejszenia nadmiernej obecnie zależności pod tym względem od USA. Szczególnej uwagi wymaga piąty – przemysł kosmiczny, bo nie da się stworzyć z niego ważnego kierunku specjalizacji przemysłowej Europy bez wspólnej polityki całej UE.

Warunkiem powstania takich projektów musi być jakaś wspólna europejska instytucja.

– Dlatego potrzebne jest jak najszybsze stworzenie centrum studiów strategicznych dla całej Unii, opartego na innych niż dotychczas zasadach, jeśli chodzi o dobór kadry. Zamiast członków zgłaszanych przez poszczególne kraje unijne sama Komisja Europejska powinna wybrać najlepszych specjalistów w Europie, niezależnie od kraju pochodzenia, a nawet specjalistów o renomie światowej poza UE.

Jak na rozwój Europy wpłynie powstanie bloku państw BRICS?

– Rzetelnie na to pytanie będziemy mogli odpowiedzieć dopiero za pięć czy dziesięć lat. Ja nie wierzę w szybkie zdominowanie gospodarki światowej przez BRICS, chociażby ze względu na odległości między jego członkami oraz sprzeczności pomiędzy ich strategiami, np. między Chinami i Indiami.

Ale państwa BRICS już mówią o wspólnej walucie.

– Jeżeli chodzi o wprowadzenie własnej waluty BRICS, moim zdaniem jest to mało prawdopodobne, dopóki jej najsilniejszy członek – Chiny – nadal będzie dążyć do zapewnienia własnej walucie roli drugiej obok dolara waluty światowej.

Jakie zatem powinny być relacje Europy z krajami BRICS?

– Europa powinna dążyć do jak najszerszej współpracy z tymi krajami, oczywiście jeżeli nie oznacza ona konfliktu z jej własnymi celami i strategią.

Mówił pan na początku, że elity polityczne rządzące w Europie i Unii nie do końca są świadome zagrożeń dla jej przyszłości.

– Na szczęście są pewne sygnały, że elity rządzące Unią dostrzegają ogromne zagrożenia dla tej wspólnoty. Politykiem, który najdobitniej mówi o zagrożeniach i przyszłości Starego Kontynentu, jest dziś prezydent Francji. Emmanuel Macron oświadczył wprost, że Europa będzie się marginalizować, jeżeli nie postawi na badania naukowe i przemysły wysokiej techniki. Jego słowa dobitnie spuentował „The Economist": „Tragedią dla Europy byłoby, gdyby słowa francuskiej Kasandry [chodzi o Macrona] nie zostały usłyszane". Czyli Europa musi się obudzić i jak najszybciej podjąć odpowiednie działania. Dzisiaj, a nie gdy będzie już za późno.

Bo wtedy będzie finis Europae?

– A przynajmniej jej pozycji w świecie.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

POMYSŁ NA ŚWIĄTECZNY PREZENT

Osobista relacja z ostatnich dekad naszej historii. Książka, która pomaga je zrozumieć.

Prof. Andrzej Karpiński przekazuje całą prawdę o wydarzeniach tego czasu, tak jak je wtedy widział. W książce znajdziecie wiele faktów dotychczas przemilczanych lub zakłamanych.

Dostępna także w formie e-booka

95 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

eprasa.pl b9ab29a521

Co powiedziałby Konfucjusz o amerykańsko-chińskiej rywalizacji?

Rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, najistotniejszy problem polityki światowej, po zwycięstwie Donalda Trumpa w wyścigu o amerykańską prezydenturę może przybrać na sile. To Trump zapoczątkował ostry kurs w stosunku do Chin. Na gruncie teoretycznym poszedł za zwolennikami powstrzymania, pokonania Chin, kiedy jeszcze jest to możliwe. Joe Biden w praktyce kontynuował kurs wyznaczony przez Trumpa, ale na poziomie teorii polegał bardziej na orędownikach tzw. zarządzanej rywalizacji. Na łamach „Przeglądu" prezentował ją w wymiarze publicystycznym były premier Australii Kevin Rudd. Dogłębnie zaś zrobił to w książce „The Avoidable War".

Feng Zhang w swoim artykule proponuje chińską, konfucjańską perspektywę. Perspektywę, w której rywalizacja amerykańsko-chińska nie kończy się katastrofalną dla całego świata wojną. Oznacza raczej partnerstwo z poszanowaniem własnych, kluczowych interesów oraz współpracę w obszarach wymagających wspólnego zaangażowania potęgi amerykańskiej i chińskiej. Ludzie ostrożni, rekrutujący się z obozu realistycznego myślenia o polityce, mogą postawić pytanie, na ile ta konfucjańska perspektywa jest czymś autentycznym, a na ile zasłoną dymną, mającą uśpić czujność USA, póki Chiny nie będą gotowe do generalnej rozprawy. Pełnię gotowości chińska armia ma uzyskać w 2027 r.

Prezentujemy fragmenty artykułu, który ukazał się w witrynie internetowej Responsible Statecraft 4 listopada 2024 r. Z całością można się zapoznać pod adresem: responsiblestatecraft.org/us-china-competition/. Autor uzyskał doktorat ze stosunków międzynarodowych na London School of Economics and Political Science. W 2020 r. wraz z Richardem Nedem Lebowem opublikował pracę „Taming Sino-American Rivalry". Obecnie – jako profesor wizytujący w Paul Tsai China Center w Yale Law School – pracuje nad nową książką o rywalizacji USA-Chiny. Łączy ona klasyczną chińską myśl polityczną ze współczesnymi zachodnimi teoriami stosunków międzynarodowych i ma pomóc w wypracowaniu nowych rozwiązań kluczowych kwestii definiujących stosunki amerykańsko-chińskie w Azji.

Feng Zhang

Pod wpływem opublikowanego w „Foreign Affairs" eseju prezentującego „teorię zwycięstwa" nad Chinami (artykuł autorstwa Matta Pottingera i Mike'a Gallaghera „No Substitute for Victory" ukazał się w kwietniu 2024 r., www.foreignaffairs.com/united-states/no-substitute-victory-pottinger-gallagher – przyp. P.K.) wielu prominentnych amerykańskich analityków przyłączyło się do debaty o tym, czy Ameryka potrzebuje „teorii zwycięstwa" w rywalizacji z Chinami. Niedawny raport Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (www.csis.org/analysis/defining-success-does-united-states-need-end-state-its-china-policy – przyp. P.K.), który (…) ukazuje zróżnicowane poglądy specjalistów ze Stanów Zjednoczonych, Azji i Europy, określa zasadnicze kwestie w debacie o zmaganiach między Ameryką a Chinami. Choć szeroko zakrojona, pomija ta dyskusja jeden kluczowy aspekt – zbadanie samego pojęcia rywalizacji. Jest to o tyle problematyczne, że różne koncepcje rywalizacji kształtują odmienne jej strategie.

Pekin niechętnie używa słowa rywalizacja. Chińscy urzędnicy próbują je zmodyfikować, dodając przymiotniki pozytywna lub zdrowa.

Skutkiem „strategicznej rywalizacji", koncepcji administracji prezydenta Trumpa, była konfrontacyjna polityka wobec Chin. Propozycja administracji Bidena, „zarządzanej rywalizacji", zbudowała stabilniejsze, lecz wciąż napięte relacje. Dzieje się tak, ponieważ strategia jest ze swojej istoty inter-

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl b9ab29a521

aktywna. Rywalizacyjna strategia Waszyngtonu wpływa na percepcję i odpowiedzi Chin.

Pekin ze swej strony niechętnie używa słowa rywalizacja do scharakteryzowania stosunków między państwami. Chińscy urzędnicy próbują zmienić jego sens, dodając przymiotniki pozytywna lub zdrowa. Jednak muszą jeszcze przedstawić teorię – albo chociaż konkretne wskazania polityczne – określające „pozytywną rywalizację". Gdyby Konfucjusz włączył się w tę debatę, przyczyniłby się do znaczącego jej poszerzenia, gdyż pokazałby radykalnie odmienną koncepcję rywalizacji. Byłaby to idea „budującej rywalizacji" (junzi zhi zheng), która przekształciłaby konkurencję pomiędzy USA a Chinami w siłę skutkującą obustronnym wzrostem i stabilnością świata. Przyjrzyjmy się starożytnemu chińskiemu łucznictwu, które Konfucjusz postrzegał jako modelowy przykład „budującej rywalizacji". Łucznicy dążyli do doskonałości nie przez przeszkadzanie przeciwnikom, lecz przez doskonalenie własnych umiejętności i charakteru. Konkurowali ze sobą, mierząc każdy do swojego celu, a jednocześnie przestrzegając wyrafinowanych rytuałów, które pogłębiały wzajemny szacunek i sprzyjały samodoskonaleniu. Konfucjańska koncepcja „budującej rywalizacji" jawi się jako jaskrawy kontrast w stosunku do amerykańskiego podejścia do rywalizacji wielkich mocarstw.

Fundamentem tego kontrastu są dwie tradycje intelektualne. Indywidualistyczna tradycja leżąca u podstaw myśli zachodniej – zwłaszcza amerykańskiej, oraz tradycja relacyjna, charakterystyczna dla filozofii konfucjańskiej. Tradycja indywidualistyczna, ukształtowana przez idee oświeceniowe i amerykańską historię, postrzega jednostki i narody jako osobne byty z ich interesami i prawami. Z tego punktu widzenia konkurencja sprowadza się do dążenia do własnych celów i mierzenia sukcesu tym, ile zyskuje się w porównaniu z innymi. Strategia administracji prezydenta Bidena dotycząca Chin odzwierciedla to indywidualistyczne poszukiwanie relatywnej przewagi. Obejmuje szerokie spektrum polityk mających na celu utrzymanie amerykańskiej dominacji technologicznej i gospodarczej, wzmocnienie sojuszy w celu zrównoważenia chińskich wpływów i takie ukształtowanie rywalizacji, by przybrała postać zderzenia systemów wartości.

Gdyby Konfucjusz włączył się w tę debatę, pokazałby odmienną koncepcję rywalizacji. Byłaby to idea „budującej rywalizacji".

Ta ambitna strategia, mająca na celu osiągnięcie przewagi w dziedzinie technologii, gospodarki, polityki, wojskowości, wywiadu i globalnego zarządzania, ujawnia ukrytą troskę o utrzymanie przywództwa w świecie. Konfucjańska tradycja relacyjna postrzega z kolei ludzi i narody jako byty nie odizolowane, ale głęboko powiązane. Dobre relacje na dłuższą metę są istotniejsze od krótkoterminowych, wąsko pojętych korzyści. (…)

Owa koncepcja budującej rywalizacji ukazuje nieadekwatność obecnej debaty na temat amerykańsko-chińskiej rywalizacji. Główny podział w jej obrębie występuje pomiędzy jastrzębiami, którzy „zwycięstwo" utożsamiają ze zmianą reżimu w Chinach, a umiarkowanymi, którzy starają się zarządzać współistnieniem obarczonym rywalizacją i unikać niepotrzebnego konfliktu. (…) Z konfucjańskiej perspektywy sposób prowadzenia tej debaty jest błędny. Jest wielce prawdopodobne, że Konfucjusz zaprezentowałby radykalnie odmienną koncepcję „zwycięstwa" czy „sukcesu". Zwycięstwo w budującej rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi a Chinami oznaczałoby, że oba narody zrobiły postęp na drodze do doskonalenia się i podbudowały swoje mocne strony, przy zachowaniu pokojowych stosunków i współpracy. (…) Celem nie byłoby „pokonanie" drugiej strony czy wymuszenie zmiany jej ustroju politycznego, ale stworzenie najlepszej możliwej wersji siebie. Taka koncepcja sukcesu oznacza inne spektrum politycznych imperatywów dla obu krajów. W przypadku USA chodziłoby o ożywienie instytucji demokratycznych, wzmocnienie systemów edukacyjnych, modernizację infrastruktury, pobudzanie innowacji i skoncentrowanie się na systemowych nierównościach społecznych. W przypadku Chin należałoby skupić uwagę na wsparciu rządzenia w sposób demokratyczny, stawieniu czoła wyzwaniom klimatycznym i osiągnięciu zrównoważonego rozwoju. (…)

Konsekwencje powyższego podejścia są równie istotne dla polityki zagranicznej. Budująca rywalizacja nie lekceważy rzeczywistych różnic i napięć między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Zapewnia raczej ramy dla konstruktywnego skanalizowania konfrontacyjnych impulsów. Uznaje prawo ochrony uzasadnionych interesów i zachęca do wspierania oświeconego, a nie wąskiego, interesu własnego. Zmusiłaby ponadto Waszyngton i Pekin do przyjęcia wspólnego przywództwa w stawianiu czoła najpilniejszym wyzwaniom stojącym przed ludzkością – w szczególności zmianom klimatycznym, pandemiom i zarządzaniu sztuczną inteligencją. (…)

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Tytuł pochodzi od tłumacza

Z głębokim smutkiem żegnamy

Stanisława Kolbusza

Zasłużonego społecznika
i działacza ruchu ludowego
Laureata nagrody im. Władysława Orkana

Wyrazy współczucia
Rodzinie i Najbliższym

Składają Dyrekcja i Pracownicy
Muzeum Niepodległości w Warszawie

eprasa.pl b9ab29a521

My, Polska endecko-ludowa

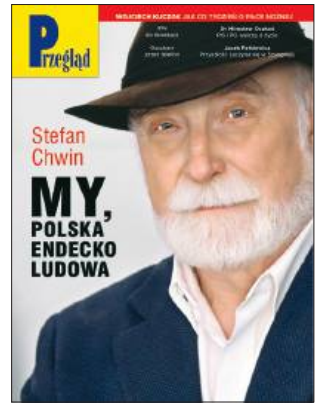

Na Polsce Ludowej wiesza się dzisiaj psy i opluwa się ją, bo tego wymaga obecna poprawność polityczna. Winy Bermanów rozciąga się na całą PRL, zapominając o roku 1956. Wtedy mało kto szydził publicznie z polskości, a państwo umacniało patriotyzm w szkole, pracy i mediach. Wszędzie, gdzie mówiono o symbolach ojczyzny, gdzie był sztandar polski, hymn państwowy, godło. Powszechnie używało się określeń: służę Polsce, pracuję, uczę się dla ojczyzny, dla wspólnoty. Kiedy mówiono o naszych bohaterach narodowych, o ludziach wybitnych i ważnych, którzy dla Polski pracowali albo o Polskę walczyli – czuło się szacunek dla poświęcenia i idealizmu. Gdy grano hymn, ludzie się zatrzymywali i zdejmowali czapki. To wcale nie były czasy tak dawne, gdy nie było wszechobecnego antynarodowego nihilizmu i pogardy dla ludzi myślących inaczej.

A teraz my, którzy wciąż czujemy obowiązki polskie, nie dowierzamy, słuchając, co młodzi ludzie mają do powiedzenia. I widząc, co robią. Z jednej strony, wylewa się nihilizm i brak szacunku dla ojczyzny, z drugiej – obrzydliwy postsanacyjny szowinizm pod płaszczykiem patriotyzmu.

Sprzeciw budzi niszczenie pomników 1. i 2. Armii Wojska Polskiego, Armii i Gwardii Ludowej, żołnierzy LWP i milicjantów walczących z UPA. Ale budzi również sprzeciw, gdy pod flagą biało-czerwoną, godłem, krzyżem, w dymie kadzideł i z „wyklętymi" na ustach próbuje się wykorzystać patriotyzm do umacniania zamordyzmu i do zgubnego konfliktowania nas z sąsiadami.

Wartością jest inny rodzaj patriotyzmu, czyli uczucia skierowanego do ojczyzny. Patriotyzm rozumny jest tą wartością, która nas jednoczy i znacznie przerasta, i wyznacza nam cel. To wolna, niepodległa, suwerenna i sprawiedliwa Polska, rządzona przez racjonalnych patriotów. Ta, w której będziemy czuć się u siebie i bezpiecznie, w której chce się żyć, walczyć i pracować. Gdzie będzie się pamiętać o tych, co za Polskę ginęli – niezależnie od tego, w jakiej formacji i na jakim froncie. Gdzie będziemy wspierać tych, którzy dla niej się uczą i dorastają w poczuciu przynależności do wielkiej wspólnoty Polaków. Gdzie będzie się czuć wspólnotę zbiorowego obowiązku. Gdzie będzie jedna Polska, bo przecież ona nie należy do jednej orientacji politycznej, grupy czy nawet jednego pokolenia – Polska jest wartością wspólną wszystkich rodaków. I o taką Polskę trzeba się bić, do takiej Polski trzeba dążyć.

Łukasz Jastrzębski

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzymy
dużo radości, spokoju i chwil spędzonych w gronie najbliższych.
Niech blask Betlejemskiej Gwiazdy oświetli nasze drogi
i przyczyni się do budowania lepszej przyszłości,
a Nowy Rok przyniesie wiele sukcesów i satysfakcji.

Tadeusz Skoczek
Dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie

wraz z pracownikami

Boże Narodzenie 2024

W projekcie wykorzystano: Kratochwil Marian, *Kolędnicy*, grafika, 18,6 x 28,6 cm, papier, litografia, nr inw. DEPS.891 w depozycie Muzeum Niepodległości w Warszawie. Własność Jan Sąt.

25 lat SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO

eprasa.pl b9ab29a521

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Nie wyrażam zgody na pociągnięcie mnie do odpowiedzialności

Ta potężna, przejmująca tytułowa fraza pojawiła się w oświadczeniu Jarosława Kaczyńskiego podczas obrad sejmowej Komisji Regulaminowej, która zajmowała się pozbawieniem polityka i posła immunitetu w związku z zarzutem uderzenia aktywisty podczas którejś z miesięcznic smoleńskich. Kaczyński, lider PiS oraz, przypomnę, były premier i wicepremier, wdawał się w szarpaninę ze Zbigniewem Komosą, który od kwietnia 2018 r. składał lub próbował składać 10. dnia każdego miesiąca wieniec pod pomnikiem (w czasach rządów PiS uniemożliwiały mu to policja i wojsko, ochraniające pomnik i Kaczyńskiego). Na wieńcu znajdowała się tabliczka z napisem: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który, ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski". Komosa miał prawomocny wyrok sądu, który uznawał jego prawo do składania wieńca z tabliczką tej treści. Od czasu utraty przez PiS władzy i tym samym zdjęcia politycznego parasola ochronnego policji i żandarmerii dochodziło do częstych, również fizycznych starć wokół rzeczonego wieńca. Agresja zawsze pochodziła od samego Kaczyńskiego lub jego akolitów, w tym posłów (Macierewicz, Suski). Po kolejnym starciu 10 października 2024 r., w wyniku którego Komosa został dwukrotnie uderzony w twarz przez Jarosława Kaczyńskiego, sprawa trafiła do sądu i w tej kwestii obradowała komisja, która zarekomendowała odebranie immunitetu szefowi PiS. Taką też decyzję podjął Sejm. Jarosław Kaczyński stanie przed sądem. Zobaczymy, sąd niech sądzi.

Chciałbym jednak przytoczone zdanie potraktować poważniej, bo na to zasługuje. Jest czymś więcej niż nieskuteczną próbą obrony swojego przywileju. Immunitet poselski ma za zadanie bronić polityków, posłów opozycji „przed próbami ograniczania ich niezależności, w szczególności swobody głosowania oraz wolności wypowiedzi". Immunitet nie zdejmuje z parlamentarzystów odpowiedzialności za przestępstwa i wykroczenia pospolite, a trudno uznać bicie kogoś pięścią w twarz za formę sprawowania mandatu poselskiego.

Ale nie chcę roztrząsać tego konkretnego przypadku, dużo bardziej interesujące jest pochylenie się nad przesłaniem i sensem takiej wypowiedzi w ustach jednego z najważniejszych polityków w kraju, w przeszłości pełniącego kluczowe funkcje państwowe. Tak naprawdę nie wyrok sądu jest tu najistotniejszy, lecz to właśnie sformułowanie. „Nie wyrażam zgody na pociągnięcie mnie do odpowiedzialności" to apogeum politycznej pychy i poczucia bycia ponad prawem, to deklaracja w istocie podważająca wszystko, na czym oparte jest funkcjonowanie państwa, równość wobec prawa, równość w traktowaniu przez wymiar sprawiedliwości, brak uznaniowości.

Kaczyński ma w sobie tak ugruntowane poczucie wyższości nad innymi, że szczerze wierzy, że działania, interwencje i procedury jego po prostu nie dotyczą. W 2022 r. podczas wystąpienia publicznego wygłosił frazę: „Nie ma na świecie ludzi dużo mądrzejszych niż ja". O swojej (hipotetycznej) wyższości mówił zresztą wielokrotnie. Z jednej strony mamy więc do czynienia z reakcją małego chłopca („Prose pani, ja tylko mu słusnie psyłozyłem, bo on bzydko mówi o moim bracisku"), ale groźniejsze jest tu zadufanie i oderwanie od rzeczywistości polityka 75-letniego, który prawie całe dorosłe życie żyje z państwa, pełniąc takie i inne funkcje polityczne czy instytucjonalne. Równocześnie nie rozumiejąc ich podstaw. Jego to nie dotyczy, jemu wolno więcej. Nazywamy to chorobliwym narcyzmem lub manią wyższości. Taka wypowiedź, bardziej nawet niż te niby-ciosy, winna skutkować wyrzuceniem podobnie myślącego polityka poza nawias służby poselskiej i każdej innej związanej z funkcjonowaniem państwa. Oczywiście tak się nie stanie. Całe PiS to przekonanie podziela. Szymon Hołownia, nasz polityczny wynalazek ostatnich lat, też wikła się w jakieś dywagacje pozbawione sensu i logiki, nie potrafiąc zinterpretować jasnej deklaracji uzurpacyjnej Kaczyńskiego tak, jak ona na to zasługuje.

Dla Kaczyńskiego ewentualność, że miałby odpowiadać za swoje działania przed sądem, jest poza horyzontem wyobraźni. I chodzi tu nie o udział w ulicznej szarpaninie, tylko o dużo poważniejsze zarzuty nadużywania władzy. Cóż, Ala Capone też skazano tylko za przestępstwa podatkowe.

Jeśli ktokolwiek miał wątpliwości, czy Kaczyński zasługuje na opis jako doskonały przykład osobowości autorytarnej, to jedno zdanie zamyka dyskusję. To autorytaryzm w najczystszej postaci. I na tym etapie jest on, żywię przekonanie, nieuleczalny. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

Nowy rozdział dla Syrii, epilog dla Asada

Czy to już koniec pięciu dekad rządów dynastii Asadów, czy jedynie chwilowa przerwa?

Jakub Katulski

Syryjski dyktator Baszar al-Asad, któremu udało się utrzymać przez niemal 14 lat wojny domowej w pałacu prezydenckim na górze Mazza w zachodnim Damaszku, zapewne liczył, że ofensywa nie potoczy się tak szybko. Tym bardziej że pierwsze dni działań rebeliantów, którzy 27 listopada zaatakowali rządowe siły w okolicach Aleppo, nie zapowiadały, że zajęcie przez nich miasta uruchomi efekt domina. Aleppo, drugie co do wielkości syryjskie miasto, upadło po ledwie trzech dniach, kiedy wojska Asada ogłosiły „taktyczny odwrót" w celu przegrupowania się. Osiem dni później media informowały o upadku Damaszku i przelocie Baszara al-Asada do Moskwy, gdzie azylu udzielił mu Władimir Putin. Czy to już koniec pięciu dekad rządów dynastii Asadów, czy jedynie chwilowa przerwa?

Od ubogich rolników do dyktatorów

Baszar al-Asad był szczególnym przypadkiem bliskowschodniego dyktatora. Rodzina Asadów, ubodzy alawici z wioski niedaleko nadmorskiej Latakii, odczuwała bezpośrednio marginalizację ekonomiczno-polityczną swojej mniejszości religijnej. Sunnickie elity w Syrii nie przejmowały się szczególnie wywodzącymi się z szyizmu alawitami, a wiele ugrupowań politycznych wręcz ich dyskryminowało. Hafiz al-Asad, ojciec Baszara i również prezydent Syrii, jeszcze jako licealista dołączył do panarabskiej i przynajmniej nominalnie socjalistycznej partii Baas, gdyż była ona jedną z nielicznych frakcji, które akceptowały alawitów w swoich szeregach.

Hafiz wkrótce po ukończeniu szkoły średniej wstąpił do szkoły wojskowej, którą opuścił jako pilot. Doświadczenie wojskowe przydało się w trakcie puczu z marca 1963 r., dzięki któremu partia Baas objęła władzę w kraju, podobnie jak miesiąc wcześniej w Iraku. Hafiz po puczu wszedł do polityki na szczeblu krajowym, obejmując funkcję w regionalnym dowództwie partii i szybko dochodząc do stanowiska ministra obrony w rządzie prezydenta Salaha Dżadida, po kolejnym przewrocie

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b9ab29a521

Po reżimie Baszara al-Asada został na razie wielki bałagan.

w 1966 r. Partia Baas wskutek kilku kolejnych udanych i nieudanych puczów była daleka od spójności i już w 1970 r. Hafiz al-Asad w wewnątrzpartyjnym spisku obalił Dżadida i wtrącił go do niesławnego więzienia w damasceńskiej dzielnicy Al-Mazza, gdzie Dżadid spędził resztę życia. Umarł na zawał serca w 1993 r.

Tak rozpoczął się trwający 54 lata okres rządów rodziny Asadów, a równocześnie poprawy sytuacji politycznej alawitów i zmian w syryjskiej partii Baas, które konsolidowały władzę i zdolności decyzyjne w pałacu prezydenckim. Syria stała się wręcz monarchią z prezydentem w roli koronowanej głowy, większość kluczowych stanowisk w państwie obejmowały osoby wywodzące się z jego sekty, a opozycja wobec władzy Asada nie była tolerowana. Przeciwników wtrącano do więzień i torturowano, demonstracje krwawo tłumiono, jak w przypadku wystąpień Braci Muzułmanów w mieście Hama w 1982 r.

Początkowo to nie Baszar miał być następcą ojca, ale młodszy brat Hafiza, który jednak w 1984 r. próbował obalić władzę Hafiza w puczu, gdy syryjski prezydent podupadł na zdrowiu. W efekcie w drodze kompromisu wiceprezydentem został Rifat al-Asad. Na następcę dyktatora namaszczony został najstarszy syn Basil, oficer wojskowy, popularny wśród Syryjczyków i znany z promowania sportu. Tyle że jego życie zakończyło się przedwcześnie, w 1994 r. zginął w spowodowanym przez siebie wypadku. Śmierć Basila sprowokowała wysyp teorii spiskowych, których autorzy dopatrywali się w tragicznym wypadku próby ucieczki z Syrii.

Hafiz al-Asad musiał zmienić plany na przyszłość i ściągnął z Anglii młodszego syna, który kilka lat wcześniej ukończył medycynę na uniwersytecie w Damaszku i przeprowadził się do Londynu, gdzie rozpoczął specjalizację w okulistyce w Western Eye Hospital. By poprawić wizerunek mniej popularnego od brata Baszara, umieszczono go w akademii wojskowej w Hims i w ciągu pięciu lat awansowano do stopnia pułkownika Gwardii Republikańskiej.

Kiedy w 2000 r. zmarł Hafiz al-Asad, szybko wprowadzono zmiany w syryjskiej konstytucji, obniżając minimalny wiek potrzebny do kandydowania na stanowisko prezydenta z 40 do 34 lat, czyli tylu, ile miał wówczas Baszar. Miesiąc po śmierci ojca, 10 lipca 2000 r., Baszar został prezydentem, zdobywając bezprecedensowe 99,74% głosów w referendum, w którym miało wziąć udział 95% uprawnionych do głosowania. Tak wysokie poparcie w głosowaniu zapewnił mu fakt, że był jedynym kandydatem, a proces był ściśle kontrolowany przez administrację rządową, bez udziału obserwatorów międzynarodowych. Tak miały wyglądać już każde wybory prezydenckie w Syrii.

Islamiści rządzący dotychczas prowincją Idlib jeszcze do 2017 r. byli związani z Al-Kaidą, a nawet starali się dokonać fuzji z Państwem Islamskim.

Początkowo Baszar al-Asad dawał nadzieję na przynajmniej częściową liberalizację syryjskiej dyktatury, dzięki takim gestom jak zamknięcie więzienia Al-Mazza i uwolnienie przebywających w nim 600 więźniów. Do udziału w systemie politycznym nie dopuszczono jednak innych partii niż Baas. Damasceńską wiosnę, która zaczęła się po śmierci Hafiza, gdy grupy intelektualistów demonstrowały, domagając się uwolnienia więźniów politycznych, ochrony wolności słowa i wolności zgromadzeń, zakończyły aresztowania aktywistów w 2001 r. Nadzieje na zmianę pokładane w Baszarze wygasły, ale kolejna dekada wiązała się z licznymi demonstracjami, których kulminacją były wystąpienia arabskiej wiosny, co dla Syrii okazało się początkiem krwawej wojny domowej.

Pozorny zwycięzca

Trwający 14 lat konflikt charakteryzował się okrucieństwem i podzielił kraj na obszary zarządzane przez frakcje reprezentujące interesy różnych grup etnicznych i religijnych. Rząd Baszara al-Asada aż do 2015 r. pozostawał w defensywie, tracąc stopniowo kolejne tereny na rzecz grup opozycyjnych, sił kurdyjskich czy Państwa Islamskiego. Z pomocą Rosji, która w tym roku uruchomiła interwencyjną operację w Syrii, Iranu i libańskiego Hezbollahu Asadowi udało się odzyskać kontrolę nad ok. 70% kraju, którą utrzymał do listopada 2024 r. Wojny domowej jednak nie zakończono, zepchnięto jedynie ugrupowania opozycyjne na ich pozycje. Hajat Tahrir asz-Szam mocno osadził się w prowincji Idlib, zarządzając nią niemal jak samodzielnym państwem. Syryjska Armia Narodowa otwarcie wspierana przez Turcję kontrolowała prowincję Afrin w północnej części kraju, a Syryjskie Siły Demokratyczne, zdominowane przez Kurdów i wspierane przez Stany Zjednoczone, umocniły się w Rożawie, odpierając ataki zarówno Państwa Islamskiego, jak i Turcji i Syryjskiej Armii Narodowej.

O wojnie domowej w Syrii zaczęto mówić, że jest konfliktem zamrożonym, kiedy Turcja i Rosja wspierające przeciwne strony uzgodniły zawieszenie broni w 2020 r. Od tego momentu dyktator z Damaszku traktowany był jako de facto zwycięzca, dla którego odzyskanie reszty terytorium jest kwestią czasu.

W ten sposób zaczęły go traktować też sąsiednie kraje, dążąc w ostatnich latach do normalizacji stosunków z Damaszkiem. Już w 2018 r. Zjednoczone Emiraty Arabskie wznowiły stosunki dyplomatyczne z Syrią (wstrzymując się jednak z wysłaniem ambasadora do Damaszku aż do 2024 r.), a za nimi podążyły takie kraje jak Jordania czy Bahrajn. Sprawę przyśpieszyło tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi w Turcji i Syrii na początku 2023 r. i już w maju Liga Państw Arabskich

eprasa.pl b9ab29a521

zagłosowała za przywróceniem członkostwa Syrii.

Dyplomatycznym zwycięstwem Asada było paradowanie po czerwonych dywanach licznych regionalnych szczytów politycznych, takich jak szczyt Ligi Państw Arabskich w saudyjskiej Dżuddzie w maju 2023 r. czy wspólny szczyt Ligi i Organizacji Współpracy Islamskiej w Rijadzie w listopadzie ub.r., zorganizowany w obliczu wojny w Gazie. Kiedy Baszar al-Asad krytykował izraelskie zbrodnie wojenne w Strefie Gazy, nie wypominano mu już, że i na nim ciążą oskarżenia o wykorzystywanie broni chemicznej przeciwko syryjskiej opozycji podczas wojny domowej.

Dlaczego Asad tak szybko upadł?

Pełne zwycięstwo Asada nigdy jednak nie nadeszło, bo, jak widać, Hajat Tahrir asz-Szam przygotowywał się na ofensywę w kierunku Damaszku. Sukces organizacji umożliwiło kilka szczęśliwych dla islamistów z Idlibu splotów wydarzeń. Sytuacja ekonomiczna syryjskiego rządu była tak zła, że wojsko Asada było źle wyposażone i opłacane, a coraz mniejsza popularność reżimu, który nie poradził sobie z poprawą sytuacji humanitarnej, nie zachęcała nikogo do umierania z bronią w ręku za prezydenta i jego rodzinę. Rosyjskie inwestycje w syryjską armię nie dały jej przewagi strategicznej, a choć pojedyncze jednostki mogły sobie radzić na polu bitwy, armia w całości okazała się bytem mało skoordynowanym. Nawet wykorzystywane w ostatnim roku przeciwko rebeliantom z Idlibu samobójcze drony, tanie i precyzyjne, nie przeważyły szali zwycięstwa. Tym bardziej że Hajat Tahrir asz-Szam ma własną jednostkę korzystającą z dronów, która podczas ofensywy brała na cel posterunki wojska, jednostki artyleryjskie czy dowódców.

Do klęski Asada przyczyniło się też uwikłanie sojuszników w inne konflikty. Choć Rosjanie są obecni w Syrii od lat, dzisiaj zaangażowani są w dużo ważniejszą z ich perspektywy wojnę w Ukrainie. Rosyjskie wojska wycofały się do swoich nadmorskich baz w Latakii i Tartusie. Wspierany i dozbrajany przez Iran Hezbollah również nie miał możliwości włączenia się do walki, tym bardziej że organizacja jest znacznie osłabiona po intensywnych walkach z Izraelem. Już w październiku, po inwazji na południowy Liban, izraelscy wojskowi donosili, że z arsenału rakietowego szyickiej milicji pozostało ledwie 20% po serii nalotów i rajdów. Znacząco ograniczyło to organizacji możliwość wspierania sojusznika, poza tym utraciła ona znaczną część wyższego dowództwa wojskowego i politycznego, w tym samego sekretarza generalnego Hasana Nasr Allaha. Irańczycy, obecni na liniach frontu w Syrii, w obliczu ofensywy rebeliantów nie byli na pozycji, z której mogliby przypuścić skuteczną kontrofensywę. W ciągu ostatnich 12 miesięcy w izraelskich nalotach zginęło także dwóch kluczowych doradców Asada z ramienia Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, w tym głównodowodzący elitarnych sił Al-Kuds w Libanie i Syrii gen. Mohammad Reza Zahedi. Irańczycy strategicznie wycofali się więc na wschód, w kierunku Iraku.

Co czeka Syrię?

Topniejące zaangażowanie sojuszników otworzyło rebeliantom drogę do zwycięstwa. Dzisiaj Rząd Ocalenia sformowany przez Hajat Tahrir asz-Szam zapowiada pokojową zmianę władzy i głęboką reformę Syrii, choć trudno ignorować obawy związane z tą formacją. Rządzący dotychczas prowincją Idlib islamiści jeszcze do 2017 r. byli otwarcie związani z Al-Kaidą, a przez chwilę starali się nawet dokonać fuzji z Państwem Islamskim, ze względu na łączącą ich ideologię globalnego dżihadu. HTS pod przewodnictwem Abu Muhammada al-Dżaulaniego postanowił jednak przynajmniej nominalnie odciąć się od kłopotliwych związków, skupiając się na dżihadzie lokalnym, skierowanym przeciwko reżimowi Asada.

Czy jednak bojownicy HTS, którzy od kilkunastu lat działają na różnych frontach krwawej wojny domowej, porzucą dżihad i skupią się na budowaniu nowej Syrii ponad podziałami? Dzisiaj, gdy zabrakło już głównego wroga, interesy dzielące poszczególne frakcje obecne na terytorium kraju mogą jeszcze bardziej się uwypuklić, nawet jeśli pełniący obowiązki premier Muhammad al-Baszir zapowiada, że Rząd Ocalenia zadba o bezpieczeństwo wszystkich mniejszości etnicznych i religijnych, a byli żołnierze reżimu Asada mogą liczyć na amnestię.

Sytuację komplikuje działalność Izraelczyków, zajmujących strefę buforową na terytorium Syrii przy granicy z anektowanymi przez Izrael w 1981 r. Wzgórzami Golan. Administracja Beniamina Netanjahu zapowiada, że jest to jedynie rozwiązanie tymczasowe, mające zabezpieczyć izraelskich cywilów, choć wprowadzenie wojsk do Syrii jest jawnym pogwałceniem warunków zawieszenia broni z 1974 r. Izraelczycy przekonują, że to porozumienie upadło wraz z reżimem Asada. Ich obawy co do rządu budowanego przez rebeliantów mogą zaś być zasadne ze względu na ideologię niektórych frakcji.

Syryjczycy stoją w obliczu wielkiej szansy na odbudowę kraju, ale lista zagrożeń jest długa. Wszyscy liczący się regionalni i pozaregionalni gracze będą się starali wciągnąć Syrię i nowe władze w swoją strefę wpływów. Były prezydent, który według komunikatów Kremla schronił się w Moskwie, wciąż jednak może pozostać graczem w tym konflikcie, jeśli Rządowi Ocalenia nie uda się opanować sytuacji. Wtedy z gościa Władimira Putina może się zmienić w jego zasób strategiczny, potrzebny Rosji do odzyskania wpływów na Bliskim Wschodzie.

Jakub Katulski

Syryjczycy stoją w obliczu wielkiej szansy na odbudowę kraju, ale lista zagrożeń jest długa.

eprasa.pl b9ab29a521

Kłótnia to kwestia czasu

Elon Musk i Donald Trump chcą zmienić nie tylko Amerykę, ale i świat – każdy w inny sposób

Elon Musk nie jest self-made manem, jego firma SpaceX utuczyła się na kontraktach od NASA i Pentagonu. Nz. z Donaldem Trumpem i senatorem Kevinem Cramerem podczas testów rakiety w Teksasie. 19 listopada 2024 r.

Mateusz Mazzini

44 mld dol., które założyciel Tesli i SpaceX wydał na zakup Twittera, później przemianowanego na X, okazały się najlepiej zainwestowanymi pieniędzmi na kampanię wyborczą w historii nie tylko amerykańskiej polityki. Oczywiście nie był to bezpośredni datek na konto komitetu Trumpa. W takiej formie Elon Musk przekazał Donaldowi Trumpowi 277 mln dol., a więc ułamek kwoty wydanej na przejęcie platformy społecznościowej. Nikt jednak nie powinien się łudzić, że tamta transakcja była – jak często mówi sam Musk – heroicznym i altruistycznym aktem obrony wolności słowa w internecie. Miliarder zapragnął po prostu mieć własne medium. Częściowo dlatego, że inni miliarderzy, w tym jego największy konkurent Jeff Bezos, też własne media mają. Muska jednak nigdy nie interesowały tradycyjne formaty, ani w biznesie, ani w innych obszarach życia. Dlatego nie kupił sobie „New York Timesa" czy innej redakcji z głównego nurtu jak Bezos, który w 2013 r. przejął „Washington Post". Musk wziął sobie Twittera, bo chce bezpośrednio komunikować się z fanami. Co zresztą robi – na X śledzi go 200 mln osób. Od marca ub.r. jest najpopularniejszym użytkownikiem tej platformy, przegonił wtedy Baracka Obamę. I prawie za każdym razem, kiedy coś napisze, zwłaszcza o polityce, w przestrzeni publicznej wybucha awantura.

Włączenie go przez Trumpa do struktur rządowych – choć to nie do końca tradycyjna nominacja – jest bodaj najszerzej komentowaną decyzją personalną odnośnie do nowej administracji. Casey Michel, amerykański dziennikarz i analityk Human Rights Foundation, zawodowo zajmujący się korupcją oraz oligarchizacją krajów demokratycznych, w portalu New Republic nazwał działania Trumpa „szczytem kleptokracji". Podobnie o amerykańskiej

FOT. REUTES/FORUM

eprasa.pl b9ab29a521

rzeczywistości powyborczej pisze Martin Wolf, główny komentator ekonomiczny „Financial Timesa".

Działanie poza strukturami

Trudno nie przyznać im racji, bo relacja Muska z Trumpem to klasyczny przykład kupowania sobie wpływów politycznych. Po nowym roku założyciel Tesli ma zostać współprzewodniczącym tzw. DOGE – komisji ds. weryfikacji wydajności rządu federalnego. Jak zauważa Casey Michel, już na tym etapie widać spory paradoks, zaprzeczający idei demokracji. Oto prezydent, całkowicie omijając proces akceptacji kandydatów przez Kongres, powołuje przedstawiciela sektora prywatnego na stanowisko nadrzędne wobec władz podlegających nadzorowi społecznemu. Krótko mówiąc, człowiek bez demokratycznej legitymizacji, w żaden sposób niepodlegający wyborcom, będzie kontrolował, czy urzędnicy z taką właśnie legitymizacją nie przepuszczają publicznych pieniędzy. Trudno mówić w tych warunkach o demokracji, jeśli realną władzę sprawuje satrapa.

W obliczu tych zależności fakt, że nowa instytucja zajmująca się wydajnością rządu musi być prowadzona nie przez jedną, ale przez dwie osoby naraz (oprócz Muska będzie to inny inwestor o konserwatywnych poglądach, Vivek Ramaswamy), jest już tylko nieśmiesznym żartem.

W tej chwili wydaje się, że Trump pokłada ogromne nadzieje w Musku i całym DOGE. Nie jest jednak pewne, czy twórcy nowej jednostki będą w stanie je spełnić, także z prawnego punktu widzenia. Komisja, choć w oficjalnej nazwie ma słowo departament, jak wszystkie amerykańskie ministerstwa federalne, tak naprawdę departamentem nie będzie. Do powołania takich jednostek potrzeba zgody Kongresu. A nawet przy kontroli Senatu i Izby Reprezentantów przez republikanów spod znaku MAGA nie jest powiedziane, że Trump zyskałby wystarczające poparcie, żeby zmienić DOGE w ministerstwo. Nie byłoby to zresztą do końca zasadne. Po co tworzyć kolejny wielki departament, zatrudniający tysiące osób, jeśli sensem jego istnienia jest właśnie zmniejszanie zatrudnienia i kosztów w administracji? W każdym razie ani Musk, ani Ramaswamy, ani sam Trump nie wydają się przejęci faktem, że będą działać właściwie poza strukturami rządowymi.

Dwaj miliarderzy obiecali, że ograniczą koszty utrzymania administracji federalnej o 2 bln dol., chociaż nie podali szczegółów. Robi to za nich Trump, w typowy dla siebie chaotyczny i pozbawiony argumentacji sposób. Raz na jakiś czas rzuci na konferencji prasowej pomysł całkowitej likwidacji Departamentu Edukacji, chociaż właśnie na stanowisko szefowej tej instytucji powołał Lindę McMahon, znaną obrończynię praw przedsiębiorców z Karoliny Południowej. Teoretycznie obiecał też, że nie będzie ograniczał wydatków na ochronę zdrowia w programie Medicare ani na sieci wsparcia socjalnego. Tym obietnicom akurat nie ma co wierzyć, prezydent elekt w każdej chwili może się rozmyślić i zadekretować cięcia, jakich amerykański budżet nie widział od lat.

Podłoże tego zjawiska jest bardzo skomplikowane, rządowi nie ufają ani demokraci, ani republikanie, choć z bardzo różnych powodów. Równie wielu z nich jest przekonanych, że agencje federalne po prostu działają niewydajnie i tworzą bezsensowne regulacje, które, jeśli wpływają na życie ludzi, to wyłącznie w sposób negatywny. Musk i Trump umiejętnie zbijają na tym kapitał polityczny, obiecując rozwiązanie problemu. Jak niedawno, także w „The Atlantic", napisała Annie Lowrey, tak naprawdę Amerykanie zasługują na komisję zwiększającą wydajność rządu federalnego. Byłaby to odpowiedź na oczekiwania zdecydowanej większości elektoratu. Jednak sposób, w jaki trumpowska prawica chce te oczekiwania zrealizować, pozostawia wiele do życzenia.

> Relacja Muska z Trumpem to klasyczny przykład kupowania sobie wpływów politycznych.

Kto jest ogonem, a kto psem

Lora Kelley z magazynu „The Atlantic" zauważa jednak, że taki układ sił znowu zawiera w sobie sprzeczność. Dotychczas bowiem ani Musk, ani Ramaswamy nie przedstawili publicznie niczego poza ognistą krytyką rządu federalnego – nie tylko pod kierownictwem Bidena, ale w ogóle rządu jako idei. To zresztą jeden z niewielu czynników, które zdają się łączyć Amerykanów niezależnie od ich orientacji ideologicznej. Jak wynika z badań Pew Research Center, w drugiej połowie 2024 r. zaufanie do instytucji federalnych deklarowało zaledwie 22% respondentów. Był to najniższy wynik w historii prowadzenia tych badań, czyli od czasów prezydentury Dwighta D. Eisenhowera w latach 50.

DOGE to jedna z wielu płaszczyzn relacji Trumpa z Muskiem, które budzą wiele kontrowersji. Najważniejszym zagadnieniem w 2025 r. będzie to, kto ma wobec kogo jakie plany. Używając popularnej metafory, do końca nie wiadomo, kto tu jest ogonem, a kto psem. A przede wszystkim, kto pierwszy straci cierpliwość.

Sebastian Mallaby, amerykański dziennikarz technologiczny i autor książek poświęconych Dolinie Krzemowej, start-upom i nowej amerykańskiej klasie przedsiębiorców, przypuszcza, że obu panom trudno będzie się dogadać już na starcie. Żaden z nich nie ma bowiem doświadczeń ze współpracy z ludźmi równymi sobie ani nie akceptuje hierarchiczności struktur. Trump, podkreśla Mallaby, nigdy dla nikogo nie pracował, zawsze był swoim własnym szefem. Musk znajduje się prawie w identycznej sytuacji, przez chwilę był podległy Peterowi Thielowi w PayPalu, ale tamten układ bardzo szybko się rozpadł, właśnie dlatego, że Musk nie był w stanie zaakceptować podległości wobec kogoś innego. Nawet osoby tak uznanej, bogatej i pełnej innowacyjnych

eprasa.pl b9ab29a521

pomysłów jak Thiel, inna legenda Doliny Krzemowej.

Maggie Haberman, publicystka „New York Timesa" i autorka książki na temat pierwszej prezydentury Trumpa, dodaje z kolei, że prezydent elekt wcale nie powinien być uważany za biznesmena z wielkimi sukcesami. Fundamenty swojej fortuny i najważniejsze koneksje w branży deweloperskiej i budowlanej zapewnił mu ojciec, a żadna z jego firm nie była tak naprawdę dużą organizacją, przynajmniej jak na standardy rynku amerykańskiego. Haberman twierdzi wręcz, że Trump nie wytrzymuje porównania z innymi biznesmenami, którzy weszli do polityki za oceanem, np. z niedoszłym kandydatem demokratów na prezydenta Michaelem Bloombergiem. Trump nie lubi zarządzać, nie czerpie satysfakcji z wdrażania rozwiązań systemowych. Cieszy się raczej, jeśli uda mu się system spłaszczyć albo po prostu rozwalić. Konstruktywna współpraca w jego przypadku prawie nigdy nie wychodzi.

Stosunek do Chin

Musk nie tworzy przemysłowych imperiów na poziomie Henry'ego Forda, ale pod tym względem jest przeciwieństwem Trumpa. Nawet jeśli coś równa z ziemią, to głównie po to, żeby zastąpić to czymś nowym, większym, zdecydowanie bardziej innowacyjnym. W pewnym sensie jest nawet następcą Forda, choć akurat tradycyjny przemysł motoryzacyjny raczej wpędza do grobu, niż rozwija. Ford i inni giganci przemysłu XX w. wepchnęli Amerykę na drogę industrializacji, powszechnego komfortu i dobrobytu dostępnego klasie średniej, Musk zaś robi to samo w nowych technologiach. Zapewnia już wcale nie tak drogie samochody elektryczne czy dostęp do internetu za pomocą systemu Starlink tam, gdzie nie docierają światłowody czy publiczne instalacje telekomunikacyjne.

Obszarów, w których więcej Muska i Trumpa różni, niż zbliża, jest znacznie więcej. Najważniejszy, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jest stosunek do Chin, choć tu sytuacja jest znacznie bardziej złożona, niż często się wydaje komentatorom amerykańskiej polityki. Niby jest tu potężna sprzeczność: Trump chce otwartej wojny handlowej z Chinami, straszy obudowaniem amerykańskiej gospodarki kilkudziesięcioprocentowymi cłami, Musk natomiast z Chińczykami robi ogromne interesy, fabryka Tesli w Szanghaju jest drugą największą jednostką produkcyjną koncernu. Teoretycznie więc prędzej obaj panowie się tu pokłócą, niż dojdą do porozumienia, bo cła na chińskie produkty bezpośrednio uderzyłyby w Teslę i portfel Muska.

Po dokładniejszej analizie widać jednak, że z tego pozornego impasu da się wybrnąć. Aż 50% wszystkich samochodów produkowanych przez Teslę w Szanghaju trafia na któryś rynek azjatycki, jak zauważa Sebastian Mallaby w rozmowie z „Financial Timesem". Druga połowa jest z kolei eksportowana do Europy. Nawet jeśli Trump ostatecznie nałożyłby cła na chiński import, Musk niekoniecznie je odczuje. Stałoby się tak, dopiero gdyby chińskie władze zaczęły w arbitralny sposób atakować jego biznesy w Państwie Środka, czego nie można wykluczyć.

Innym problemem byłby ewentualny efekt domina w światowym handlu. Amerykański protekcjonizm spotkałby się z identyczną odpowiedzią Pekinu, ale też Brukseli i poszczególnych stolic europejskich, co oznaczałoby zawalenie się pozimnowojennego systemu globalnego wolnego handlu. Wtedy Musk jako przedsiębiorca międzynarodowy sporo by stracił. Zanim jednak aż taka spirala się nakręci, minie trochę czasu i nie wiadomo, czy wtedy Musk, Trump i inni fanatycy rządowej wydajności w ogóle będą grać do jednej bramki.

Dalsza biznesowa dominacja Muska w bardzo dużym stopniu zależy od współpracy właśnie z rządem federalnym. I jest to zdecydowanie najważniejsza sprzeczność w całej tej poplątanej strukturze. Tesla stała się nie tylko gigantem, ale i monopolistą na amerykańskim rynku, bo Elon Musk jest właścicielem 60% wszystkich tamtejszych ładowarek samochodów elektrycznych. A ma ich tak wiele, bo korzystał z rządowych programów wsparcia rozwoju transportu bezemisyjnego. Tak samo było ze SpaceX, utuczonym na kontraktach od NASA i Pentagonu. Podobnie jak zdecydowana większość miliarderów z Doliny Krzemowej Musk nie jest żadnym self-made manem, tylko człowiekiem, którego w odpowiednim momencie wsparło państwo. Trump z kolei nie jest entuzjastą jakiegokolwiek zaangażowania się administracji w gospodarkę. Nie dlatego, że jest twardym reaganowskim neoliberałem. Raczej nie do końca rozumie, jak gospodarka działa.

Tak samo sprawa wygląda z polityką klimatyczną, dla Muska bardzo ważną, a dla Trumpa będącą zlepkiem lewicowych bzdur. Bez ochrony państwa Tesla też sobie poradzi, ale zyski spadną, a na rynku pojawią się rywale, czego właściciel Twittera/X bardzo nie lubi. Analiza tych zależności przynosi pytanie, czy czasem nie wyrośnie mu też rywal w pierwszeństwie do ucha Trumpa. Odpowiedzi nie zna jednak nikt, wliczając w to samego prezydenta elekta.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

Sycylia przeciw mafijnym magnesom

Czy wyspa uwolni się od kultu ojca chrzestnego?

Tomasz Skowronek
Korespondencja z Sycylii

W Palermo, Katanii, Syrakuzach czy w skomercjalizowanej Taorminie – na całej Sycylii w sklepach z pamiątkami można znaleźć gadżety związane z mafią: magnesy, koszulki, otwieracze do butelek i kieliszki do wódki. Jednak popularne wśród turystów miasto Agrigento dystansuje się od „upominków mafijnych". Burmistrz Francesco Micciché wprowadził zakaz sprzedaży czegokolwiek, co może być związane z mafią. Ma to jasno pokazać, że jej gloryfikacja nie jest tolerowana.

„Jako że sprzedaż takich produktów na terenie Agrigento upokarza lokalną społeczność, która od lat angażuje się w szerzenie kultury legalności, zakazuję sprzedaży produktów, które wychwalają mafię lub w jakikolwiek sposób do niej nawiązują", poinformował Micciché we włoskich mediach. Burmistrz chce, aby jego miasto kojarzyło się z zabytkami Valle dei Templi, Doliny Świątyń, czyli wpisanymi na listę światowego dziedzictwa UNESCO pozostałościami greckiego miasta Akragas, a nie z mafią. Dlatego lokalna policja dostała wszelkie uprawnienia, by kontrolować sklepiki z pamiątkami. Tych, którzy mimo zakazu w dalszym ciągu będą oferować turystom mafijne pamiątki: koszulki czy magnesy, czekają grzywny.

Na podobny krok zdecydowały się również władze lotnisk na Sycylii. Regionalny radny ds. infrastruktury i mobilności Alessandro Aricò w piśmie do spółek zarządzających portami lotniczymi w Palermo (Gesap), Katanii i Comiso (Sac), Trapani (Airgest) oraz na Lampedusie (Ast) i Pantellerii (Enac) stwierdził, że „utrzymanie godnego wizerunku, wolnego od negatywnych stereotypów, to niewątpliwie żelazna zasada, której należy przestrzegać w miejscach pierwszego kontaktu turystów z Sycylią".

Skorumpowanym politykom wręcz zależy na wzroście znaczenia mafii.

Już rok temu radny skierował podobny apel do armatorów promów i statków pływających między wyspami regionu: „Propozycja została natychmiast przyjęta. Jestem pewien, że to samo stanie się również na lotniskach. Obiekty te powielają upokarzające dla naszej wyspy stereotypy. Przypominają o zbrodniczym zjawisku, z którego Sycylia próbuje się wyzwolić poprzez codzienne zaangażowanie i ciężką pracę zdecydowanej większości obywateli. Musimy dołożyć wszelkich starań, aby popularyzować prawdziwy obraz naszej gościnnej ziemi".

Tymczasem Sycylia wciąż jest najbardziej znana właśnie ze swojej mafijnej historii. Vito Corleone, ojciec chrzestny z filmu Francisa Forda Coppoli, to stały motyw gadżetów na straganach ulicznych sprzedawców. Wyspa jest kolebką cosa nostry, potężnej mafii, która zyskała przydomek „Ośmiornica".

Sycylijskie władze i stowarzyszenia od lat próbują zerwać z łatką mafijnej wyspy i gloryfikowaniem gangsterów. W ostatnich latach powstało wiele organizacji i inicjatyw antymafijnych. Zmiany są powolne, gdyż skorumpowanym politykom wręcz zależy na wzroście znaczenia mafii, aby mogła się stać dominującą siłą w krajobrazie społecznym i politycznym Sycylii. Mimo wszystko stopniowo to się zmienia, dając mieszkańcom nadzieję na wyzwolenie się spod władzy mafii, również w kwestii kulturowej i wizerunkowej.

W Palermo, w samym sercu starego miasta, znajduje się muzeum No Mafia Memorial, założone w 2018 r. przez Centrum Dokumentacji im. Giuseppe Impastata (nazwane tak na cześć działacza antymafijnego, zamordowanego na początku lat 80).

eprasa.pl b9ab29a521

W sklepach z pamiątkami można kupić mnóstwo gadżetów związanych z mafią.

Co by na to powiedział Marlon Brando?

Już przy wejściu torby i koszulki z nazwą muzeum sprzedają się jak świeże bułeczki. – Spokojnie mogą konkurować z tymi z „Ojca chrzestnego" – żartuje Ario Mendolia, dyrektor muzeum.

Na podstawie imponującego archiwum, które Centrum Dokumentacji pieczołowicie gromadziło przez lata, stworzono dużą, bezpłatną wystawę poświęconą historii włoskiej mafii i jej przestępczej działalności. Obejrzeć można m.in. zdjęcia przedstawiające brutalne sceny zbrodni i twarze gangsterów. – Ważne jest dla nas, aby zniszczyć romantyczną wizję mafii, opartą na klasycznej ikonografii kina. Chcemy pokazać mafię taką, jaka naprawdę jest – wyjaśnia Mendolia.

Pionierem w walce z mafijną popkulturą był burmistrz Leoluca Orlando, który funkcję tę zaczął pełnić w 1985 r. – Palermo było w nędzy. Rządziła nim mafia – wspomina. – Nie było innego wyjścia, jak tylko się podporządkować. Jeśli to zrobiłeś, miałeś pracę, dostęp do opieki zdrowotnej i byłeś chroniony.

Orlando zapoczątkował „odzyskiwanie terytorium" zagarniętego przez przestępców. Jednak dopiero kilka lat później, wraz z przebudzeniem się świadomości społecznej, jego polityka mogła naprawdę rozkwitnąć. Specjalne zespoły zaczęły od oczyszczania miasta z gloryfikujących bossów mafijnych nazw ulic, lotnisk i szkół.

– Przedstawiając ofiary mafii jako bojowników ruchu oporu, stowarzyszenia promują system wartości etycznych, który odzwierciedla zasady republikańskie. Naszym celem jest wyrwanie się spod kultury mafijnej, która opiera się na omercie i kontroli terytorium. Pomaga to również przywrócić prestiż państwa – mówi Charlotte Moge, specjalistka ds. mafii i badaczka z Uniwersytetu Jean Moulin Lyon 3 we Francji.

W czasie rządów burmistrza Leoluki Orlanda nastąpiła stopniowa, ale znacząca zmiana w postrzeganiu mafii. Wcześniej zarówno sami Sycylijczycy, jak i reszta świata traktowali mafię jako nieodłączną część tamtejszej kultury. Obecnie władze lokalne, centralne i inne regiony Włoch próbują ograniczyć gloryfikowanie gangów.

Nowy projekt ustawy przewiduje karę do trzech lat więzienia dla wykonawców piosenek wychwalających bossów mafijnych, a także dla organizatorów pochodów, w trakcie których składany jest „hołd" przed domami gangsterów.

Kary za publiczne czczenie mafiosów dotyczą też popularnych neapolitańskich pieśniarzy stylu neomelodica i twórców murali (Neapol od lat walczy z autorami wizerunków młodych przestępców, którzy zginęli w porachunkach gangsterskich). Neomelodica to rzewne piosenki o „dobrych chłopcach" z mafii. Ten nurt muzyczny zawładnął nie tylko Sycylią i Neapolem, ale rozlał się na całe Włochy.

Jak widać, świat mafii opanowuje nie tylko szlaki przemytu i instytucje władzy, lecz także wyobraźnię Włochów. Wytworzył własną kulturę, którą Sycylijczycy coraz aktywniej próbują jednak wymazać. ■

Nowy projekt ustawy przewiduje karę do trzech lat więzienia dla wykonawców piosenek wychwalających mafijnych bossów.

FOT. SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl b9ab29a521

Pożegnania i pocieszenia

Lucjan Brychczy mógł zostać legendą Ruchu Chorzów, bo jak większość górnośląskich dzieciaków marzył o karierze w szeregach Niebieskich

Wojciech Kuczok

Umarł Lucjan Brychczy. Powiedzieć na Żylecie, że „Kici" był hanysem, to jakby przypomnieć na antenie Radia Maryja, że Jezus był Żydem. A jednak Brychczy – ikona warszawskiej Legii, człowiek, który przy Łazienkowskiej spędził jako piłkarz i trener 70 lat – urodził się na Fryncicie, w Nowym Bytomiu, dzisiaj dzielnicy Rudy Śląskiej, a przed plebiscytem przyzakładowej kolonii Friedenshütte, i pośród familoków się wychował. Brychczy mógł zostać legendą Ruchu Chorzów, bo jak większość górnośląskich dzieciaków marzył w czasach powojennych o karierze w szeregach Niebieskich, ale kiedy przyszedł na testy przy Cichej, zabrakło butów w jego rozmiarze. Urażony nie biegał zbyt zgrabnie w za dużych korkach, więc go odesłano. O losie garbaty, który tak sobie zakpiłeś! To najbardziej parszywy przypadek spośród tych, które wpłynęły na losy śląskiego futbolu – zamiast u boku Gerarda Cieślika „Kici" zadebiutował w Ekstraklasie na stadionie przy Cichej w drużynie przeciwnej, bo pierwszy mecz w barwach Legii zagrał właśnie z Ruchem w Chorzowie jesienią 1954 r. A potem poszło jak w bajce – rekordowe 182 gole ligowe dla CWKS, takoż rekordowe 452 mecze w barwach Wojskowych i pół wieku na ławce trenerskiej.

Powiedzieć, że Legia pogrążyła się w żałobie, to nic nie powiedzieć – niewielu już zostało wśród żywych kibiców, którzy pamiętaliby Legię bez Brychczego. „Kici" przy Łazienkowskiej był zawsze, jego odejście to dla Legionistów koniec epoki, a nawet koniec świata. Przydomek otrzymał z uwagi na nikczemny wzrost – 166 cm – od trenera Jánosa Steinera. „Kicsi" po węgiersku znaczy „mały", co nie przeszkodziło mu zostać wielkim piłkarzem. Także ze względu na jego długowieczność – w czasach gdy piłkarze po trzydziestce wieszali już buty na kołku, on strzelał hat tricka w Pucharze Europy – wiosną 1970 r., jako napastnik 36-letni!

Żeby jednak nie ulec zanadto zmartwieniom, skierujmy uwagę tam, gdzie futbolowi szowiniści nie kierują jej na co dzień. Mamy bowiem w FC Barcelona oprócz Roberta Lewandowskiego jeszcze jedną gwiazdę piłkarską, która regularnie strzela gole. Ewa Pajor, nasza najlepsza napastniczka, od tej jesieni lukratywnie (jak na warunki futbolu kobiecego) zakontraktowana przy Camp Nou, odpłaca się golami i bajecznie wysokimi notami (za hat tricka w derbach z Españolem dostała dziesiątkę). Kapitanuje też naszej kadrze narodowej, którą właśnie powiodła do historycznego sukcesu – nasze orlice przebrnęły dwuetapowe baraże i awansowały do przyszłorocznych mistrzostw Europy. Po wyeliminowaniu Rumunek Polki dwukrotnie wygrały z Austriaczkami, a decydującego gola w doliczonym czasie wyjazdu wiedeńskiego zdobyła właśnie Pajor. Jeszcze wiosną tego roku nasze piłkarki dostawały baty od tych samych Austriaczek w rozgrywkach grupowych, ba, przegrywały wszystko jak leci, z Niemkami, a nawet z Islandią. Mój rozum nie ogarnia, jakim cudem regulamin sprawił, że miały jeszcze szanse w barażach, ale wykorzystały je perfekcyjnie: cztery mecze, cztery wygrane i będzie Euro 2025 (przełom czerwca i lipca wbrew tradycji lat nieparzystych nie będzie piłkarsko martwy – nasze dziewczyny powalczą na mistrzostwach, poza tym czeka nas klubowy mundial w niespotykanej dotąd formule, a na przystawkę finały Ligi Narodów).

O tym, że w Polsce piłka kobieca emancypuje się z niejakim poślizgiem, świadczy fakt, że dopiero od trzech lat naszą kadrę trenuje kobieta, Nina Patalon. Pomnę czasy, gdy kadrę kobiet przejmowali trenerzy „w kryzysie", co to w piłce męskiej chwilowo nie mogli liczyć na sensowną posadę (vide Albin Wira w 2000 r.). Sam miałem w dzieciństwie szczęście grać wielokrotnie przeciw Grażynie Palus, w latach 90. reprezentantce Polski i snajperce Czarnych Sosnowiec, bośmy chodzili do tej samej chorzowskiej podstawówki nr 10. W rówieśniczych pojedynkach międzyklasowych grała z chłopakami, różnice fizyczne nadrabiając zadziornością i techniką. Koleżanka Palus zbyt wiele razy „założyła mi siatę" na szkolnym boisku, żebym mógł nie szanować żeńskiego futbolu. Jeśli byłem dotąd impregnowany na kobiecą piłkę w wersji rodzimej, to za sprawą jej braku sukcesów – dość mi bowiem było zamartwiania się ilorazem indolencji naszych futbolistów. Tymczasem orlice pokazały charakter i wywalczyły

FC Barcelona ma jeszcze jedną gwiazdę, która regularnie strzela gole i zdobywa wysokie noty. Ewa Pajor za hat tricka w derbach z Españolem dostała dziesiątkę.

eprasa.pl b9ab29a521

Powiedzieć, że Legia pogrążyła się w żałobie, to nic nie powiedzieć – niewielu już zostało wśród żywych kibiców, który pamiętaliby Legię bez Lucjana Brychczego.

historyczny awans, podczas gdy orły zaliczyły historyczny spadek – może to być zatem gamechanger w kwestii popularyzacji piłki nożnej pań nad Wisłą.

A skoro już łączy nas piłka, zwróćmy uwagę na mundial socca, który odbywał się w Omanie, zwłaszcza że w sześcioosobowej piłce nożnej jesteśmy światową potęgą. Być może wynika to z genetycznych predyspozycji narodowych – im mniej Polaków musi się ze sobą dogadać, tym łatwiej o sukces. W piłce szóstek zdobyliśmy już trzy medale mistrzostw świata: dwa srebrne i jeden brązowy, tegoroczny mundial zaczęliśmy zaś od wygrania grupy nieprzerwaną serią zwycięstw. Nie czyni Polakom różnicy, czy grają z Francją, Turcją, Haiti czy z Egiptem, bo to nas wszyscy się bali. Łoiliśmy rywali bezlitośnie, w składzie mieliśmy byłego reprezentanta piłki „normalnej", Adriana Mierzejewskiego. Nasz drugi ekskadrowicz, Ludovic Obraniak, wybrał grę dla swojej drugiej ojczyzny, a walczył o punkty dla Francuzów m.in. u boku jednego z największych ekscentryków francuskiej piłki, Djibrila Cissé.

Polacy lubią oglądać dyscypliny, w których wygrywamy. Zanosi się na to, że tej zimy dotrze do wszystkich, że skoki narciarskie definitywnie już takim sportem być przestały. Pokolenie Stocha, Żyły i Kubackiego pokonała peseloza, a następców brak. Warto zatem przenieść uwagę na te dziedziny, które przysparzają nam radości – niech to będą piłkarskie szóstki, bliżej im do macierzystej dyscypliny niż futsalowi, bo przynajmniej gra się pod gołym niebem i na trawie. Niestety, przytrafiła się nam sensacyjna porażka w meczu o ćwierćfinał – po serii karnych pokonali nas Rumuni. Tak czy owak, sporty zespołowe, w których niespodzianką są nasze porażki, można policzyć na palcach kalekiej dłoni.

Niniejszym kajam się i za to, że ani słowem nie wspomniałem dotąd o brązowym medalu mundialowym naszych ampfutbolistek, które przed miesiącem pokonały Kenijki w meczu o trzecie miejsce na świecie. Jak człowiek zanadto się skupia na masochistycznych rozkoszach i nie odrywa wzroku od poczynań chłopców Michała Probierza, dochodzi do kompromitujących przeoczeń.

Mamy wszakże czym się pocieszać w niedoli. O roku reprezentacyjnym sporządzę kąśliwy raport do jednego z numerów świątecznych. Tymczasem zakończyły rozgrywki nasze ligi, na czele z najbardziej przepłacaną Ekstraklasą. Drużyny eksportowe poradziły sobie zaskakująco dobrze – „puchary jako pocałunek śmierci" w polskich realiach najwyraźniej przestają działać – Jagiellonia i Legia uplasowały się w okolicach podium z jak najbardziej odrabialną stratą do liderującego Lecha, krakowska Wisła zaś czai się na barażowym miejscu przed wiosenną walką o powrót do elity. Najgroźniejszym kandydatem do tytułu jest zimnokrwisty Raków Częstochowa, odzyskany i poukładany po roku przerwy przez Marka Papszuna. Raków na defensywie stoi, traci mało i strzela niewiele więcej. Dziennikarze prowokują trenera zarzutami o „zabijanie futbolu", ale Papszun robi swoje – zna już smak mistrzostwa i zamierza przywrócić Częstochowie miano stolicy polskiej piłki.

Polacy strzelać goli za bardzo nie potrafią. Ci, którzy tę umiejętność posiedli, natychmiast wyjeżdżają do bogatszych lig, dlatego w tabeli strzelców Ekstraklasy pierwszych siedem miejsc zajmują obcokrajowcy. Próżno wśród nich szukać znanych nazwisk, jedynym etatowym napastnikiem swojej reprezentacji jest zaś grający w Cracovii Fin Benjamin Källman, ale Finowie pozostają jedyną skandynawską nacją bez futbolowych sukcesów. By się stać skutecznym egzekutorem w polskiej lidze, nie trzeba być nawet gwiazdą o umiarkowanym blasku. Największym przegranym jesieni okazał się wrocławski Śląsk, dzisiaj czerwona latarnia Ekstraklasy, a jeszcze przed półroczem drużyna, która do ostatnich minut walczyła z Jagiellonią o tytuł mistrzowski. Zmiany personalne nie pomogły – nic nie dało pożegnanie trenera Magiery, a nowy dyrektor sportowy nie znalazł pomysłu na wyjście z kryzysu. Na domiar złego podczas wizyty w ratuszu Naczelna Izba Kontroli wzięła pod lupę sprawę zawyżonej ceny podczas niedoszłej sprzedaży klubu (Śląsk jest klubem miejskim), czarne chmury zbierają się zatem nad wrocławską piłką nie tylko w wymiarze sportowym.

■

FOT. TOMASZ RADZIK/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl b9ab29a521

Zabawy czy za bary z językiem?

W mojej ocenie zmiany w ortografii polskiej są obecnie niepotrzebne. Normalizacja języka powinna jednak zostawiać nam trochę swobody

Rozmawia Grzegorz Przepiórka

PROF. MIROSŁAW BAŃKO
– językoznawca, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor wielu słowników oraz założyciel Poradni Językowej PWN, członek Rady Języka Polskiego

Zawodowo zajmuje się pan językoznawstwem. Co pana fascynuje w języku?

– Język może fascynować z różnych powodów. Na przykład jego narodziny są okryte mrokiem tajemnicy. Sam fakt, że język istnieje, jest fascynujący. Ale żeby do czegoś konkretnego się odnieść, to powiem, że mnie w języku najbardziej fascynuje jego otwartość. Tam wszystko jest. Wyrazy mądre i głupie, nowe i takie, które trącą myszką lub w ogóle wyszły z użycia, ale mogą być przypomniane. Rodzime i obce. Ogólnopolskie i dialektalne. Język to również mnóstwo synonimów, na pozór dublujących się, ktoś mógłby powiedzieć – niepotrzebnych. Ale gdy im się przyjrzeć bliżej, to okazuje się, że powiększają siłę ekspresji języka, paletę barw. Mnie się wydaje, że język to jest model otwartego społeczeństwa. Oczywiście są w języku też relikty uprzedzeń i krzywdzących stereotypów. Ogólnie rzecz biorąc, język to taki bardzo bogaty zasób, z którego trzeba umieć korzystać.

Mamy porozmawiać m.in. o ortografii. Dla niektórych ortografia i interpunkcja to upiór, z kolei innych te dziedziny pochłaniają. Pójdźmy tropem tych drugich. Gdzie upatrywać źródła fascynacji językowymi prawidłami?

– Może to wynikać z postrzegania prawidłowości w świecie. Dostrzeganie powtarzalności zjawisk i związków, które je łączą, to jest coś, co nasi przodkowie ewolucyjni musieli opanować do perfekcji, bo od tego zależało ich przeżycie i perspektywa przetrwania gatunku. Ale czym innym oczywiście jest obiektywna prawidłowość, a czym innym prawidło ortograficzne. Przyznam się, że to słowo kojarzy mi się z prawidłem szewskim, i to nie jest najlepsze skojarzenie. Od prawidła szewskiego jest krótka droga do szewskiego kopyta i wtedy przychodzi do głowy myśl, że te prawidła językowe są po to, byśmy wszyscy zaczęli mówić i pisać na jedno kopyto. Według mnie normalizacja języka powinna nam jednak zostawiać trochę swobody, zwłaszcza tym osobom, które są bardziej świadome. Innymi słowy, opowiadam się za tym, czego większość użytkowników języka polskiego nie lubi, czyli za zwiększoną wariancją.

Z początkiem 2026 r. zaczną obowiązywać zmiany w ortografii na mocy tegorocznej uchwały Rady Języka Polskiego. Jakie mają uzasadnienie?

– Ponieważ sam od niedawna jestem członkiem rady, jest mi niezręcznie mówić źle o uchwale, którą ten organ przyjął, ale chyba wolno mi powiedzieć, że w mojej ocenie zmiany w ortografii polskiej są obecnie niepotrzebne.

Z reguły takim zmianom, i tym obecnym, i wcześniejszym, towarzyszy nadzieja, że nowa pisownia będzie lepsza od obecnej, łatwiejsza do przyswojenia. Zawsze częściowo te nadzieje się spełniają, a częściowo nie, bo coś upraszczamy, a coś innego nieświadomie komplikujemy. Do Rady Języka Polskiego już napływają pytania, zarówno od osób fizycznych, jak i prawnych, dotyczące nowych regulacji, a powołany w radzie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b9ab29a521

zespół do spraw reformy ortograficznej pracuje nad szczegółami przepisów. Częściowo już je pozmieniał, co prawda twierdzi, że to są jedynie zmiany techniczne. Myślę, że na tym się nie skończy.

Ponadto zmiany w ortografii pociągną za sobą koszty, o których reformatorzy na ogół nie myślą, bo sami ich nie ponoszą. Trzeba by przedrukować podręczniki szkolne i lektury. Nikt dzisiaj nie nakaże wydawcom podjąć takiego ryzyka. Być może sami zapłacimy za to z budżetu państwa. Nie wiem, czy to jest obecnie najbardziej potrzebny wydatek.

Skórka za wyprawkę?

– Prof. Jan Tokarski kilka dekad temu w książce „Traktat o ortografii polskiej" wspominał, że jako dziecko w szkole podstawowej uczył się pisać waryjat, potem w szkole średniej pisał warjat, a jako osoba dorosła uczył innych pisać wariat. Ten żartobliwy przykład oddaje istotę rzeczy – zmiany w ortografii często są jałowe. Można podać przykłady nawrotu do pisowni wcześniej obowiązującej.

Najbardziej dziwi mnie to, że reformatorzy często w tonie pojednawczym, a więc niejako dla usprawiedliwienia, mówią: czego od nas chcecie, my zmieniamy tylko tzw. zasady konwencjonalne, czyli dotyczące użycia wielkiej lub małej litery oraz pisowni łącznej lub rozdzielnej. A mnie wtedy przychodzi do głowy pytanie: dobrze, ale skoro zmieniamy tylko zasady konwencjonalne, to po co je w ogóle zmieniać? Przecież wartością każdej konwencji jest to, że się jej przestrzega. Osoby dorosłe już sobie konwencję polskiej ortografii przyswoiły w takim zakresie, w jakim jest to potrzebne w ich życiu, a dzieci i młodzież uczą się ortografii w szkole.

Nie ma żadnych dowodów na to, że nowa pisownia będzie łatwiejsza od dotychczasowej. Te wszystkie nadzieje są oparte wyłącznie na przeświadczeniach, intuicjach, nie podjęto badań empirycznych. W rezultacie na jednej szali mamy niejasne i niepewne korzyści, a na drugiej stuprocentowe koszty.

Pomijając zasadność tych zmian, przyjrzyjmy się niektórym z bliska. Nowe zasady eliminują niekonsekwencje, takie jak choćby pisownia wielką literą słowa Aleje i małą literą aleja. Skąd się biorą takie chochliki, które potem wymagają ujednolicenia?

– Część osób sądzi, że to rozróżnienie jest nielogiczne, stanowi nieuzasadniony wyjątek, i należałoby ujednolicić pisownię, tak jak się to stało w nowej uchwale Rady Języka Polskiego. Tymczasem różnica między aleja a Aleje jest uzasadniona tym, że kiedy chodzi o aleję w liczbie pojedynczej, to często wystarczy nam tylko druga część nazwy i mówimy na przykład: spotkamy się na Słowackiego. Natomiast nie mówi się, a jeśli tak, to bardzo rzadko, że spotkamy się w Jerozolimskich albo w Ujazdowskich. Nie wiem, czy akurat o tym myśleli kodyfikatorzy, wówczas gdy uzgodnili taką różnicę między aleja a Aleje, ale jak widać, jakieś powody tego rozróżnienia w ortografii są.

Czym się kierują instytucje reformujące polską pisownię?

– To trudne pytanie, bo motywy mogą być różne. Sytuacja wyglądała inaczej po roku 1918, kiedy należało ujednolicić polską pisownię, różnie rozwijającą się w poszczególnych zaborach. Wówczas reformy ortografii, których dokonywano niemal przez całe 20-lecie międzywojenne, były uzasadnione. XII wydanie „Pisowni polskiej PAN" z 1956 r. wniosło bardzo niewielkie zmiany, właściwie uściślenia. Następne wydanie, przygotowane do druku w 1963 r., nie zostało dopuszczone do użytku. Ministerstwo Oświaty wycofało się wtedy z poparcia dla zmian, które były podobne do obecnych i w bardzo podobnych okolicznościach jak dziś wzbudziły niepokój społeczny.

Nie wiem, czym tym razem kierowała się Rada Języka Polskiego. Trzeba powiedzieć, że ma prawo do wprowadzania tego rodzaju zmian, gdyż w Ustawie o języku polskim jest napisane, że RJP kodyfikuje polską ortografię. Ale mieć kompetencje, a korzystać z nich to dwie różne sprawy. Najlepiej, gdyby rada ponownie skorzystała ze swoich kompetencji i wycofała się z tej uchwały albo zawiesiła ją na czas nieokreślony.

To popłynę dalej pod prąd. Dlaczego tych zmian jest tyle, ile jest, czyli stosunkowo niewiele? Na przykład dlaczego nie pisać wszystkich wyrazów przez u zwykłe?

– Gdybyśmy słowo główka zaczęli pisać głuwka, to zatarlibyśmy jego związek z głową. Tak dalece idące reformy nie przychodzą do głowy nawet najbardziej zagorzałym reformatorom. Pozostawmy te pomysły artystom. Oni mają do tego prawo – nuż w bżuhu, że zacytuję futurystów – to ich domena, a my musimy pozostać przy problemach z ó, u oraz rz, ż, h i ch. Jakoś sobie dajemy radę. Nie należy wymagać od wszystkich pełnych kompetencji ortograficznych, ponieważ uczestniczymy w życiu publicznym w różnym stopniu. Niektórzy z nas rzadko biorą pióro do ręki. Kompetencje ortograficzne i językowe mogą być zróżnicowane.

Jaki stosunek do ortografii mają Polacy?

– Jesteśmy przewrażliwieni na punkcie poprawności ortograficznej. Na przykład prawnik, który zrobi błąd w piśmie procesowym, traci w naszych oczach jako prawnik, a nie użytkownik języka polskiego. Zaczynamy powątpiewać w jego kompetencje zawodowe. Wspomniany przeze mnie prof. Jan Tokarski zaobserwował, że błąd ortograficzny kompromituje bardziej niż pomyłka w mnożeniu czy mieszanie ważnych dat historycznych. A z nowszych przykładów przypomnijmy sobie, jakie wyrazy krytyki czy wręcz szyderstwa skierowano pod adresem prezydenta Komorowskiego, kiedy wpisał się do księgi kondolencyjnej wyłożonej w ambasadzie Japonii z wyrazami „bulu i nadzieji". Czyli w tych kilku słowach zrobił dwa błędy ortograficzne. Oczywiście wolelibyśmy, żeby prezydent nie robił

Nie ma żadnych dowodów na to, że nowa pisownia będzie łatwiejsza od dotychczasowej.

eprasa.pl b9ab29a521

błędów w pisowni, ale czy kompetencje ortograficzne są najważniejsze spośród kompetencji głowy państwa? Można porównać dziś prezydenturę Bronisława Komorowskiego z prezydenturą jego następcy. Andrzej Duda nie robi błędów ortograficznych, ale o tym, co robi, można by wiele mówić.

W 1995 r. Mariusz Szczygieł napisał reportaż „Pokaż język", w którym tropił cechy szczególne języka polskiego. Pójdźmy tropem tego tekstu: „Obserwatorium Językowe Polskiej Akademii Nauk wyszukuje nowe słowa. Tak jak obserwatoria astronomiczne wypatrują nowych gwiazd, tak językoznawcy PAN szukają nowych wyrazów". Jakie nowe wyrazy w języku polskim zrobiły na panu w ostatnim czasie największe wrażenie? Które z nich wzbogacają, a które zubażają język polski?

– Moim zdaniem wszystkie neologizmy wzbogacają język, nawet te, które w pierwszej chwili wydają się niepotrzebne. Ważne, aby nie kierować się tylko swoim oglądem. Mnie jakieś słowo może wydawać się niepotrzebne, ale skoro jest w użyciu, to znaczy, że ktoś go potrzebuje. Język to jest skarbiec, z którego należy umieć korzystać, i to, że jakieś wyrazy są być może nadużywane lub używane niewłaściwie, nie znaczy, że w ogóle powinniśmy ich się wyrzec i z języka usunąć. A jeśli chodzi o przykłady moich ulubionych neologizmów, to chyba pana rozczaruję, bo ja mam niewielkie zamiłowanie do nowych wyrazów. Mnie wystarczą te stare.

Jakie najważniejsze zmiany zaszły w języku polskim przez ostatnie 30 lat?

– Na pewno jesteśmy świadkami internacjonalizacji języka polskiego – to widać w zapożyczeniach leksykalnych z innych języków, ale również w gramatyce, w tym w słowotwórstwie (choćby w tym, jak sobie przyswoiliśmy nowe, obce przedrostki i przyrostki). Inna tendencja widoczna w minionym 30-leciu to upraszczanie formuł konwersacyjnych, demokratyzowanie się języka, zwłaszcza w zakresie językowej grzeczności. Różnie jest to oceniane. Niektórzy uważają, że jesteśmy coraz mniej kulturalni. Inni zwracają uwagę, że grzeczność językowa staje się bardziej nastawiona na pragmatyczne aspekty komunikacji. Trzeba pamiętać, że wzory językowe dyktowały te warstwy społeczne, które miały dużo wolnego czasu, więc w sytuacji, kiedy to się zmieniło, zwięzłość stała się priorytetem. Nadal jednak oddajemy się też błahej i na pozór próżnej konwersacji, co znaczy, że wciąż więziotwórcza funkcja języka jest ważna. Rozmawiamy ze sobą czasem tylko po to, żeby podtrzymać więzi, a nie przekazać jakieś istotne informacje. Grzeczność językowa podporządkowała się tej tendencji, upraszcza się, ale nadal służy temu, by język nas łączył i scalał.

Jak dzisiaj zmienia się język polski? Z jakimi jeszcze trendami mamy do czynienia?

– W języku zachodzą zmiany, które mają uczynić go narzędziem bardziej inkluzywnej, czyli niedyskryminującej komunikacji. Nie chcemy wykluczać żadnej grupy językowej i to się przejawia m.in. w upowszechnianiu form żeńskich, tzw. feminatywów, a od niedawna także osobatywów. Ostatnio otrzymałem zaproszenie, w którym osoby studenckie zwracały się do osób profesorskich. Te konstrukcje, czyli osobatywy, są po to, żeby nazwa obejmowała również osoby o niejednoznacznej lub niedookreślonej tożsamości płciowej. Mnie osobatywy uwierają – są niewygodne, bo długie i trochę sztuczne – natomiast nie mam problemów z feminatywami, jestem gotów poprzeć i ministrę, i prezydentkę, a nawet... jak by utworzyć formę żeńską od formy tchórz? Tchórzka? Tchórzyni? Często takie przykłady przytacza się po to, by zdyskredytować tendencję do upowszechniania nazw żeńskich. Myślę, że niesłusznie, bo życie samo dyktuje nam tempo i kierunek zmian. Z biegiem czasu będziemy coraz bardziej przyzwyczajać się do ministry, dziekany i prezydentki. Natomiast problematyczna na razie tchórzka czy magini, forma żeńska od mag, nie powinny być kontrprzykładem, bo na razie nie mają odniesienia do faktycznych potrzeb społecznych.

Co jeszcze dzisiaj wpływa silnie na język polski? Cyfryzacja?

– Tak, oczywiście nowe techniki i nowe media powodują zwiększony napływ zapożyczeń do języka polskiego, ale bez obaw – w tychże dziedzinach powstają także rodzime formacje słowotwórcze. A jeśli chodzi o wpływ cyfryzacji, to wydaje mi się, że powinniśmy poważnie się liczyć z tym, że polszczyznę niedługo będą współtworzyły z nami urządzenia typu chatbotów. Tak jak w „Słowniku języka polskiego" Lindego wyrazy ilustrowane są przykładami z utworów pisarzy i poetów, tak niewykluczone, że w jakimś słowniku w nieodległej przyszłości wyrazy będą ilustrowane wypowiedziami Chata GPT lub jego następcy.

Jak to wpłynie na użytkowników języka polskiego? Czy nie odbije się na nas zjawiskiem określanym jako wtórny analfabetyzm?

– Pan prosi, żebym przewidywał przyszłość, a jak sobie żartował kiedyś prof. Jerzy Bralczyk, przyszłość jest najtrudniejsza do przewidzenia, chociaż z drugiej strony przewidzieć można tylko przyszłość, bo to wynika z samego znaczenia czasownika przewidzieć. Ale serio mówiąc, staram się unikać czarnowidztwa i nie mówić, że popadamy w jakiś wtórny analfabetyzm, choćby dlatego, że to brzmi deprecjonująco. Myślę, że zmieniają się nasze kompetencje, uczymy się nowych narzędzi. O przyszłość języka i naszych kompetencji językowych i kulturowych jestem spokojniejszy niż o przyszłość świata w ogóle. Bardziej mnie martwi to, co słyszę o kryzysie klimatycznym i zaciemnianiu się horyzontu politycznego wokół nas.

Jak edukować młodych ludzi, jak zarażać ich pasją do języka?

Mnie osobatywy uwierają – są niewygodne, bo długie i trochę sztuczne – ale nie mam problemów z feminatywami, jestem gotów poprzeć i ministrę, i prezydentkę.

eprasa.pl b9ab29a521

– Nie jestem specjalistą od edukacji językowej. Moje zajęcia na uniwersytecie na czym innym polegają. W związku z tym mogę się odwołać chyba tylko do swoich doświadczeń z okresu kilkunastu lat pracy w Poradni Językowej PWN, którą założyłem w roku 2000. W odpowiedziach, których udzielałem, przyświecał mi zawsze cel, by były nie tylko adekwatne, prawdziwe na tyle, na ile jest to możliwe, by trafiały w sedno, ale by były również zajmujące i estetyczne. Zdaje się, że internauci zauważyli to staranie, ponieważ przykleili mi etykietkę, z którą zresztą nie całkiem się identyfikowałem. Teraz już zapomnianą, ale w pewnym momencie działała witryna pod nazwą „Cięte riposty profesora Bańko". Zaskoczyło mnie to, bo nigdy nie myślałem o sobie jako o bokserze lub szermierzu, który ripostuje, niejako odpierając atak. Starałem się jedynie o formalne, w szczególności estetyczne walory swoich wypowiedzi, bo zakładałem, że wówczas stają się one bardziej zajmujące i trafiają do przekonania. Jeśli można by coś na podstawie tych doświadczeń uogólnić, to właśnie to, żeby uczyć, bawiąc. Niczego nowego tu nie wymyśliłem, to starożytna formuła, ale wciąż aktualna.

Posłużmy się jeszcze raz reportażem Mariusza Szczygła. „[Prof. Smółkowa] Pytana, jak opisuje się teraz Polskę, mówi, że od sześciu lat najłatwiej się to robi za pomocą przedrostków. Na przykład: post-, super-, de-". To wczoraj. A dziś?

– Jeśli brać pod uwagę poziom napięć społecznych i polaryzacji, to przedrostek anty- dobrze charakteryzowałby dziś stan polskiego społeczeństwa. Natomiast jeśli spojrzeć przez pryzmat form spędzania wolnego czasu, myślę, że bardzo dobrym przykładem jest angielskie -ing w słowach takich jak balkoning – co podobno oznacza skakanie z balkonu do basenu hotelowego, plażing – nie trzeba tłumaczyć, buwing – spędzanie czasu w naszej bibliotece uniwersyteckiej, niekoniecznie w celu czytania książek. Próba naszkicowania portretu współczesnej Polski za pomocą afiksów obcego pochodzenia to pomysł na świetną zabawę, ale trzeba więcej czasu, by to zadanie wykonać wyczerpująco.

Tyle o Polsce, a co możemy powiedzieć o Polakach jako użytkownikach języka polskiego? Co język mówi o nas?

– Z ankiet i z innych danych wynika, że Polacy są często niepewni swojego języka, co jest dziwne, bo powinien być nam bliski jak koszula ciału. Ten brak poczucia pewności we własnym języku przejawia się m.in. w zachowaniu osób, które rozmawiają z polonistą, a nie daj Boże z językoznawcą polonistą, i mówią, że aż się boją, bo mogą jakiś błąd zrobić. Innymi słowy, traktują nas tak, jakby naszą powinnością było tropienie błędów w cudzych wypowiedziach. Tymczasem nie o to chodzi, językoznawcy nie tym na ogół się zajmują.

Skrępowanie, pielęgnowanie w sobie kompleksów, poczucia niższości, utwierdzanie się w przekonaniu, że język polski jest rzekomo najtrudniejszy na świecie, więc i tak nie będę go nigdy umiał czy umiała – to nie jest dobry pomysł. Trzeba wziąć się z językiem za bary. Ale w konwencji – na tyle, na ile można – nieuciążliwej, czyli traktować język jako coś, co powinno nam służyć i sprawiać przyjemność. A my, badacze języka, ludzie zainteresowani językiem, jego miłośnicy, powinniśmy w większym stopniu zachęcać użytkowników języka do twórczego i przemyślanego korzystania z jego zasobów. Po to, by budzić więcej śmiałości i zwiększać zakres językowej swobody w zachowaniu.

Grzegorz Przepiórka

KSIĄŻKI

Historie z życia wzięte

Sławomir Rogowski, *Za tamtymi drzwiami*, Muza SA, Warszawa 2024

„Za tamtymi drzwiami" to trzecia prozatorska książka Sławomira Rogowskiego. Ma on też niemały dorobek jako scenarzysta i producent filmów, autor słuchowisk radiowych, a także medioznawca. Nowa książka przynosi 17 opowiadań, na pozór typowych, ale według zawartej we wstępie deklaracji autora to opowieści z życia wzięte – mówią o ludziach z rodziny lub z jej kręgu. Autor chce ocalić od zapomnienia bohaterów i ich dzieje, pokazując różne warianty „polskich dróg". Drogi te splatają się w wioskach i miasteczkach leżących wokół Jędrzejowa, a historie teoretycznie są lokalne, toczą się w precyzyjnie określanych miejscach. Jednak ta lokalność rzucana jest na tło historyczne II wojny światowej, ruchu oporu, powojennej odbudowy, a w wypadku jednej z opisywanych rodzin również zesłania na Syberię. Bohaterowie stają w obliczu dylematów dotyczących m.in. angażowania się w pomocy Żydom czy kontaktów z Niemcami.

Koleje ich życia relacjonowane są na pozór beznamiętnie, co jednak tylko uwypukla dramatyzm wydarzeń. Czasem są to historie obejmujące kilkanaście albo kilkadziesiąt lat, całe życie bohatera czy rodziny, czasem to przede wszystkim portrety, np. babki czy wuja autora.

Połączenie zwyczajności ludzkich losów z ich nadzwyczajnością – będącą często skutkiem historii – to bezsporna zaleta tej książki. Zaletą jest także umiejętność oddania szczegółów, pisania o rzeczach drobnych (np. hodowla królików), lecz wymownych, pozwalających na pokazanie sylwetki i psychiki bohatera z czułością i zrozumieniem. Ułożone chronologicznie teksty obejmują lata przedwojenne, okres wojny i powojnia, aż po nasze dni w niezwykle osobistym, zamykającym zbiór „Pustym mieszkaniu".

„Za tamtymi drzwiami" to proza wartka, treściwa, skondensowana, rzeczowa i emocjonalna zarazem.

(k)

eprasa.pl b9ab29a521

Ziemia dla rolników

Dzierżawa gruntów, którymi zarządza Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, jest ważną pomocą dla rolników chcących powiększać swoje gospodarstwa

Grzegorz Rudnik

Po wejściu Polski do Unii Europejskiej ceny gruntów rolnych zaczęły systematycznie rosnąć. Jeśli w 1990 r. hektar ziemi można było kupić za równowartość obecnych 5 tys. zł, dziś trzeba za niego zapłacić 50-65 tys. zł i więcej w zależności od klasy gruntu. W tych okolicznościach opłacalna stała się dzierżawa. Przy czym najlepiej gruntów z Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa, którym zarządza Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Okazało się, że opłaty dzierżawne nie drenują tak kieszeni rolników jak zakup ziemi, zazwyczaj na kredyt.

Mimo trudnych warunków ekonomicznych nie brakuje gospodarzy chcących powiększyć gospodarstwa. Przetargi organizowane przez Oddziały Terenowe KOWR przyciągają uwagę licznych rolników gotowych wiele zapłacić za prawo do użytkowania ziemi.

Proces powiększania gospodarstw rolnych trwa od lat. W roku 1990 średnie gospodarstwo miało 8,7 ha, a w roku 2024 już 11,59 ha. Aczkolwiek nie w każdym województwie, bo w takich jak małopolskie czy podkarpackie rolnicy gospodarują średnio na 4-5 ha. Z kolei w województwach warmińsko-mazurskim, pomorskim czy lubuskim typowe gospodarstwo liczy od 20 do 24 ha. Największe gospodarstwa znajdziemy w województwie zachodniopomorskim. Tamtejsi rolnicy mają do dyspozycji średnio aż 33,5 ha.

Dzierżawa stała się opłacalna, lecz jej koszt zależy od województwa. W tym roku najwyższe stawki płacą rolnicy z Wielkopolski, Opolszczyzny i Kujawsko-Pomorskiego, a najniższe ci z Zachodniopomorskiego i Podkarpacia. To jeden z przykładów zmian na polskiej wsi po roku 1990.

Z czym zaczynaliśmy

W 1990 r. w kraju funkcjonowało 1,85 mln gospodarstw. Wartość dodana rolnictwa osiągała zaledwie 6,8 mld euro i była trzykrotnie niższa niż w Niemczech i o ponad 30% niższa niż w Holandii. Udział rolnictwa w PKB wynosił wówczas 3,9%. Polski sektor rolno-spożywczy był bardzo słabo związany z rynkami zagranicznymi. Jeszcze w 2002 r. nasz kraj był importerem netto żywności. Wartość eksportu naszej żywności nie przekraczała 3,6 mld euro, import zaś wynosił ok. 4 mld euro. Polska wieś i rolnictwo były niedoinwestowane, a infrastruktura na wsi wymagała głębokich zmian i wsparcia finansowego.

31 grudnia 1993 r. zgodnie z sejmową ustawą z 1991 r. ostatecznie zlikwidowane zostały państwowe gospodarstwa rolne. Ich mienie przejęła i częściowo rozdysponowała oraz próbowała zagospodarować Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa. Tak formalnie przestały istnieć wielkie państwowe gospodarstwa, które wówczas przedstawiano jako przykład socjalistycznej niegospodarności.

By zlikwidować to największe – kombinat rolno-przemysłowy Igloopol z siedzibą w Dębicy – potrzebna była specjalna ustawa sejmowa. Cóż, firma gospodarowała na 80 tys. ha ziemi i zatrudniała 35 tys.

eprasa.pl b9ab29a521

pracowników. Nie można było jej rozpędzić ot tak.

Bardzo szybko okazało się, że konsekwencje podjętych w 1991 r. decyzji były opłakane. Dziesiątki tysięcy hektarów leżały odłogiem. Na wsi pojawiła się 300-tysięczna armia bezrobotnych, zdewastowane budynki dawnych pegeerów świeciły pustkami, zmniejszyła się wielkość produkcji rolnej.

W tamtych latach Polska importowała żywność, gdyż krajowa produkcja nie była w stanie zaspokoić popytu. Dramatycznie brakowało środków na inwestycje. By zapewnić gospodarstwu rentowność, potrzeba było nie tylko ziemi, ale też kredytów i nowych maszyn rolniczych. Ostre reguły terapii szokowej zafundowanej przez plan Balcerowicza gwałtownie ograniczyły rozmiary produkcji rolnictwa państwowego. Ogólna powierzchnia zasiewów w latach 1989-1993 zmniejszyła się o 39,5%, w tym powierzchnia uprawy zbóż o 19,1%, ziemniaków o 76,7%, buraków cukrowych o ponad 36%, a rzepaku o 70%.

Zmalała także produkcja zwierzęca. Pogłowie bydła spadło o 60%, w tym krów o 56%, trzody chlewnej o 52%, a owiec o 80%. O ponad połowę spadła produkcja mleka, a sprzedaż żywca o 70%. W latach 1990-1991 w wyniku wprowadzenia wysokiego oprocentowania kredytów zadłużenie pegeerów gwałtownie wzrosło, co pogorszyło i tak już trudną sytuację.

Równie dramatyczne było położenie rolników indywidualnych, zawłaszcza tych, którzy zaciągnęli kredyty. Nie byli w stanie wziąć nowych na zakup ziarna i środków ochrony roślin, a więc nie mogli produkować. O zakupie nowych maszyn i ciągników nie było mowy. Nie sprawdziło się założenie, że wystarczy sprywatyzować pegeery, a mechanizmy rynkowe poprawią wyniki ekonomiczne rolnictwa.

Wprowadzone w tamtych latach nowe rozwiązania prawne nie zdały egzaminu, a proces prywatyzacji na wsi wbrew założeniom nie przebiegał szybko. Powołana wówczas Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa miała zająć się ponad 4,7 mln ha gruntów należących do skarbu państwa. Agencja starała się zapewnić szybką sprzedaż ziemi i obiektów należących do państwowych gospodarstw rolnych, lecz nie mogła znaleźć chętnych. W konsekwencji na początku lat 90. pegeery upadały, często w sposób niekontrolowany, a wieś pogrążała się w biedzie.

Taka transformacja sektora rolnictwa państwowego utwierdziła mieszkańców wsi w przekonaniu, że decyzja o likwidacji pegeerów miała charakter doktrynalny. Jej koszty społeczne i ekonomiczne były olbrzymie. Konsekwencje polityczne tamtych wydarzeń odczuwamy do dziś.

Sytuacja zaczęła się poprawiać w drugiej połowie lat 90., gdy nasza gospodarka zaczęła rosnąć w tempie 5-6% PKB rocznie. Kolejne rządy starały się wesprzeć wieś względnie tanimi kredytami i rozdysponowaniem popegeerowskich gruntów. Proces ten znacznie przyśpieszył po wejściu Polski do Unii Europejskiej, gdy rynki unijne otworzyły się na polskie produkty rolne i pojawiły się dopłaty bezpośrednie. Rolnictwo powoli zaczęło wychodzić z kryzysu.

Opłaty dzierżawne nie drenują tak kieszeni rolników jak zakup ziemi, zazwyczaj na kredyt.

Zgodnie z zasadami

Dziś jest inaczej. Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, który powstał 1 września 2017 r. z połączenia Agencji Nieruchomości Rolnych i Agencji Rynku Rolnego, przejął zadania związane z dzierżawą gruntów należących do Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa. Obok tego KOWR obarczono nadzorem nad spółkami o szczególnym znaczeniu dla gospodarki narodowej, promocją polskich produktów rolno-spożywczych w kraju i za granicą, opracowywaniem oraz upowszechnianiem informacji związanych z realizacją mechanizmów aktywnej polityki rolnej na rynkach produktów rolnych i żywnościowych, a także nieodpłatnym przekazywaniem gruntów oraz bezzwrotną pomocą finansową udzielaną rolnikom.

Dziś łączna powierzchnia gruntów będących w Zasobie Własności Rolnej Skarbu Państwa wynosi 1 331 370 ha, z czego w dzierżawie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b9ab29a521

znajduje się 1 058 037 ha. Rozsądne gospodarowanie tymi zasobami jest jednym z fundamentów pomyślności polskiego rolnictwa. Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa ma 17 oddziałów terenowych, po jednym w każdym województwie, z wyjątkiem zachodniopomorskiego, które ma dwa oddziały. Organizowanie przetargów na dzierżawę gruntów jest jednym z ich głównych zadań.

Oddziały Terenowe KOWR w województwie zachodniopomorskim, a szczególnie oddział w Szczecinie, są ważne, gdyż na tym terenie organizowanych jest najwięcej przetargów. W roku 2024 tylko oddział szczeciński zorganizował przetargi na 7397 ha, a oddział koszaliński rozdysponował w przetargach 3663 ha gruntów. To najlepszy w kraju wynik i dowód na ciężką pracę zatrudnionych w nich ludzi. Głód ziemi w województwie zachodniopomorskim jest duży. I chętnych nie brakuje.

Ważne jest, by proces ten odbywał się zgodnie z prawem i był transparentny. Dlatego informacja o kolejnych przetargach jest regularnie publikowana, m.in. w internecie. Na przykład na początku czerwca 2024 r. opublikowany został harmonogram obejmujący niemal 300 przetargów na sprzedaż i dzierżawę działek o powierzchni od niecałego hektara do kilkudziesięciu hektarów.

Kto może brać udział w przetargach organizowanych przez KOWR? Głównie rolnicy indywidualni zamierzający powiększyć gospodarstwo rodzinne, jeżeli mają oni miejsce zamieszkania w gminie, w której znajduje się nieruchomość wystawiana do przetargu, lub w gminie graniczącej z tą gminą. Mogą to być też osoby z kwalifikacjami rolniczymi zamierzające utworzyć gospodarstwo rodzinne, a niebędące w okresie co najmniej roku przed ogłoszeniem przetargu właścicielami lub użytkownikami wieczystymi nieruchomości rolnych, których łączna powierzchnia użytków rolnych wynosi co najmniej 1 ha. Lista ta jest dłuższa i obejmuje także byłych pracowników pegeerów, repatriantów oraz członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych postawionych w stan likwidacji lub upadłości, którzy zamierzają utworzyć gospodarstwo rodzinne.

Najogólniej rzecz biorąc, ustawodawca odpowiednimi zapisami zagwarantował rolnikom indywidualnym prowadzącym gospodarstwa rodzinne szczególną pozycję w przetargach organizowanych przez KOWR. Standardowy okres dzierżawy to 10 lat. Cały proces jest maksymalnie transparentny.

Rolnicy chcieliby pozyskać więcej ziemi, chcieliby też, by jej dzierżawa była dłuższa. Takie postulaty nie są niczym nowym, pojawiły się już wiele lat temu. Zadaniem KOWR jest utrzymanie równowagi i realizacja dobrej polityki państwa w odniesieniu do rolnictwa.

Decyzja o likwidacji pegeerów miała charakter doktrynalny, a jej koszty społeczne i ekonomiczne były olbrzymie. Konsekwencje polityczne tamtych wydarzeń odczuwamy do dziś.

Ku przyszłości

Dziś nasz kraj ma jeden z najnowocześniejszych sektorów przetwórstwa rolno-spożywczego w Europie. Dzięki akcesji do Unii Europejskiej, a przede wszystkim przedsiębiorczości tysięcy rolników możliwa stała się dynamiczna modernizacja gospodarstw rolnych. Polska wieś i rolnictwo otrzymały olbrzymie wsparcie z budżetu wspólnotowego. Transfery finansowe z UE do Polski od maja 2004 do lutego 2024 r. wyniosły 243,2 mld euro, z czego 78 mld euro trafiło do wsi i rolników (50 mld euro – dopłaty bezpośrednie, 26 mld euro – Program Rozwoju Obszarów Wiejskich, 1,8 mld euro – interwencje rynkowe). Saldo rozliczeń Polski z UE od początku członkostwa jest wysoce dodatnie i wynosi 163 mld euro.

Środki ze Wspólnej Polityki Rolnej (WPR), łącznie z pozostałymi funduszami UE i dofinansowaniem krajowym, wpłynęły na wzrost konkurencyjności rolnictwa, dochodów rolniczych oraz poprawę jakości życia na wsi. Dzięki temu dochody na pełnozatrudnionego rolnika zwiększyły się od 2004 r. przeszło dwuipółkrotnie.

Oczywiście członkostwo naszego kraju w UE związane jest z koniecznością wypełniania licznych i kosztownych wymogów, standardów oraz norm nałożonych na rolników czy przetwórców rolnych. Zwiększają one istotnie koszty produkcji, lecz jednocześnie zapewniają wysoką jakość żywności i wiarygodność polskich produktów, wpływając na sukces na rynkach światowych. Obowiązkiem rządzących jest utrzymanie tego stanu i dbanie o interesy polskich rolników oraz przemysłu rolno-spożywczego.

Wydaje się, że system wsparcia rolnictwa zbudowany po wejściu Polski do Unii Europejskiej dobrze służy gospodarce. Z importera żywności na początku XXI w. staliśmy się liczącym producentem i eksporterem. W ostatnich latach wartość naszego eksportu rosła średnio o 10% rocznie. Przysłużyła się temu także rozsądna polityka państwa w obszarze gospodarki gruntami. Było to możliwe również dzięki wysiłkowi i zaangażowaniu pracowników Oddziałów Terenowych KOWR.

Można mieć nadzieję, że w nadchodzących latach, jeśli zajdą zmiany, to na lepsze. Widać wyraźnie, że nasi politycy odpowiedzialni za rolnictwo z zaangażowaniem bronią interesów polskich rolników w Brukseli. Tak było w przypadku Zielonego Ładu forsowanego przez Komisję Europejską i tak jest dziś w związku z umową o wolnym handlu między Unią Europejską a południowoamerykańskimi państwami zrzeszonymi w Mercado Común del Sur, Wspólnym Rynku Południa, nazywanym Mercosur.

Grzegorz Rudnik

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

Materiał powstał przy wsparciu Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa

eprasa.pl b9ab29a521

Oko w oko

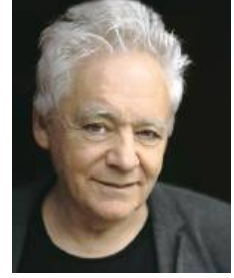

Tomasz Jastrun

Zapamiętamy to

„Po cichu likwidujecie Polskę! Wstyd!", krzyczą posłowie prawicy z mównicy sejmowej. Ta mądrość wymyślona przez prezesa zaczyna być obowiązkowym przekazem PiS. Tusk i jego banda likwidują Polskę i będą nią zarządzać Niemcy. Niszczą przemysł, kulturę, seksualizują dzieci, napędzają drożyznę – masło kosztuje 10 zł! – zostawili powodzian na pastwę losu. Wszystko, co robią, jest niekompetentne i niszczycielskie, nie ma takiego zła, za które nie byłby odpowiedzialny Tusk. Prawicowcy snują wizję zemsty, prezes tym żyje, powarkuje: jeszcze wam pokażemy, będziemy gruchotać kości. Grozi dziennikarzom: zapamiętamy to. I zniszczymy, jak wrócimy. Udało im się przekonać nas, że ich powrót do władzy to koniec demokracji w Polsce. Czy więc będą dopuszczalne niedemokratyczne metody, by ich do tej władzy nie dopuścić? Niebezpieczne myślenie.

•

Konwencja PO, start Rafała Trzaskowskiego w kampanii prezydenckiej. Najpierw mówił Donald Tusk, lepiej niż Trzaskowski, głównie chodzi o formę, bardziej przykuwa uwagę. Trzaskowski zapamiętał całe długie wystąpienie, mówił, jakby czytał, ale nie czytał. Było to imponujące, lecz trochę jak z promptera. Uparcie przeszkadza mi jego sposób mówienia. I co chwila to pokrzykiwanie, które ma pokazać, jaki jest silny. A jest przede wszystkim wrażliwy i uczciwy, z tego ma czerpać moc, nie z prężenia muskułów. Stąd też poczucie pewnej nieautentyczności. Ale oczywiście czuję wielką do niego sympatię.

•

W Fabryce Norblina na Woli, dawnych zakładach zmienionych w kompleks restauracji, kawiarni i butików, jesteśmy po raz pierwszy. Ładnie, luksusowo, świątecznie. Wokół światła wieżowców wyglądających jak płynące statki, których wysokie maszty toną we mgle. Wystawa portretów znanych ludzi w obiektywie Bartosza Maciejewskiego. Tłum, dobre jedzenie. Mój portret zdaje się jednym z lepszych, tak uważają też Bartek i Siobhan, jego irlandzka żona. Wśród ciekawych osób Tadeusz Rolke, znajomy mi znany fotograf, teraz z laseczką i asystą, ma 95 lat. Bartosz rozrywany, szczęśliwy, jak zawsze w czarnym kapelusiku, który zakrywa jego łysinę. Poznaliśmy się jakieś 10 lat temu, poderwał mnie w windzie. Kilka sesji zdjęciowych, też kiedy zdychałem na depresję, a moja twarz była odbiciem katastrofy. Bartosz był zachwycony tymi zdjęciami. Gęba zmaltretowana, więc ciekawa. A ja byłem przerażony, gdy siebie zobaczyłem, nie wiedziałem, że jest ze mną tak źle.

•

Znowu w administracji, tym razem bezboleśnie, trochę czekam, podczytuję po raz nie wiem który „Pieska przydrożnego" Czesława Miłosza. Dobra książka do wyrywkowego czytania. Trudno mi się skupić. Boję się urzędu, doświadczony urzędem PRL-owskim, a przecież to już inny urząd, zmieniony na lepsze przez nowy czas. W „Piesku przydrożnym" Miłosz pyta: „Czemu Polacy są skłonni wszędzie dopatrywać się zdrady i szafują słowem »zdrajca« wobec każdego, kto – tak czy inaczej – się wychylił?". Myślę, że nie ma u nas tradycji dialogu ani kompromisu, po traumie zniewolenia nie ma się tych umiejętności. Stronnicy naszej liberalnej strony nakręcają się w niechęci do Szymona Hołowni, bo on i jego partia zagłosowali przeciwko zniesieniu prezesowi immunitetu. Zapewne popełnił błąd. Nie potrafimy jednak się przyjaźnić i różnić. Za łatwo to poszło. Mnożą się wyzwiska: Hołownia zdrajca, kolaborant, koń trojański.

Trzaskowski jest przede wszystkim wrażliwy i uczciwy, z tego ma czerpać moc, nie z prężenia muskułów.

•

Katastrofa smoleńska i obchody przy pomniku, comiesięczne czary-mary, modlitwy, pieśni żałobne i patriotyczne, a ostatnio potyczki o dostęp do pomnika obywateli z wieńcami, które mają napisy kwestionujące teorię zamachu. To będzie scena roku: dwóch obywateli z wieńcem truchta ku pomnikowi Lecha Kaczyńskiego. Antoni Macierewicz, który własną piersią broni zawsze pobliskich schodków smoleńskich i jest zaprawiony w bojach (uwija się jak w ukropie, nawet w największym tłoku walczących), rusza za nimi w brązowej czapeczce, która dodaje mu powagi. Ma jednak problem, by ich dogonić, już nie te nogi, co kiedyś, a wieniec obywatelski całkiem szybko posuwa na czterech nogach ku pomnikowi. Wtedy zdesperowany były minister spraw wewnętrznych, a potem obrony narodowej, ryzykując zdrowie, akrobatycznym ruchem wyciąga nogę, by podstawić ją biegnącemu, ten się potyka, ale dociera do Lecha Kaczyńskiego na postumencie. Potem są jakieś przepychanki, ktoś leży na ziemi, inna para tarza się po chodniku. Czasami na placu Piłsudskiego jest bardzo wesoło. Jego patron spogląda na to z pobliskiego cokołu i gdera: „Wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić". ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

Wspaniałego Stańczyka mieliśmy

Stanisław Tym (1937-2024) był jednym ze sterników masowej wyobraźni, uczył nas dystansu i paradoksalnie niecierpliwej cierpliwości

Tomasz Miłkowski

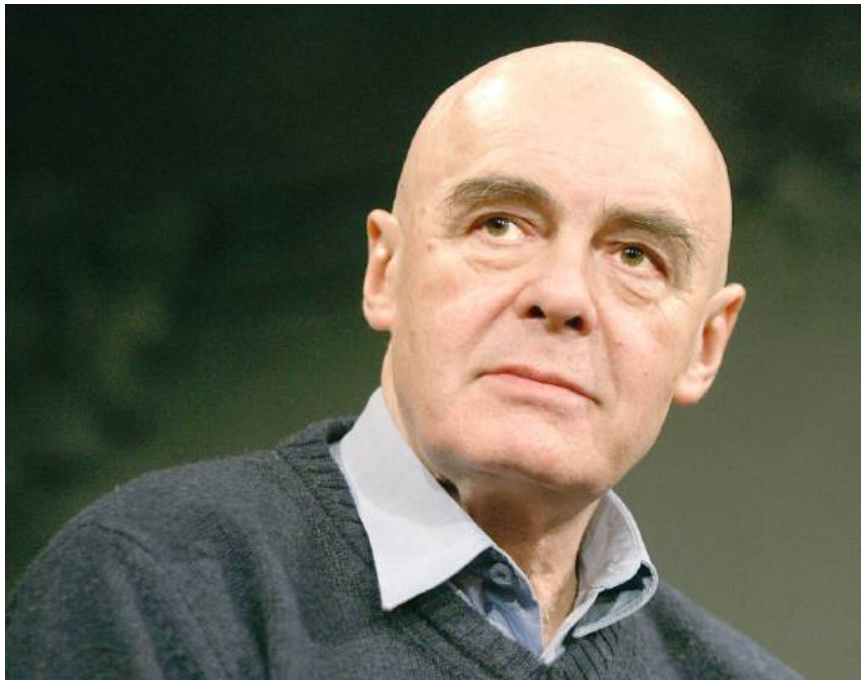

STANISŁAW TYM – (17 lipca 1937-6 grudnia 2024) satyryk, aktor, scenarzysta filmowy, reżyser i komediopisarz. Studiował chemię na Politechnice Warszawskiej i aktorstwo w PWST. Imał się wielu zawodów, był m.in. szatniarzem. W latach 1960-1972 aktor i autor Studenckiego Teatru Satyryków, a w latach 1984-1986 dyrektor Teatru Dramatycznego w Elblągu. Współpracował z wieloma teatrami i kabaretami.

Stanisław Tym był kameralistą. Bawił nieraz publiczność w wielkich salach, nawet podczas kabaretonów na festiwalach piosenki w Opolu, ale zawsze za cenę jakiegoś kompromisu. Albo sala mu wybaczała, mając w pamięci legendarnego „Misia", albo on wybaczał sali, że nie łapała jego puent. Rzecz inna w niewielkim gronie – wówczas Tym kwitł, nie miał sobie równych, czując bezpośredni kontakt z publicznością, jak ktoś, o kim się mawia, że to dusza towarzystwa.

Dość długo szukał dla siebie miejsca, niepewny wyboru życiowej drogi, o czym świadczy kilkukrotna zmiana kierunku studiów – studiował nawet chemię, aktorstwa zaś nie ukończył, podobno za sprawą Jana Świderskiego. Wreszcie przystał do kabaretu studenckiego, początkowo jako ochroniarz w Stodole, klubie Politechniki Warszawskiej, a potem dostawca tekstów i ich wykonawca. Od 1960 r. związał się na kilkanaście lat ze Studenckim Teatrem Satyryków – przez jeden sezon był nawet jego dyrektorem. Tutaj debiutował także jako dramaturg, wystawiając swoją komedię satyryczną „Kochany panie Ionesco!" (1968). Po latach krytyk teatralny Jerzy Koenig uznał ten utwór za jedną z pięciu komedii wszech czasów obok „Sługi dwóch panów" Goldoniego i „Szewców" Witkacego, opatrując wybór komentarzem: „Ionesco nie wymyśliłby takiego teatru absurdu, jakim nas dręczyła nasza PRL-owska codzienność".

Kiedy Tym sercem i duchem stał się człowiekiem STS, pisywał teksty i występował w innych kabaretach. Najsłynniejszy miał się okazać skecz o fachowcach, napisany na zamówienie Edwarda Dziewońskiego dla kabaretu Dudek, „Ucz się, Jasiu", unieśmiertelniony wykonaniem Jana Kobuszewskiego i Wiesława Gołasa. Kto choć raz słyszał ten dialog, zapamięta na zawsze słowa majstra: „Chamstwu w życiu należy się przeciwstawiać siłom i godnościom osobistom".

Przepustką do szalonej popularności stał się dla Tyma uwielbiany do dziś film Marka Piwowskiego „Rejs" (1970). Zagrał w nim pasażera na gapę, wziętego omyłkowo za osobę służbową, czyli kaowca. Wkrótce dołączył do ekipy Stanisława Barei, aby stać się twarzą jego filmów i współtwórcą scenariuszy, w tym „Misia", w którym brawurowo zagrał Ryszarda Ochódzkiego, prezesa klubu sportowego Tęcza. Jego role i scenariusze filmowe, a wkrótce także utrzymane w klimacie absurdu komedie, okazały się celnym portretem społeczeństwa, które utknęło w marazmie przekrętów, opresji i bezradności.

Taka była komedia „Rozmowy przy wycinaniu lasu" w reżyserii

FOT. STEFAN MASZEWSKI/ REPORTER

eprasa.pl b9ab29a521

Edwarda Dziewońskiego wystawiona w Teatrze Kwadrat (1975). W doborowej obsadzie prym wiedli Krzysztof Kowalewski jako Siekierowy, Janusz Gajos jako Bimber i Edward Dziewoński jako Gajowy. Autor poprzedził sztukę charakterystyczną dla siebie dedykacją: „Wszystkim karpiom w Polsce poświęcam", i nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby każdy widz i czytelnik wziął te słowa do siebie. To o nas czekających na Wigilię pisał Tym. Komedia doczekała się ponownego wystawienia w Kwadracie i przeniesienia do Teatru Telewizji już w jego reżyserii (1998).

Ale zanim to nastąpiło, Stanisław Tym dał jeszcze jedną celną komedię satyryczną, za której pośrednictwem łapał na gorącym uczynku zapach czasu. To „Pralnia", którą reżyserował w pamiętnym roku 1981 w Teatrze na Woli, gorąco oklaskiwana przez widzów i oglądana niechętnym okiem przez władze. W tej pralni od dawna już się nie prało. Przynajmniej oficjalnie. Pralnia robiła plan przestojów i zwierała szeregi w pozorowanym rejwachu. Czciła przewodniczącą spółdzielczą, baby zbierały się, wspominały, ględziły i podszczuwały. Niewyrafinowany reżim wewnętrzny, oparty na drabinie podległości, utrzymywał jaki taki ład.

W pralni właściwie prał jedynie Stanisław Tym. Prał nasze wspólne brudy, nicował uproszczone wizje świata, przedrzeźniał, robił miny i wywoływał śmiech widowni. Z czasem okazywało się, że nie tylko Tym pierze. Baby też. Po kryjomu, cichcem, aby ujść uwadze nadzorczyń. „Prać się chce", mówiła dramatycznym głosem Barbara Rachwalska. I chciało się jej wierzyć, że nie wygasła jeszcze ochota do prania nie prania, do tego, aby nie zatrzymać się w bezsensownym bezruchu. Pralnia jako metafora. Pyszna sytuacja dla komedii. Sporo jędrnych sylwetek praczek. Galeria postaci napisanych sceną, z wyczuciem jej potrzeb. No i niezwyczajna gratka dla pań, zazwyczaj traktowanych przez dramatopisarzy obcesowo. Tym dawał im w swojej „Pralni" poprać, czyli pograć, a one potrafiły to wykorzystać. Stworzyły świetne role. Barbara Rachwalska, Barbara Horawianka, Halina Łabonarska, Zofia Merle pozostały dłużniczkami Tyma, a on z kolei zadłużył się u nich jako reżyser spektaklu.

Trafił się także rodzynek męski. Jan Matyjaszkiewicz stworzył wystudiowany portret ostrożnego urzędnika. Kierując dochodzeniem w sprawie tajemniczego zniknięcia założycielki pralni, która jakoby popełniła samobójstwo w obliczu groźby likwidacji firmy, zrobił wszystko, aby nie dociekać prawdy.

Tym z odwagą zmiksował rozmaite gatunki i formy. Sporo tu komedii, zwłaszcza w pierwszej, nieco buffonadowej części. Potem odrobina dramatu sensacyjnego, kawałek dramatu psychologicznego z pogranicza parapsychologii i egzystencjalizmu (wątek płci, motyw rekompensaty ułomności), wreszcie kawałek śpiewogry.

Staszek Tym rwał się na scenę. Miał to we krwi.

Czymże w końcu była ta „Pralnia"? Rozbudowanym skeczem? Wielką metaforą? Próbą znalezienia się tu i teraz, w sytuacji tak dobrze przenicowanej w nocnych i codziennych rodaków rozmowach? Po trosze wszystkim. Zapewne była późnym dzieckiem rozwiązanego już STS, dziedzicząc wiele z tamtej, legendarnej atmosfery spektakli w loży masońskiej przy Świerczewskiego. Czy Tym odpowiadał na najważniejsze pytania tamtego czasu? Na pewno nie i żądać tak wiele byłoby nieporozumieniem. Kilka pytań stawiał, parę razy kazał przejrzeć się w krzywym zwierciadle i apelował do lepszej strony widzów. Tak czy owak, stworzył klimat do refleksji, namysłu, poszukiwania wyjścia z pułapki historii, budując nić porozumienia z publicznością.

Taki klimat udało mu się też stworzyć po latach podczas wieczoru na Małej Scenie w warszawskim Teatrze Powszechnym (4 października 2000), gdzie wraz z Jerzym Derflem prezentował swoje „Zapomniane słowa". Już na początku przeprowadzał test na jakość publiczności, badając, czy jest odpowiednio przygotowana do takiej wersji przedstawienia. Trik miał na celu zadzierzgnięcie zażyłych stosunków z widownią, która, zdawszy egzamin, od tej chwili dawała się wciągać w wędrówkę po tematach i ludziach.

Dziwne w tym wieczorze było materii pomieszanie, nad którym tylko Tym potrafił zapanować. Bezinteresowne wice, cięte kuplety polityczne, grube żarty, piosenka z STS, anegdoty, opowiadanka satyryczne i liczne cytaty z wielkich magów słowa, przywoływane serio. Może niektóre dowcipy już spłowiały (np. opowiadanko o nieudanym romansie Partii z Narodem), ale całość wieczoru na tym nie traciła. Tym zdołał bowiem z rozmaitych składników stworzyć autentyczny, „poważny", jeśli tak można powiedzieć, wieczór kabaretowy. Nawet jeśli czasem mogło się wydawać, że idzie bardziej w stronę publicystyki czy felietonu (które przecież z upodobaniem sam uprawiał) z nieistniejących już tygodników kulturalno-społecznych niż estrady, to kto wie, czy właśnie nie dlatego ten wieczór tchnął świeżością. W powszechnym zalewie estradowej lichoty, chamstwa i zdziecinnienia wieczór Tyma był jak łyk świeżego powietrza.

Wiele w tym wspominaniu Tymowym było goryczy. Świetnie opowiedziana anegdota o Kazimierzu Rudzkim, ongiś usiłującym naprawiać malucha tam, „gdzie nie kradną", to dla satyryka punkt wyjścia do smutnych refleksji i uogólnień o pamięci i uczciwości. Tak jak „drobna" pomyłka wysokiego urzędnika państwowego, który źle policzył pieniądze na podwyżki dla nauczycieli. Albo nad wyraz skromne środki telewizji edukacyjnej – znak czasów, w których to, co ważne, ląduje na szarym końcu.

Cały wieczór sprawiał wrażenie pożegnania z kabaretem w duchu STS-owskim. Tym do tej tradycji zawsze się przyznawał, co więcej, uważał STS za swoją najważniejszą uczelnię. I rzeczywiście, wyniósł z niej poczucie obywatelskiego niepokoju, wyczulenie na niesprawiedliwość

eprasa.pl b9ab29a521

i potrzebę przeciwstawiania się złu. To właśnie te zapomniane słowa, których Tym wprawdzie nie wypowiadał na scenie, ale które najwyraźniej patronowały jego spektaklowi.

Tak jak patronowały dialogom w komedii „Ciemny grylaż", napisanej wspólnie z Jerzym Dobrowolskim (1980, premiera na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie), którą niedawno na scenie Och-Teatru przypomniał Cezary Żak (17 marca 2024). „Ciemny grylaż" powstał przed stanem wojennym. I zachował wszelkie cechy panującego wówczas teatru aluzji. Komedia satyryczna Dobrowolskiego i Tyma opowiadała o rumuńskiej gazecie „Płonąca Żagiew", ale pod tą maską, która pozwalała cenzurze przełknąć niemiłe obrazki z ówczesnej rzeczywistości, pokazywała maniery dziennikarzy i polityków dekady Gierka. Po premierze szybko nastał stan wojenny i komedia trafiła na półkę.

Po latach żarty z tamtych sytuacji mogły się wydawać zwietrzałe, choć takich notabli, zarządców i takie zawsze potrzebne „ludzkie świnie" jak w tej menażerii Tyma/Dobrowolskiego nadal spotykamy, tyle że w innych okolicznościach przyrody. Tym był obecny na premierze, wyraźnie wzruszony. Publiczność przyjęła go owacją.

Nie miał sobie równych, czując bezpośredni kontakt z publicznością, jak ktoś, o kim się mawia, że to dusza towarzystwa.

Staszek Tym rwał się na scenę. Miał to we krwi. Kiedy przed laty spotkaliśmy się w jury festiwalu monodramów w Toruniu, Tym przewodził temu gremium nie tylko jako sędzia konkursowy, ale w równej mierze jako niedościgły gawędziarz, wywołujący kaskady śmiechu. Podobnie było podczas uroczystego wręczenia Nagrody Boya 2010 Januszowi Gajosowi, przyznanej za dokonania teatralne. Stanisław Tym z charakterystyczną dezynwolturą podarował wówczas artyście własnoręcznie namalowany obraz. Podobno było to pierwsze „dzieło", które wyszło spod jego pędzla. Przedstawiało dwie postacie, nieco zielonych drzewek i sporo punkcików, które okazały się osami. Niedzielny malarz swój obraz zatytułował „Gaj os" (gaj, czyli mały las, jak tłumaczył satyryk), co razem daje się czytać jako „Gajos". Żeby jednak nikt nie pomyślał, że Gajos jest kąśliwy jak osa, zacytował Tym zdanie wypisane z tekstu Boya, w którym recenzent chwali cnotę wybaczającego dobra. Tak właśnie widział Tym Gajosa wśród os – jako łagodnego ironistę. A potem nie ustawał w sypaniu anegdotami i monologami, skupiając uwagę zgromadzonych. Życzliwie usposobiony do świata Janusz Gajos, który obserwował z uśmiechem występy kolegi, patrząc mi w oczy, skomentował: „Urodzony aktor".

Wspaniałego Stańczyka mieliśmy.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl b9ab29a521

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zegar apokalipsy

„Nie bój się, to samo się czyta", powiadają ludzie, polecając znajomym grube książki, czemu nie mogłem się nadziwić, bo dla mnie czytanie jest przyjemnością, a nie zmaganiem umysłowym. Samo się nie czyta, jak samo grzmi i samo się błyska, no chyba że chodzi o tę przypadłość adehadowców, która i mnie czasem doskwiera, mianowicie czytanie bezmyślne, a raczej czytanie w trakcie myślenia o czymś zupełnie innym. Skłonność do rozproszeń sprawiała bowiem niejednokroć, że oczami wodziłem za tekstem przez wiele stron, nim się spostrzegłem, że myśl za wzrokiem nie podąża, przez co musiałem wrócić do poprzedniego rozdziału niczym zagubiony turysta do ostatniego widzianego znaku na skale. Chodziłoby zatem o rodzaj zatracenia w lekturze tak intensywnego, że czytelnik nie myśli o tym, że czyta, tak jak nie myśli o tym, że oddycha. Czyli o proces obopólnego pochłaniania – łakomie pochłaniam książkę, która mnie pochłania bez reszty.

Nie jest to specjalnie możliwe w przypadku prozy wysokoartystycznej czy mowy wiązanej, kiedy raczej rozkoszujemy się nie fabułą, ale językiem, pomysłami składniowymi i czym tam jeszcze – taką literaturę dawkujemy sobie jak panaceum na kolokwialność. Zdarza się jednak, że książka pisana „stylem zerowym", zwłaszcza w przypadku literatury faktu, frapuje samą treścią, czyta się zaiste sama, ba, czasem nawet wbrew woli czytelnika.

Taką książką, której wolałbym nigdy nie przeczytać, ale od której oderwać się nie mogłem, jest omawiana już na łamach „Przeglądu" przez Romana Kurkiewicza „Wojna nuklearna" Annie Jacobsen. Amerykańska gwiazda dziennikarstwa śledczego na podstawie rozmów z wieloma specjalistami od wyścigu zbrojeń, emerytowanymi wojskowymi i politykami, kreśli podtytułowy „możliwy scenariusz" zagłady ludzkości, od której w każdej chwili jesteśmy oddaleni ledwie o kilka chwil.

Prawdopodobieństwo wybuchu wojny jądrowej po tej lekturze przedstawia się jako nieznośnie wysokie – książka Jacobsen działa jak makabryczne memento: człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że od niemal 80 lat ludzkość jest w stanie w ogóle egzystować wyłącznie dzięki potężnemu wyparciu. Światowa wojna atomowa, jeśli w końcu się rozpocznie, rozegra się w ciągu kilkudziesięciu minut – znakomita większość ofiar zginie, zanim zdoła się dowiedzieć o jej wybuchu. Co gorsza, spełni się co do joty biblijna przepowiednia, że „ci, którzy przeżyją, będą zazdrościć umarłym". Nie jestem w stanie cytować szczegółowych opisów śmierci wskutek choroby popromiennej, bo to horror, który może przyprawić o bezsenne noce i konieczną psychoterapię nie tylko hipochondryków, dość powiedzieć, że żadna inna ze znanych chorób nie przysparza tylu cierpień.

Apokalipsa według Jacobsen jest napisana nadzwyczaj efektownie, jako w rzeczy samej gotowy scenariusz filmu katastroficznego, groza rośnie minuta po minucie, od pierwszego uruchomienia wyrzutni rakiety balistycznej z ładunkiem atomowym (w tej konkretnie wersji inicjatorem końca świata jest Korea Północna – państwo zbójeckie, jedyne mocarstwo atomowe, które nawet nie udaje, że zamierza przestrzegać jakichkolwiek reguł i brać udział w negocjacjach rozbrojeniowych) po wojnę totalną z użyciem tysięcy bomb tysiąckroć bardziej niszczycielskich niż te, które zrzucono na Japonię w 1945 r. Człowiek to czyta i myśli sobie przez kilkaset stron: OK, na szczęście nie mieszkam na terytorium żadnego z imperiów, które się obrzucą tymi bombami, może do nas to nie dojdzie, żyjemy na uboczu. Takie ubocze nie wystarcza, za blisko mamy bazy natowskie, które są celami pierwszorzędnymi – jeśli zatem detonacja nie zmiecie nas z powierzchni ziemi, wiatr przywieje radioaktywny opad i żaden płyn Lugola już nie pomoże, a gdyby nawet ktoś był akurat w delegacji na innym kontynencie (Afryka i Australia wydają się teoretycznie najbezpieczniejsze), wykończy go zima nuklearna – pył i sadza, które uniosą się po serii wybuchów, przesłonią słońce i obniżą globalną temperaturę o kilka stopni.

Zegar atomowy nigdy nie wskazywał tak bliskiego terminu końca świata. Ta wiedza spłyca oddech.

Nie ma ratunku. Wojny atomowej nie da się wygrać. W wojnie atomowej nie będą obowiązywały żadne zasady, bo samo jej wywołanie już jest złamaniem zasady naczelnej. Skoro można zbombardować elektrownie jądrowe, potęgując skalę zniszczenia (można, choć teoretycznie nie wolno), dojdzie i do tego. Jeśli można doprowadzić do wybuchu bomby atomowej w kosmosie, aby impuls elektromagnetyczny spowodował ostateczny blackout nad wybranym terytorium (można, choć właściwie nie należy), również do tego dojdzie. Wszystko przepadnie. Zegar atomowy nigdy nie wskazywał tak bliskiego terminu końca świata. Ta wiedza spłyca oddech. Nie polecam tej książki, choć czyta się sama. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

Anna S. Dębowska

Głos po matce

Aleksandra Kurzak: Moja motywacja to występować w Met i Covent Garden jak najdłużej, bo trudniej jest trwać na tych scenach, niż na nich zadebiutować

Jej głos usłyszałam pierwszy raz w Roku Mozartowskim, gdy świat obchodził 250. rocznicę urodzin Wolfganga Amadeusza (1756-1791). 14 stycznia 2006 r. w Studiu Koncertowym Polskiego Radia w Warszawie Aleksandra Kurzak śpiewała wybrane arie z jego oper. Orkiestrą Sinfonia Varsovia dyrygował Jerzy Maksymiuk, który ma tę muzykę we krwi. Nawet nie ukrywał, że pozostaje pod dużym wrażeniem urody i wdzięku artystki. Ona zaś oczarowała wszystkich czystym jak kryształ sopranem, giętkim i ruchliwym. Kaskady pięknych nut brzmiały w jej wykonaniu nieskazitelnie. Zanim zaczęła śpiewać, przez 12 lat uczyła się grać na skrzypcach – stąd ten świetny słuch! Tak dobrą intonację może mieć właśnie ktoś, kto długo grał na tym instrumencie, nawet jeśli później się z nim pożegnał, myślałam.

Aleksandra jest córką muzyków – Jolanty Żmurko, gwiazdy Opery Wrocławskiej, i waltornisty Ryszarda Kurzaka. Po matce odziedziczyła głos i miłość do Pucciniego.

„W dzieciństwie spędzałam mnóstwo czasu za kulisami, ponieważ rodzice byli muzykami. Uwielbiałam wszystko obserwować. Któregoś dnia na próbie zaczęłam naśladować śpiew mamy. Dyrygent przerwał i zapytał, kto śpiewa. Mama odpowiedziała: »To moja córka«. Nie chciał w to uwierzyć, bo miałam wtedy pięć lat, ale znałam już wówczas wiele sopranowych partii".

Spotkania z operą doprowadzały czasem do zabawnych nieporozumień: „Mój tato grał w orkiestronie, ja kilkuletnia siedziałam na widowni, a mama w objęciach partnera śpiewała duet miłosny, wyznając mu: »Kocham cię, kocham cię«. W latach 80. XX w. wszystko wykonywało się po polsku, nie w językach oryginalnych. Po powrocie do domu wpadłam do pokoju rodziców, otworzyłam albumy z fotografiami, wyciągnęłam zdjęcia mamy z tej opery i wszystkie je podarłam. »Jak możesz śpiewać do tego pana, że go kochasz, a tatuś to wszystko słyszy?!«, krzyczałam. Nie umiałam jeszcze rozróżniać fikcji od rzeczywistości, życia prywatnego od sceny".

Operę chłonęła jak gąbka w tym okresie życia, kiedy mózg jest najbardziej otwarty na bodźce płynące z otoczenia („Poznałam operę, zanim odkryłam, co to jest pamięć"). Nic zatem dziwnego, że na scenie od początku czuła się jak u siebie.

Aleksandra Kurzak jako Violetta podczas próby generalnej „Traviaty" w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, 7 stycznia 2020 r.

FOT. WOJCIECH KUBIK/EAST NEWS

eprasa.pl b9ab29a521

Gdy słuchałam jej pierwszy raz w Warszawie, miała już za sobą wiele sukcesów. Więcej – osiągnęła pierwszy szczyt w swojej karierze: debiut w nowojorskiej Metropolitan Opera i w Royal Opera House – Covent Garden w Londynie. Dobra passa zaczęła się w 1998 r. od zwycięstwa w Konkursie Moniuszkowskim w Warszawie – Aleksandra miała 21 lat. „Jurorzy zastanawiali się nie nad tym, czy przyznać jej pierwszą nagrodę, lecz nad tym, czy powinna dostać bardzo rzadko wręczane Grand Prix. (…) Wykonana przez Aleksandrę Kurzak brawurowa aria Eleny z »Nieszporów sycylijskich« Verdiego była dowodem, że mamy do czynienia nie tylko z wyjątkowym talentem, ale i z kimś, kto wie, jak należy śpiewać, zarówno pod względem technicznym, jak i sposobu interpretacji", napisał Jacek Marczyński w swoim „Prywatnym alfabecie śpiewaków".

Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki powstał z inicjatywy Marii Fołtyn, która była gwiazdą scen operowych na świecie, legendarną Halką i niestrudzoną propagatorką Moniuszki. Jego opery śpiewała i reżyserowała w Europie, Azji i Ameryce Południowej. Ostatnim jej dziełem poświęconym idolowi był właśnie największy konkurs wokalny w Polsce, którego pierwsza edycja odbyła się w 1992 r. Jego znaczenie rosło, zwłaszcza gdy w jury zaczęli zasiadać nie tylko wybitni artyści, lecz również menedżerowie czołowych teatrów operowych.

Rok po zwycięstwie Aleksandra debiutowała na scenie zawodowej w rodzinnym Wrocławiu. Wystąpiła u boku mamy w „Weselu Figara" Mozarta jako bystra służąca Zuzanna, natomiast Jolanta Żmurko kreowała Hrabinę. Na etacie we Wrocławiu Aleksandra pozostawała jeszcze przez rok, po czym postanowiła wypłynąć na szersze wody. Dzięki kontaktom zagranicznym, które nawiązała w czasie Konkursu Moniuszkowskiego, udało jej się załatwić stypendium fundacji Crescendum Est – Polonia i wyjechać do Opernstudio przy Operze Hamburskiej. (…)

Aleksandra Kurzak w Hamburgu pojawiła się w 2001 r., aby kontynuować kształcenie w Opernstudio. Początkowo śpiewała małe role, ale wszystko się zmieniło, gdy w zastępstwie za chorą śpiewaczkę zadebiutowała w koloraturowej partii Gildy w „Rigoletcie". Śpiewała także Królową Nocy w „Czarodziejskim flecie", którą już wcześniej wykonywała we Wrocławiu. Tak się w Hamburgu spodobała, że zaczęto ją obsadzać w coraz większych rolach – w pasujących do jej ówczesnych walorów wokalnych partiach rezolutnych służących (Blonda z „Uprowadzenia z seraju"), młodych dziewcząt (Marcelina w „Fideliu", Nannetta w „Falstaffie") oraz dam obdarzonych wyraźnym rysem komediowym, jak Fiorilla z „Turka we Włoszech", która swego czasu była jedną z najsłynniejszych ról Marii Callas. Kurzak śpiewała też Kleopatrę w „Juliuszu Cezarze" Händla i uwodzicielską Musettę w Pucciniowskiej „Cyganerii". Tam wypatrzył ją jej przyszły agent Gianluca Macheda, z którego prestiżową agencją jest związana do dziś. Była jego pierwszym polskim głosem.

Punktem zwrotnym w karierze Aleksandry Kurzak był międzynarodowy konkurs wokalny Operalia w Los Angeles, którego twórcą i patronem jest Placido Domingo. Na nim w 2000 r. wypatrzył ją zasiadający w jury Peter Mario Katona, wpływowy dyrektor obsad w londyńskiej Royal Opera House. „Zawsze powtarzam, że dzięki Katonie jestem tu, gdzie jestem. Uwierzył we mnie i dał mi szansę", podkreśla Kurzak.

Według relacji samej gwiazdy po Operaliach Katona wysłał do niej uprzejmy list z pytaniem o jej dalsze plany, a gdy śpiewała już regularnie w Hamburgu, poprosił ją, aby wzięła udział w przesłuchaniu – najpierw nad Łabą, następnie w Londynie. Na to drugie przesłuchanie miała przygotować arię Aspazji z opery Mozarta „Mitrydates, król Pontu". Jego pokłosiem był debiut w Royal Opera House w 2005 r. Kurzak miała wtedy 28 lat. Krytycy otworzyli usta szeroko, a przynajmniej jeden się do tego przyznał – Tim Ashley z „Guardiana", który napisał, że Kurzak w partii Aspazji śpiewa swoje olśniewające koloratury z „zadziwiającą dokładnością", jeśli chodzi o intonację i artykulację. (…)

Do Royal Opera House wracała w następnych latach – Katona, nie czekając nawet na jej debiut w roli Aspazji, z góry podpisał kontrakt na Norinę w „Don Pasquale" i Adinę w „Napoju miłosnym" Donizettiego. Zrobił to po jej triumfie w Metropolitan Opera w grudniu 2004 r. – on ją tam zarekomendował.

O jej Norinie z 2006 r. brytyjscy recenzenci pisali, że to „najprawdziwsze bel canto", zachwycali się jej „kryształową koloraturą", „ciepłem głosu", tym, że śpiewała tę postać „z zaangażowaniem i rzadko spotykaną subtelnością". Rok później Kurzak była znów na londyńskiej scenie, tym razem jako Adina w „Napoju miłosnym" u boku topowego tenora lirycznego Juana Diego Floreza. Zdaniem niektórych była lepsza od niego, a do walorów wokalnych doszły aktorskie – Fiona Maddocks z „The Evening Standard" dopatrywała się w Kurzakowej Adinie wariantu Scarlett O'Hary z „Przeminęło z wiatrem", „dziewczyny na pół jędzowatej, na pół próżnej".

Kapitalnie wypadła też w roli Matyldy z opery komicznej „Matilde di Shabran" Rossiniego, ponownie u boku Floreza. Widzowie podziwiali jej vis comica, jej Matyldę przedstawioną jako chytrą kokietkę o nieprzepartym uroku osobistym, pragnącą zmiękczyć wolę króla Konradyna (Florez), który uwięził jej ukochanego. „Publiczność jadła jej z ręki", podsumował Hugh Canning z „The Sunday Times". W Londynie Kurzak wróciła też do roli Zuzanny z „Wesela Figara", od której zaczęła karierę. Równocześnie odnosiła triumfy w Metropolitan Opera. Pierwszy raz pojawiła się tam w 2004 r., wcielając się w Olimpię,

Dobra passa zaczęła się w 1998 r. od zwycięstwa w Konkursie Moniuszkowskim w Warszawie – Aleksandra Kurzak miała 21 lat.

eprasa.pl b9ab29a521

ożywioną lalkę-automat z „Opowieści Hoffmanna" Jacques'a Offenbacha. Krytycy natychmiast dostrzegli, że ma nie tylko piękny głos, lecz jest też wyśmienitą aktorką, istnym żywym srebrem. „Skradła show", napisał „New Yorker", podziwiając wiarygodność, z którą Polka przeszła od mechanicznego chłodu „dziewczyny-robota" do kobiecego ciepła w tańcu z zakochanym w niej Hoffmannem. Magazyn „Opera News" zachwycał się jej koloraturą w arii „Les oiseaux dans la charmille", podkreślając, że takich umiejętności mogłaby jej pozazdrościć niejedna primadonna.

Do Met wróciła w następnych latach jako Blonda w „Uprowadzeniu z seraju" i Gilda w „Rigoletcie", owa niewinna i wrażliwa dziewczyna, całkowita odwrotność kutych na cztery nogi subretek z oper komicznych.

Krytycy natychmiast dostrzegli, że ma nie tylko piękny głos, lecz jest też wyśmienitą aktorką.

W międzyczasie debiutowała też w Wiener Staatsoper jako Rozyna w „Cyruliku sewilskim" (2008), a na festiwalu w Salzburgu jako Anusia w „Wolnym strzelcu" Webera (2007). „Zaczęłam swoją karierę od występów w Met i Covent Garden, na scenach, które często są ukoronowaniem długiej kariery. To jest właśnie moja motywacja – występować tam jak najdłużej, bo jeszcze trudniej jest trwać na tych scenach, niż na nich zadebiutować".

Zapytana przeze mnie o rosnące sukcesy Polaków w Met, odpowiedziała: „To nie jest żaden boom na Polaków. Po otwarciu granic nareszcie wyrównały się szanse. Bez przeszkód bierzemy udział w konkursach i audycjach, a nasz talent otwiera nam drogę". Słuchacze Studia Koncertowego Polskiego Radia mieli więc do czynienia ze wschodzącą gwiazdą. Od razu wyczuł to obecny wówczas na widowni wytrawny krytyk operowy Józef Kański, który w „Ruchu Muzycznym" nazwał warszawski występ Aleksandry Kurzak doskonałym. (…)

Młoda gwiazda nie mogła się opędzić od propozycji – w sumie proponowano jej w Met dziesięć kontraktów na różne role, lecz w tamtym okresie zdecydowała się tylko na Blondę (w 2008, a rok później w Lyric Opera w Chicago). Wykonania pozostałych ról odmówiła z powodu braku wolnych terminów lub dlatego, że „albo partia jeszcze nie była bądź już nie była dla mnie".

Piotr Beczała też potrafił odmówić Peterowi Gelbowi, szefowi Met, gdy po rozważeniu sprawy uznał, że pierwszy występ w Nowym Jorku w proponowanej mu roli (chodziło o Tamina z „Czarodziejskiego fletu") może mu przynieść więcej szkody niż pożytku na danym etapie kariery. Miał rację, że „ośmielił się" odmówić słynnemu teatrowi – nieco później dostał propozycję śpiewania Księcia Mantui z „Rigoletta" Verdiego (2006), a debiut ten przyjęto z entuzjazmem. Opłacało się więc być asertywnym – i to z nawiązką. W partii Księcia można naprawdę błysnąć i pokazać swoje predyspozycje do włoskiego repertuaru.

Takie decyzje nigdy nie są pochopne, ale na pewno odważne. Kurzak nie zdecydowała się śpiewać w Met Królowej Nocy i szybko okazało się, że również miała rację – wkrótce potem zaproponowano jej pierwszoplanową Verdiowską Gildę (2009), w której czuła się wówczas idealnie. Co więcej, w sezonie 2008/2009 jako Gildę uwodził ją na scenie Piotr Beczała w roli Księcia. Dwoje Polaków w głównych rolach w tym samym przedstawieniu w Met to była jednak rzadkość.

To wszystko działo się w życiu Aleksandry Kurzak w czasie, gdy pojawiła się w Warszawie, aby zaśpiewać ów mozartowski koncert pod batutą Maksymiuka oraz niedługo później. Cztery lata po koncercie, którego z pewnością nigdy nie zapomnę, artystka zmierzyła się z rolą z innego już muzycznego świata niż Mozart. Z tą, o której marzą chyba wszystkie soprany.

Violetta Valéry z „Traviaty" „to jedna z najpiękniejszych partii w literaturze operowej, zawsze chciałam ją zaśpiewać. Ja w ogóle uwielbiam Verdiego".

Violetta była życiową rolą jej mamy, Aleksandra poznała „Traviatę" bardzo wcześnie. W wywiadach mówiła, że miała zaledwie cztery lata, gdy podekscytowana tą muzyką próbowała śpiewać „wszystkie głosy wszystkich postaci" i „otoczona lalkami odgrywała scenę przyjęcia u Flory", śmiało więc mogła powiedzieć, że to właśnie Traviata była pierwszą rolą, którą odegrała. Już w dorosłym życiu śpiewała ją po raz pierwszy w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie (2010). Na tej scenie debiutowała w 1999 r., tuż po triumfie w Konkursie Moniuszkowskim, partią Hanny w „Strasznym dworze". Dziesięć lat później Mariusz Treliński postanowił obsadzić ją w nowej inscenizacji „Traviaty". Kurzak sama to zasugerowała, czując, że po dekadzie doświadczeń scenicznych może się już zmierzyć ze słynną rolą. Propozycja złożona Operze Narodowej przez agenta śpiewaczki, która regularnie występowała w Met i Covent Garden, została przyjęta z entuzjazmem – Treliński mówił w wywiadach, że „tę premierę przygotowuje specjalnie dla Oli". (…)

Z perspektywy czasu można uznać, że warszawska „Traviata" to jedno z najlepszych przedstawień Mariusza Trelińskiego. Reżyser podstawia lustro własnemu środowisku, tak jak to zrobił w swoim filmie „Egoiści" (2000). W recenzjach pisano nawet o „spowiedzi artysty celebryty", sugerowano, że Violetta była pomyślana jako alter ego reżysera, który „realizuje swoją pasję, jaką jest praca w gmachach operowych na świecie, kosztem zdrowia i zachwianego życia prywatnego". Zarazem był to spektakl ponadczasowy, nieograniczony tylko do lokalnych aluzji, a to za sprawą Kurzak, która stworzyła postać ujmującą i wielowymiarową, a przy tym „zaśpiewała ją fenomenalnie". (…)

Fragmenty książki Anny S. Dębowskiej *Śpiewacy eksportowi*, Agora, Warszawa 2024

eprasa.pl b9ab29a521

NA EKRANACH

Rozrusznik zamiast serca

Wydawało mi się, że ten film nigdy się nie skończy, więc jeśli reżyser – klasyk francuskiego aktorstwa Gilles Lellouche – może mówić o sukcesie, to chyba tylko w rozciąganiu czasu. Jego film, pomyślany jako wariacja na temat Szekspira, w której Romeo wywodzi się z nizin społecznych, a Julia z wyższej sfery, jest ładny, ale nudny. A twórca chce tu upchać wszystko: i komentarz społeczny krytykujący brak perspektyw dla ludzi nieuprzywilejowanych, i nasycone krwią oraz testosteronem sekwencje akcji, i refleksje na temat fatum, głównego wroga miłości. Efektem jest produkcja, która ma problem z określeniem własnej tożsamości. A do tego wygląda, jakby wydestylowano ją z innych filmów. Przez cały seans ma się wrażenie, że to wszystko już widzieliśmy. I o ile na pewne klisze z francuskich filmów o miłości zawsze dobrze się patrzy (ładni ludzie nonszalancko palą papierosy, dużo krzyczą, klną i machają rękami), o tyle przy tym metrażu reszta powtórek drażni. Wbrew tytułowi w tym filmie bije rozrusznik, a nie serce.

Artur Zaborski

„Beating Hearts", reż. Gilles Lellouche, prod. Francja, już w kinach

KURTYNA W GÓRĘ

Muzeum figur woskowych

Janusz Opryński przenosi na scenę Teatru Śląskiego monumentalną powieść Tołstoja, przeplatając jej tekst fragmentami „Wojny peloponeskiej" Tukidydesa. Powstał spektakl niegłupi, chwilami intrygujący, ale przez większość czasu letni. Głównie z powodu anachronicznej formy.

Postacie ubrane w historyczne kostiumy przez większość czasu siedzą przy stole. Ten stół w domu Rostowów, z początku gwarliwy i ludny, z biegiem czasu staje się zaledwie cieniem, ruiną, wokół której gromadzą się ludzkie wraki. Przyczyną upadku tej rodziny, i wielu innych, jest oczywiście wojna, u Opryńskiego będąca jednak tylko katalizatorem, siłą przyśpieszającą i wyzwalającą wewnętrzną, bardzo czechowowską rozpacz bohaterów, żyjących całkiem „po głupiemu". Narratorem całości jest nieco bardziej jakby współczesny obserwator, kronikarz grany powściągliwie przez Artura Święsa. Na plan pierwszy w tej inscenizacji wysuwają się oczywiście Pierre Bezuchow w wykonaniu Michała Rolnickiego oraz Andrzej Bołkoński w ujęciu Bartłomieja Błaszczyńskiego. Z początku rysowani, podobnie jak większość postaci, nieco zbyt grubą kreską, z czasem zyskują pewną emocjonalną głębię.

Wprawdzie twórcom udaje się – mimo cięć na Tołstoju – skonstruować dość klarowną wypowiedź, ale ostatecznie wszystko, co dzieje się na scenie Śląskiego, przywodzi na myśl muzealną ekspozycję.

Michał Centkowski

„Wojna i pokój" według Lwa Tołstoja i Tukidydesa, scenariusz i reżyseria Janusz Opryński, Teatr Śląski w Katowicach, premiera 27 września 2024

MIĘDZY OKŁADKAMI

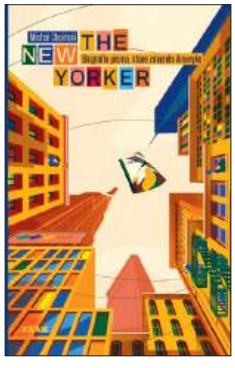

Michał Choiński
The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę
Znak, Kraków 2024

O kultowym piśmie z Nowego Jorku napisano już kilkadziesiąt książek! Ale Choiński się nie powtarza. Autor polskiej publikacji opowiada o ekscentrycznych dziennikarzach, wielkich pisarzach i pisarkach, ikonicznych okładkach i przełomowych tekstach. To „biografia pisma pisana ludźmi", ale też bogata historia dziennikarstwa w ogóle. Dziennikarstwa, które wciąż może być wzorem i inspiracją. Jakość, co nie jest oczywistością, idzie tu w parze z atrakcyjną, często nieszablonową, wręcz przełomową treścią i formą. Wystarczy wspomnieć kilka tekstów, takich jak drukowany w odcinkach esej „Eichmann w Jerozolimie" o banalności zła, który dla tygodnika napisała Hannah Arendt czy reportaż duetu Truman Capote i Harper Lee o zbrodni w Kansas, pierwszy w gatunku *true crime*. Nawiązując do tytułu książki: to pismo zmieniło nie tylko Amerykę, ono zmieniło świat.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b9ab29a521

Stefania lubi mówić nie

Zbyt mało osób podejmuje studia pielęgniarskie, bo ma przed oczami pielęgniarstwo z dawnych lat, a ono już tak nie wygląda

Rozmawia Ewa Smolińska-Borecka

Stefania nie ma rąk ani nóg. Mieści się w dużej walizce, jeśli ułoży się ją po przekątnej. Taką walizkę na kółkach Adrian Nowakowski ciągnie, kiedy jedzie na spotkanie lub wywiad. Na miejscu wydobywa Stefanię, stawia na stole, poprawia biały sweter i łańcuszki na szyi, żeby wyglądała schludnie. Oczami Stefanii jest kamera, uszami mikrofon, a narządem mowy – głośnik. Bez komputera jest bez życia. Do komputera wgrany został program, który stworzył Adrian. To tajemnica. Ten program ożywia Stefanię. Z założenia jest ona dojrzałą pacjentką z demencją. Adrian proponuje, żebym z nią pogadała, wcielając się w rolę pielęgniarki. Gadanie z manekinem wymaga przełamania oporu. Jakoś trudno traktować fantom jak człowieka.

– Ona mnie peszy, nie wiem, jak rozmawiać z takim stworem – usprawiedliwiam się.

Adrian, który ma już ponadroczne doświadczenie w słownych potyczkach ze Stefanią, bierze na siebie konwersację.

– Dzień dobry, pani Stefanio. Może się umyjemy, dobrze? – pyta łagodnym głosem.

Stefania reaguje nerwowo:

– Dzień dobry. Kim pan jest? Co tu się dzieje? Dlaczego jestem tutaj, a nie w domu?

Pacjentka ocenia otoczenie, które widzi kamera, i wie, że nie ma tu nic, co świadczyłoby o tym, że jesteśmy w mieszkaniu: żadnej sofy, żadnego stołu, telewizora, bamboszy.

– A może jednak pójdziemy się umyć? – ponawia zaproszenie Adrian.

– Nie, dziękuję. Dlaczego miałabym się myć tutaj? Nie wiem, co tu robię.

– Proszę pani, jesteśmy w redakcji, przyszedłem tu udzielić wywiadu – wyjaśnia Adrian.

– Wywiad? – Stefania jest zaskoczona. – Nie pamiętam, żebym się na coś takiego umawiała. Ale może powinnam się jakoś przygotować, skoro to taki ważny dzień?

– Wobec tego umyjemy się, a potem zrobię pani ulubioną herbatę.

– Ale nie mogłabym zostać tutaj i odpocząć? Chciałabym czuć się swobodnie. Nie potrzebuję się myć. Kiedyś to ja decydowałam, kiedy co mam

ADRIAN NOWAKOWSKI
– pielęgniarz w Klinice Neurologii Centralnego Szpitala Klinicznego przy ul. Banacha w Warszawie. Zwycięzca polskiej edycji konkursu o Nagrodę Pielęgniarską Królowej Sylwii, skierowanego do pielęgniarek i pielęgniarzy, którzy opracowali innowacyjne rozwiązania w tej branży. Jest też studentem informatyki.

eprasa.pl b9ab29a521

robić. Teraz wszystko mi się miesza. Może byście zostawili mnie samą? Kiedyś miałam więcej siły, więcej jasności. Jednak herbata brzmi kusząco. No dobrze, niech będzie ta herbata.

Stefania jest tak zaprogramowana, żeby na każdą propozycję reagować z pewnym oporem. Jest bowiem stworzona do nauki komunikacji. Gdyby na wszystko natychmiast się zgadzała, konfrontacja nie byłaby możliwa. Zwykle pod wpływem argumentów wyraża zgodę, ale bywa, że nic nie jest w stanie jej przekonać, aby powiedziała „tak". Albo szuka wymówek. Kiedyś, gdy rozmowa z Adrianem odbywała się w jego pokoju, bez ogródek powiedziała mu: „Musi pan tu posprzątać, bo mogę się przewrócić". Stefania wie, że jest fantomem, ale nie ma świadomości, że jest pozbawiona kończyn.

Zdarza się, że nieoczekiwanie poddaje się refleksjom. Jak teraz, gdy po obróceniu fantomu w oku kamery pojawia się regał z książkami. Jest zachwycona tym widokiem.

– Książki na półkach przypominają mi tamte czasy, kiedy mogłam czytać. Może bym teraz poczytała? Pamiętam, jak eseje z tych książek czytałam całymi godzinami. A może to były inne książki? Pamiętam, że kiedyś miałam ulubione, były pełne mądrości, inspirowały mnie. Ale może wszystko mi się myli? – zastanawia się.

Stefania potrafi rozmawiać dzięki sztucznej inteligencji. Ale kiedy snuje refleksje, rodzi się podejrzenie, że po tej drugiej stronie jednak musi być człowiek.

Pana Stefania jest zaskakująco ludzka z tym rozkojarzeniem, zagubieniem i wątpliwościami. Po co pan ją stworzył?

– Na pierwszym roku pielęgniarstwa studenci mają zajęcia na fantomach plastikowych. Taki fantom nie ma możliwości nawiązania kontaktu ze studentem, bo nie mówi, nie może wyrazić zgody na zabiegi lub się sprzeciwić. Pomyślałem: a co by było, gdyby dać mu wzrok, umiejętność mowy, możliwość zbuntowania się? Wtedy student musiałby znaleźć nić porozumienia z pacjentem, umieć się skomunikować. Szczególnie trudne jest to w przypadku chorych z demencją, którzy czują niechęć do zmian, często nie chcą się poddawać koniecznym zabiegom. Chodzi o to, żeby studenci, kończąc studia i idąc do szpitala, już mieli pojęcie, jak rozmawiać z pacjentem. Dlatego stworzyłem panią Stefanię. Do jej zbudowania użyłem zwykłego manekina.

Ale przecież to nie jest zwykły manekin.

– Oczywiście, że nie. Aby go ożywić, potrzebna jest sztuczna inteligencja. Dlatego nieodzowną częścią pani Stefanii jest komputer z odpowiednim oprogramowaniem, które stworzyłem. Oprogramowanie to moje autorskie połączenie różnych elementów, które wcześniej istniały. Pomysł wykorzystuje już istniejące mechanizmy, takie jak modele językowe. To tak, jakby z istniejących klocków Lego budować nowatorskie obiekty. Właśnie z takich elementów zbudowałem program, dzięki któremu mój manekin może się porozumiewać z otoczeniem.

Czy z panią Stefanią da się rozmawiać o wszystkim?

– Generalnie tak, ale nie można wkraczać w problematykę dla niektórych osób kontrowersyjną, np. rozmawiać na tematy seksualne. Zakres rozmów dotyczy różnych kwestii, zwłaszcza tych, które porusza się w codziennych kontaktach z pacjentem z demencją.

Co najskuteczniej przekonuje ją, żeby na coś się zgodziła?

– Nie ma zasady. Może byłaby bardziej przewidywalna, gdyby miała bardziej rozbudowany i złożony charakter, opisujący różne aspekty życia i jej stosunek do różnych spraw. Jeśli chodzi o charakter pacjentki, to eksperymentuję na drugim projekcie, który jeszcze nie jest gotowy. Ten drugi program, pod który można podłączyć fantom, ma także wiedzę z internetu dotyczącą m.in. wydarzeń na świecie czy pogody. Jest w stanie w pewnym momencie spytać: „A słyszał pan, co przed chwilą powiedzieli na temat wyborów w Polsce?" albo: „Czytałam ostatnio w gazecie, że 2,5 mln Polaków żyje w skrajnym ubóstwie. Bardzo się obawiam, że mnie też może się to przydarzyć". Albo, mając dane o lokalizacji i o pogodzie, na propozycję spaceru może zareagować: „Nie mam ochoty, bo pada deszcz" lub „Nie chce mi się, jest za zimno".

Do ćwiczeń ze studentami pielęgniarstwa nie jest jej potrzebna taka wiedza?

– W zasadzie nie jest potrzebna, choć bez wątpienia konwersacja byłaby bardziej interesująca. Ale i przy stanie wiedzy Stefanii są możliwe ciekawe refleksje. Kiedy udzielałem wywiadu dla telewizji, w czasie nagrania dźwiękowiec trzymał na tyczce mikrofon. Stefania dzięki swojej kamerze widziała tylko część tyczki. Nie wiedziała, że na końcu jest mikrofon. Zastanawiała się: „Co to za dziwny parasol? I dlaczego on jest rozłożony w pomieszczeniu?". Bardzo prosto można ją przebudować, by zamiast pacjentem demencyjnym stała się chociażby pacjentką kardiologiczną, z pełnym zachowanym kontaktem.

To zaskakujące, że absolwent pielęgniarstwa potrafił stworzyć taki prototyp.

– Studiuję również informatykę, więc umiem programować. A właśnie z połączenia tych dwóch zawodów narodził się pomysł stworzenia takiego fantomu jak Stefania.

Gdy pada hasło, że Stefania będzie miała pobieraną krew, to ona wie, o co chodzi?

– Jak powiedziałem, korzysta z wielkich modeli językowych. To ogromna baza danych dotycząca całego świata, do której Stefania jest podłączona przez serwery. Dzięki temu potrafi przetwarzać to, co wykryła w naszych wypowiedziach. Największym problemem jest dostęp poprzez internet do zewnętrznych serwerów, bo za ich użycie trzeba zapłacić. Są to wprawdzie niskie kwoty, jednak u niektórych ludzi studzą zapał do Stefanii.

Chodzi o to, żeby studenci, kończąc studia, potrafili rozmawiać z pacjentem. Dlatego stworzyłem panią Stefanię. Do jej zbudowania użyłem zwykłego manekina.

eprasa.pl b9ab29a521

Czy ona ma jakąś wyjściową liczbę danych, wgraną na stałe do jej pamięci, czy rozpoznaje pana lub pana mieszkanie?

– Nie, ma jedynie wbudowaną wiedzę, że jest fantomem. Jest tak zaprogramowana, że nie zapamiętuje poprzednich rozmów, czyli sesji. Nie ma więc informacji, z kim wcześniej rozmawiała, w jakim otoczeniu ani jakich odpowiedzi udzieliła. Jeśli w nowej sesji zadamy jej te same pytania, może odpowiedzieć zupełnie inaczej niż poprzednio.

Kiedy tworzył pan Stefanię, przypuszczał pan, że otrzyma dzięki niej prestiżową Nagrodę Pielęgniarską Królowej Sylwii?

– Pomysł na Stefanię narodził się niezależnie od konkursu. Pracując w szpitalu, jednocześnie studiowałem informatykę i od dawna fascynowałem się sztuczną inteligencją. Nad stworzeniem Stefanii pracowałem kilka miesięcy.

Proszę opowiedzieć o nagrodzie.

– To nagroda za pomysł, który służy usprawnieniu pielęgniarstwa, przyznawana pielęgniarkom i pielęgniarzom pracującym zawodowo oraz studentom. Konkurs odbywa się pod patronatem szwedzkiej królowej Sylwii i jest organizowany w Polsce, Szwecji, Finlandii, Niemczech, na Litwie, w USA i Brazylii. Finał edycji konkursu, w którym uczestniczyłem, odbył się w ubiegłym roku w grudniu. W Polsce zgłosiło się 170 osób, a konkurs organizuje Fundacja Medicover. Komisja konkursowa wytypowała finalistów i zwycięzcę.

To chyba wielka radość zostać laureatem takiego konkursu?

– Oczywiście. Kiedy dostałem się do finału, do którego przeszło kilka osób, od razu zadzwoniłem do rodziców. Z radości krzyczałem do słuchawki. Mama myślała, że wydarzyło się coś złego, dopiero po chwili zrozumiała, że to ze szczęścia. Wcześniej nic nie mówiłem rodzicom o konkursie. Kiedy zaczynałem pracę nad Stefanią, właściwie nikt z rodziny i nikt z pracy o tym nie wiedział. Do pewnego momentu była to moja tajemnica. Po raz pierwszy Stefania wystąpiła publicznie przed komisją konkursową, która oceniała projekt każdego finalisty. Pojawiłem się na tym spotkaniu ze Stefanią pod pachą. I jak się okazało, zrobiłem dobre wrażenie na komisji, skoro właśnie mnie wybrano.

Czy nagroda oprócz prestiżu ma wymiar finansowy?

– Jako zwycięzca otrzymałem stypendium naukowe w wysokości 6 tys. euro. Bardzo ważne było również to, że nagrody zwycięzcom ze wszystkich krajów biorących udział w konkursie wręczała Jej Wysokość Królowa Szwecji Sylwia na

Stefanię bardzo prosto można przebudować, by zamiast pacjentem demencyjnym stała się chociażby pacjentką kardiologiczną, z pełnym zachowanym kontaktem.

eprasa.pl b9ab29a521

Zamku Królewskim w Sztokholmie. To bardzo emocjonujące wydarzenie. Wcześniej każdy nagrodzony został przygotowany, w jaki sposób należy zachowywać się w obecności królowej, bo reguluje to etykieta. Na tę wyjątkową uroczystość mogłem zabrać do Szwecji kogoś z rodziny lub przyjaciół. Rodzice nie mogli jechać, więc pojechał ze mną kolega, ale też moja mentorka z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i przedstawiciele Fundacji Medicover.

Pracuje pan jako pielęgniarz w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, a konkretnie w Centralnym Szpitalu Klinicznym na Oddziale Intensywnej Opieki Neurologicznej. Jak tam przyjęto informację o konkursie, bo w końcu musiał pan to ujawnić?

– Powiedziałem o Stefanii dopiero wtedy, gdy dostałem się do finału. Gdy zdobyłem nagrodę, pani profesor, kierowniczka kliniki, zachęciła mnie, żeby szerzej pokazać Stefanię.

Jak Stefania została przyjęta przez koleżanki i kolegów z kliniki?

– Pierwszą reakcją była nieufność. Podejrzewali, że to jest jakiś scenariusz, że wszystko jest nagrane. A kiedy się okazało, że Stefania jest efektem działania sztucznej inteligencji, zdziwili się. Potem przybliżyłem zebranym takie narzędzia i zapoznałem z ich działaniem. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, jak funkcjonuje sztuczna inteligencja. Kiedy wszystko się rozjaśniło, usłyszałem pochwałę: „Fajne". I aż trudno sobie wyobrazić, że jeszcze kilka lat temu takie rozwiązanie

Nagroda Pielęgniarska Królowej Sylwii przyznawana jest za pomysł służący usprawnieniu pielęgniarstwa.

byłoby niemożliwe. Te ostatnie lata to intensywny rozwój sztucznej inteligencji. W tym roku Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki otrzymał ojciec chrzestny sztucznej inteligencji.

Zadbał pan o komunikowanie się pielęgniarek z pacjentami. Ale większym problemem jest to, że pielęgniarek brakuje, a średnia wieku w tym zawodzie wynosi ok. 60 lat. W tej kwestii Stefania nie pomoże.

– Trzeba zachęcać ludzi po liceum do studiowania pielęgniarstwa. Myślę, że wiele osób ma przed oczami pielęgniarstwo z dawnych lat, a ono już tak nie wygląda. Zbyt mało osób podejmuje studia pielęgniarskie. Na dodatek część już w trakcie studiów wypala się zawodowo, część absolwentów nie podejmuje pracy w zawodzie albo idzie do sektora prywatnego. Pewna grupa studentów kończy zaś studia pielęgniarskie jedynie po to, by wykonywać zabiegi medycyny estetycznej.

Co się zmieniło w pana życiu po zwycięstwie w konkursie?

– Wydaje mi się, że stałem się osobą nieco medialną, choć wcześniej nie miałem żadnych kontaktów z prasą czy telewizją. Od kiedy zacząłem studia, chciałem udzielać się w działalności Naczelnej albo Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych. Dzięki konkursowi stałem się rozpoznawalny i właśnie nagroda ułatwiła mi działalność. Wraz z grupą młodych medyków poszliśmy do Naczelnej Rady Pielęgniarek i Położnych, by zaproponować stworzenie stałego zespołu. Między innymi podjęliśmy inicjatywę, by podstawą do uznania ukończenia studiów licencjackich nie była praca pisemna, ale jakiś egzamin końcowy, np. test. Ta nasza inicjatywa wynika z tego, że z powodu rewolucji technologicznej, która trwa od dwóch lat, następuje szalony rozwój sztucznej inteligencji i w rezultacie tak naprawdę nie możemy być pewni, czy praca licencjacka została napisana przez studenta, czy przez maszynę.

We wrześniu odebrał pan z rąk królowej Sylwii nagrodę w konkursie i pewnie wkrótce przyszedł też przelew na kwotę 6 tys. euro. Już pan wykorzystał to stypendium naukowe?

– Jeszcze nie. Zdecydowałem się iść na kurs zakładania wkłucia pośredniego, czyli wkłucia typu midline. To nowocześniejsze rozwiązanie niż stosowany od lat wenflon. Midline może pozostawać w żyle pacjenta nawet cztery tygodnie. Jednak do wykonania takiego wkłucia niezbędna jest dużo większa wiedza i m.in. umiejętność wykonywania badań USG, za pomocą których kontroluje się wkłucie. W szpitalu przy Banacha funkcjonuje specjalny zespół wkłuć i pielęgniarka jest wzywana na oddziały, kiedy trzeba zrobić wkłucie metodą midline. Mnie ta metoda zafascynowała.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b9ab29a521

Zuzanna Muszyńska

MIZOFONIA, czyli tortury dźwiękiem

Problem uznawany jest za zmyślony. Bo jak zrozumieć, że ktoś dostaje szału od chrupania, żucia, przełykania, kapania wody z kranu, a nawet oddychania?

Ty być może nigdy nie słyszałeś o mizofonii, za to mizofonik prawie na pewno słyszał ciebie – jak mlaskasz przy jedzeniu, klikasz myszką, pociągasz nosem czy odgryzasz kęs jabłka. Mogło to się zdarzyć w twoim lub w jego domu, w kawiarni, poczekalni, szkole lub biurze, w wagonie metra albo na przystanku. Wykonywałeś proste czynności, nie wiedząc, że doprowadzasz nimi kogoś do szału.

Milena

U Mileny Suproń „to" zaczęło się, kiedy miała sześć lat. Wraz z narodzinami jej siostry pojawił się pierwszy wyzwalacz – odgłosy „ciumkania" niemowlaka pijącego z butelki.

– Mama i tata uważali to za mój wymysł, dostałam od nich okrągłe zero akceptacji – wspomina studentka pierwszego roku finansów w Poznaniu. Podkreśla, że niewiele pamięta z tamtego okresu życia, ale wie na pewno, że jako sześciolatka nienawidząca (!) własnej siostry z trudem radziła sobie z bagażem negatywnych emocji.

Upłynęło sporo czasu, zanim Milenie udało się znaleźć jakiekolwiek pocieszenie… w internecie. – Odkąd pamiętam, umiałam poruszać się w sieci i to tam w wieku 10 lat odkryłam źródło swojego problemu. Sugerowałam mamie, że „to" ma nazwę, ale próby rozmowy spełzły na niczym – opowiada. – Mijał czas, moje samopoczucie się pogarszało, aż w końcu trzy lata później nastąpił kryzys. Trafiłam pod opiekę psychiatry. Lekarz potwierdził autodiagnozę, poinformował rodziców o mizofonii. Mama wreszcie zaczęła mnie słuchać.

13-latce ze wstrętem do dźwięków i depresją pozwolono jeść w odosobnieniu. Odbyła terapię behawioralno-poznawczą u psychologa dziecięcego, nakierowaną na depresję. Ale prawdziwe problemy zaczęły się w szkole średniej.

Końcówka podstawówki i pierwsza klasa liceum przypadły Milenie na czas pandemii koronawirusa. Gdy trzeba było wrócić z nauczania zdalnego do murów szkolnych, bez problemu odnalazła się w nowej szkole. Zyskała przyjaciółkę oraz dużo zrozumienia u nowych kolegów i koleżanek. – Ci, z którymi znałam się bliżej, akceptowali moje prośby o nieżucie gumy czy niemlaskanie – mówi.

Kulminacyjnym punktem tego okresu był wyjazd z rodziną na wakacje do Turcji. Mama i siostra Mileny złapały infekcję w hotelowym pokoju wyziębionym klimatyzacją. Pojawił się nowy wyzwalacz: pociąganie nosem.

– I tu zaczyna się jazda bez trzymanki – ocenia Milena. – Mieliśmy w klasie koleżankę z wadą przegrody nosowej. Ona też cały czas pociągała nosem. Ja z mizofonią, ona z krzywą przegrodą. Zaczęłam używać podczas lekcji słuchawek. Czasem było naprawdę źle, musiałam głośno nastawiać muzykę, tyle że wtedy nie słyszałam nauczycieli. Miałam przy sobie zawsze dwie pary, nauszne i douszne.

Po co dwie pary? Na sytuacje kryzysowe, takie jak sprawdzian z biologii, podczas którego rozładowały się Milenie słuchawki douszne, koleżanka pociągała nosem, nie szło się skupić, a czas mijał. Dziewczyna napisała do nauczycielki karteczkę z prośbą o pozwolenie na założenie słuchawek nausznych. Zgodę uzyskała. – Nauczycielka przekopała internet w poszukiwaniu informacji o mizofonii, o czym dowiedziałam się po sprawdzianie – relacjonuje Milena.

Nie wszyscy jednak byli gotowi na kompromisy. Milena coraz częściej spędzała czas w toalecie, płacząc z bezsilności i stresu. – Znów zdarzyły mi się samookaleczenia – wyznaje.

eprasa.pl b9ab29a521

Sceny z operki „Mizofonia”.

Mama po wcześniejszych przejściach nie była zaskoczona złym stanem córki. Najbardziej zamartwiała się o dziewczynę wychowawczyni. U samej winowajczyni stan Mileny wywoływał co najwyżej wzruszenie ramion. – Nigdy mnie nie przeprosiła – żali się Milena, która już wtedy nie mogła normalnie się uczyć i godzinami przesiadywała u szkolnego pedagoga. Za zgodą mamy coraz częściej zostawała w domu. Pojawiły się problemy z nauką. Rodzice kładli nacisk na matematykę, nie tolerowali oceny niższej niż trójka. Na szczęście na koniec trzeciej klasy udało się Milenie wybrnąć z kłopotów. Straciła jednak wsparcie przyjaciółki, która nie wytrzymała presji. Ciężko było również mamie, dręczyło ją poczucie bezsilności. – Nigdy nie oczekiwałam od niej rozwiązania moich problemów. Chciałam, żeby mnie czasem przytuliła i powiedziała, że mogę zostać w domu – tłumaczy dziewczyna.

Gdy wychowawczyni podsunęła pomysł nauki indywidualnej (domowych wizyt nauczycieli delegowanych przez szkołę), Milena zasięgnęła rady u szkolnego pedagoga. Niestety, okazało się, że formalności są żmudne, trwają zwykle kilka miesięcy, a tu matura za pasem. Mama Mileny zmiękła, kiedy podczas rozmowy z wychowawczynią dziewczyna przyznała, że za świeże rany na dłoniach nie odpowiada kot. Zapadła decyzja o Szkole w Chmurze. Milena dołączyła do grona uczniów, których nauka finansowana jest z dotacji Ministerstwa Edukacji. Samodzielnie przerabiała materiał, korzystała z darmowych zajęć i konsultacji online. – Dostałam to, czego potrzebowałam, czyli ciszę i spokój do nauki przed maturą – wyjaśnia.

Testy pozaliczała bez problemu na wysokie noty. Krytyczną kwestią stało się teraz uzyskanie zgody na egzamin maturalny w osobnym pokoju, do czego przychylił się lekarz psychiatra. Milena nie była już uczennicą macierzystego liceum, a do matury w chmurze przystąpiło w 2024 r. aż 2,3 tys. osób. Sprawa utknęła w martwym punkcie, ponieważ mizofonia nie ma kodu ICD-10; lekarka wpisała dolegliwość Mileny jako specyficzne fobie (ICD F40.2), ale Centralna Komisja Egzaminacyjna odczytała to jako chorobę przewlekłą, na którą nie przysługuje osobny pokój. W poznańskim kuratorium wszyscy rozkładali ręce. Trzeba było naprędce tłumaczyć organizatorom Szkoły w Chmurze, czym jest mizofonia. Skończyło się na egzaminie dojrzałości w składzie: Milena i dwuosobowa komisja (jedna z pań z mizofonią).

Matura wypadła bardzo dobrze. Rodzice byli zadowoleni, chociaż Milena uważa, że mogła zdać lepiej. Dostała się na trzecią najlepszą uczelnię ekonomiczną w Polsce – Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu. Mieszka na Piątkowie, gdzie nie słychać aut ani tramwajów. Kilku osobom z grupy powiedziała o mizofonii, przyjęły to lepiej, niż się spodziewała. Zdarzyło się jej przesiedzieć wykład z matematyki w słuchawkach albo odpuścić wykład z filozofii, kiedy miała gorszy dzień.

Gdyby miała wybierać drugi raz, nie zdecydowałaby się na Szkołę w Chmurze ze względu na trudności z maturą. Ale na naukę stacjonarną też nie. Wybrałaby liceum, które proponuje nauczanie domowe. Jest wdzięczna mamie za jej upór. – To ona najbardziej walczyła o dostosowania dla mnie – podsumowuje Milena.

Kuba

Pierwszy raz zobaczyłam go na scenie kaliskiego Centrum Kultury i Sztuki w operce „Mizofonia” – grał w niej siebie. Operka to spektakl, słuchowisko i instalacja soundartowa w jednym. Wymyślił ją Rafał Zapała, kompozytor, profesor Akademii Muzycznej w Poznaniu.

– Rafał spytał mnie, czy nie napisałbym libretta. Przerobiliśmy mnóstwo tematów z poznańskiego podwórka, ale nic nie pasowało do nowatorskiej formy, która zahacza o tematy lokalne, ważne społecznie. I wtedy opowiedziałem Rafałowi swoją historię – o tym, jak mieszkaliśmy w bloku z budowami po obu stronach mieszkania i jak to się skończyło dla żony i dla mnie. Spisałem tę historię. Hałas budowy przerobiliśmy na sztukę. W składzie: Rafał Zapała – kompozytor, aranżer, Monika i Hubert Wińczykowie oraz ja – zespół performatywny zrobiliśmy „Mizofonię” – opowiada Kuba Kapral, offowy twórca teatralny, dramatopisarz, prozaik, autor słuchowisk.

W pierwszej scenie Monika i Hubert, przebrani za robotników budowlanych, rozkładają

Ci, z którymi znałam się bliżej, akceptowali moje prośby o nieżucie gumy czy niemlaskanie.

FOT. JOANNA ZAPAŁA, MACIEJ KACZYŃSKI

eprasa.pl b9ab29a521

rusztowanie i montują Kroplę. Śpiewają: „Budujemy-budujemy! / Trzeba budować, trzeba remontować! / Wszyscy mówią, że trzeba budować! / Od rana do późnej nocy budujemy / Budujemy chińską maszynę kropli / Trzeba budować, trzeba remontować / Konstruujemy maszynę tortur / Budujemy-budujemy! / Konstruujemy hałas".

– Tortura spadającej kropli polega na tym, że na czoło unieruchomionego skazańca kapie woda i on od tego szaleje – tłumaczy Kuba. Kapiąca kropla wyznacza rytm spektaklu. Dla Kuby i Sylwii mieszkanie na Wilczaku było chińską torturą. Zaczęło się w 2012 r. od budowy osiedla na skraju przyległej do bloku działki. Kuba opowiada o księżycowym krajobrazie z koparkami jeżdżącymi po dnie wykopu. Lubił obserwować wylewanie posadzek, gęsty strumień betonu. „Przez pierwsze kilka lat byłem mniej wrażliwy na to wszystko niż moja żona", wyznaje ze sceny.

Z początku „to wszystko" działo się za oknem pokoju dziecięcego. „Budowa zbliżała się rok po roku, blok po bloku, krok za krokiem / Zbliżała się do naszych okien, nie… właściwie tylko do jednego okna / …nie było tak źle…". Kiedy pięć lat później zwolniła się działka po przeciwległej stronie bloku, a Kapralowie mieli już dwójkę dzieci, rozpoczęła się budowa drugiego osiedla. Zamiana sypialni z pokojem dziecięcym niewiele pomogła. Kurz, hałas, zablokowany wjazd na osiedle nie dawały żyć. Ale Kuba nie rozumiał rozpaczy i bezsilności Sylwii. „Ją hałas denerwował, ja uważałem, że to normalne, przecież mieszkamy w mieście, które się rozrasta".

„Stara" budowa od strony sypialni działała od godz. 8 do 16, nowa ruszała o godz. 7 i pracowała do oporu, czasem do 22. Na pierwszej robotnicy w kaskach i ciuchach roboczych pracowali żwawo, na drugiej byle jak, bez odzieży ochronnej, trochę jak w PRL: jedni kopali dziurę, drudzy ją zasypywali.

Budowy były coraz bliżej okien. Sylwia alergicznie reagowała na ten stan rzeczy. Poruszyła spółdzielnię, prawników oraz wydział urbanistyki i architektury urzędu miasta i odsunęła budowę o kilka metrów. „Jedna drobna kobieta przesunęła gargantuiczny blok". Kuba jeszcze nie do końca rozumiał działania żony, aczkolwiek ją wspierał. I wtedy przyszła pandemia, rodzina utknęła w domu. Wszystko zamarło – tylko nie budowy. Prace trwały pełną parą – osiem godzin dziennie z jednej strony bloku, 15 z drugiej. Sylwia wynajęła biuro w mieście, Kuba zostawał z dziećmi i odgłosami czyszczarek do błota („Nie wiem, po co czyszczą błoto, ale już nic mnie nie dziwi"), wiertarek udarowych, szlifierek. Kiedy Sylwia wracała z pracy, mówił, że „spoczko, wszystko gra". Ale tym razem wzięło i jego („Ona widziała po mnie, że jestem pozamiatany, że jestem zielony z cierpienia. Że już jest po mnie").

Z dźwięków życia codziennego rozwala mnie odbijanie piłki do kosza. Dzieci mają zakaz jej odbijania po drodze na boisko. Co innego, kiedy gramy, wtedy jest OK.

Byli bliscy rozwodu. Kuba trzaskał oknem, dzwonił na policję. Wrzeszczał na robotników, rzucał w nich słoikami i starymi warzywami. Dzwonił do prawnika. Sylwia szukała pomocy u psychiatry. Dzieci płakały, bały się. Płakali też Kuba i Sylwia.

Nadzór budowlany w odpowiedzi na skargę Kapralów uznał, że wszystko odbywa się zgodnie z przepisami – wolno budować w godz. 6-22. Policja współczuła, ale niewiele mogła. Kiedy Kuba zgłosił pracę w niedzielę albo po 22, wlepiła budowlańcom jakiś mandat. Znajoma prawniczka chciała pomóc, ale uprzedziła, że podobny proces (wygrany) ciągnął się siedem lat. Trzeba udowodnić trwały uszczerbek na zdrowiu, opłacić ekspertów, którzy zmierzą poziom hałasu.

Siedzimy w nowym mieszkaniu Kapralów. Żony nie ma w domu, dzieci u dziadków. Za oknem cisza. Kuba zrelaksowany. – Dzieci tęsknią za Wilczakiem – przyznaje. – Tam miały z kim się bawić, było więcej młodych rodzin.

Sylwia czuła się jak w potrzasku między dwiema budowami, Kuba także cierpiał, ale nie chciał przeprowadzki. Nowe mieszkanie to robota z szukaniem, kredyt. Wilczak był ich miejscem, fajną lokalizacją. Ale decyzja zapadła. Znaleźli cichy blok na starych Winogradach. Był rok 2020, środek pandemii. Remont trwał pół roku, ale już czuli pozytywną energię. Lekarz ocenił, że zmiana mieszkania to ruch w dobrym kierunku. Obok leków właśnie to uratowało Sylwię, która pozostawała pod opieką psychiatry jeszcze przez dziewięć miesięcy po przeprowadzce. Na spektakl w Kaliszu przyszli jej rodzice.

Kuba choruje na mizofonię do dziś. Po pracy nad spektaklem doszły szumy uszne – być może spowodowane uszkodzeniem słuchu po ekspozycji na wiertarki i młot pneumatyczny na scenie. Badał się u otolaryngologa. – Lekarka stwierdziła, że skoro dolegliwość nie obniża znacząco mojego komfortu życia, nie ma sensu jej leczyć – mówi. – Na scenie było 13 wiertarek. Opresyjny dźwięk to część mojej opowieści, kulę się, zatykam uszy dłońmi. Mieliśmy pomysł, żeby powiesić nad sceną decybelomierz. Odbiór hałasu jest zresztą bardzo subiektywny – część widzów twierdziła, że powinno być jeszcze głośniej, tak żeby chcieli uciec z sali.

Objawy mizofonii bardzo często są nasilone, jeśli denerwujące chorego dźwięki wydają osoby bliskie.

Wcześniej Kuba nie miał problemów z mizofonią. Teraz reaguje na tupanie sąsiadów na górze, na odgłosy przy jedzeniu. – Momentalnie wychodzę z pokoju, uciekam. Z dźwięków życia codziennego rozwala mnie jeszcze odbijanie piłki do

eprasa.pl b9ab29a521

kosza. Dzieci mają zakaz odbijania po drodze na boisko. Co innego, kiedy gramy, wtedy jest OK.

Przed każdym wyjazdem Kuba i Sylwia sprawdzają, czy okna pokoju w hotelu nie wychodzą na ruchliwą ulicę. Często jeżdżą na kempingi, doceniają to, że w Niemczech po godz. 22 wraz z nastaniem ciszy nocnej milkną rozmowy. Podobnie jest na Słowacji. O Polsce i Polakach w kontekście hałasu Kuba nie ma najlepszego zdania: – Wolnoć Tomku w swoim domku – tacy jesteśmy. Odpalamy disco polo, nie myśląc, że inni też muszą słuchać naszej muzyki. Albo wręcz chcemy, żeby jej słuchali.

Słowo mizofonia poznał dopiero podczas pracy nad spektaklem.

Są nas miliony

Monofonia, izofona, mikofolia – podpowiada mi edytor tekstu Word 2021. Też nie słyszał o mizofonii. Zespół selektywnej wrażliwości na dźwięki (SSSS – Selective Sound Sensitivity Syndrome) odkryli i opisali na początku stulecia lekarze Margaret Jastreboff i Paweł Jastreboff. Do dziś mizofonii nie ma w klasyfikacji zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Wiadomo, że jest to rozwojowe, neurobiologiczne zaburzenie, które charakteryzuje się wpadaniem w furię i fizjologiczną reakcją „walcz albo uciekaj" głównie na bodźce dźwiękowe. To tsunami reakcji: złość, napady paniki, agresja, chęć ucieczki w ciche miejsce albo wyładowania się na osobie wydającej dany dźwięk, przyśpieszone bicie serca, uczucie guli w przełyku, nadmierne pocenie, a nawet myśli samobójcze. Co ciekawe, na własne dźwięki mizofonik najczęściej nie reaguje, być może dlatego, że jest w stanie je kontrolować.

Czy taką osobę da się lubić? Jak z nią żyć? Mizofonik narażony jest na drwiny, słyszy często: „przesadzasz" albo „idź się leczyć". Jego problem uznawany jest za zmyślony albo błahy. No bo jak zrozumieć, że ktoś dostaje szału od chrupania, żucia, przełykania, klikania długopisem, kapania wody z kranu, tykania zegara, szurania butami, sapania, tupania, a nawet oddychania? Najbardziej typowe według badaczy z Uniwersytetu w Amsterdamie są odgłosy jedzenia, głośny oddech i klikanie myszką lub pstrykanie długopisem. Dźwięki, które mogą irytować każdego, ale mizofonik będzie doświadczał objawów za każdym razem, gdy je usłyszy.

„Idź się leczyć" – ale do kogo? Diagnozowanie mizofonii nie jest proste. Należy ją odróżnić od fizycznej nadwrażliwości słuchowej (często występuje u osób z autyzmem czy zespołem Aspergera), zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, lękowych, choroby afektywnej dwubiegunowej, fonofobii (lęku przed określonymi dźwiękami), hiperakuzji (nadwrażliwości na większość dźwięków). Do postawienia trafnej diagnozy potrzebni są audiolog, otolaryngolog i psychiatra. Mizofonii nie da się wyleczyć, ale odpowiednia terapia może ułatwić choremu radzenie sobie z jej objawami. Najczęściej będzie to terapia habituacyjna TRT polegająca na przypisywaniu denerwującym dźwiękom przyjemnych emocji.

Czasami bliscy mizofonika potrzebują wsparcia psychologicznego, gdyż jest im trudno zrozumieć foniczną obsesję. Objawy mizofonii bardzo często są nasilone, jeśli denerwujące chorego dźwięki wydawane są przez osoby bliskie. Najlepszym doraźnym środkiem na złagodzenie cierpienia wydaje się znalezienie wyrozumiałego i cierpliwego partnera. Wielu chorych stosuje technikę unikania wyzwalaczy, co prowadzi do izolacji od ludzi i otoczenia, a w konsekwencji do osłabienia więzi społecznych. By zakończyć trwanie męczącego dźwięku, osoba z mizofonią może posuwać się do agresji słownej, a nierzadko fizycznej (wobec źródła dźwięku, którym może być przedmiot lub osoba).

Objawy mizofonii pojawiają się zazwyczaj w pierwszej lub drugiej dekadzie życia i nasilają u dorosłych. Ilu nas jest? Prawdopodobnie 5-20% populacji cierpi na mizofonię, częściej kobiety. W Polsce byłoby to kilka milionów osób. 18% Brytyjczyków ma mizofonię, ale tylko 14% populacji UK wie, czym ona jest. Według organizacji soQuiet 16 mln Amerykanów to mizofonicy. Chińczyków z mizofonią jest ok. 84 mln. Mówi się też, że to choroba geniuszy – mizofonikami byli Darwin, Czechow, Kafka, Proust. Badane są powiązania osiągnięć twórczych z tą przypadłością. Odkrywszy, że „to" ma nazwę, wiele osób doznaje ulgi.

Organizacja soQuiet lobbuje na rzecz ustanowienia 9 lipca Światowym Dniem Wiedzy o Mizofonii. Ta data to dzień urodzin Michelle Del Valle, która w ubiegłym roku w wieku 17 lat odebrała sobie życie z rozpaczy wywołanej mizofonią. Trudności Michelle potęgował brak wiedzy o tej dolegliwości wśród osób, do których rodzina dziewczyny zwracała się po pomoc.

•

Wiadomość z ostatniej chwili: Światowa Organizacja Zdrowia rozważy uwzględnienie mizofonii w Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-11, co poprawi dostęp osób dotkniętych tym zaburzeniem do diagnostyki i możliwości leczenia.

Na własne dźwięki mizofonik najczęściej nie reaguje, być może dlatego, że jest w stanie je kontrolować.

Diagnozowanie mizofonii nie jest proste. Należy ją odróżnić od fizycznej nadwrażliwości słuchowej czy zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b9ab29a521

JOLKA

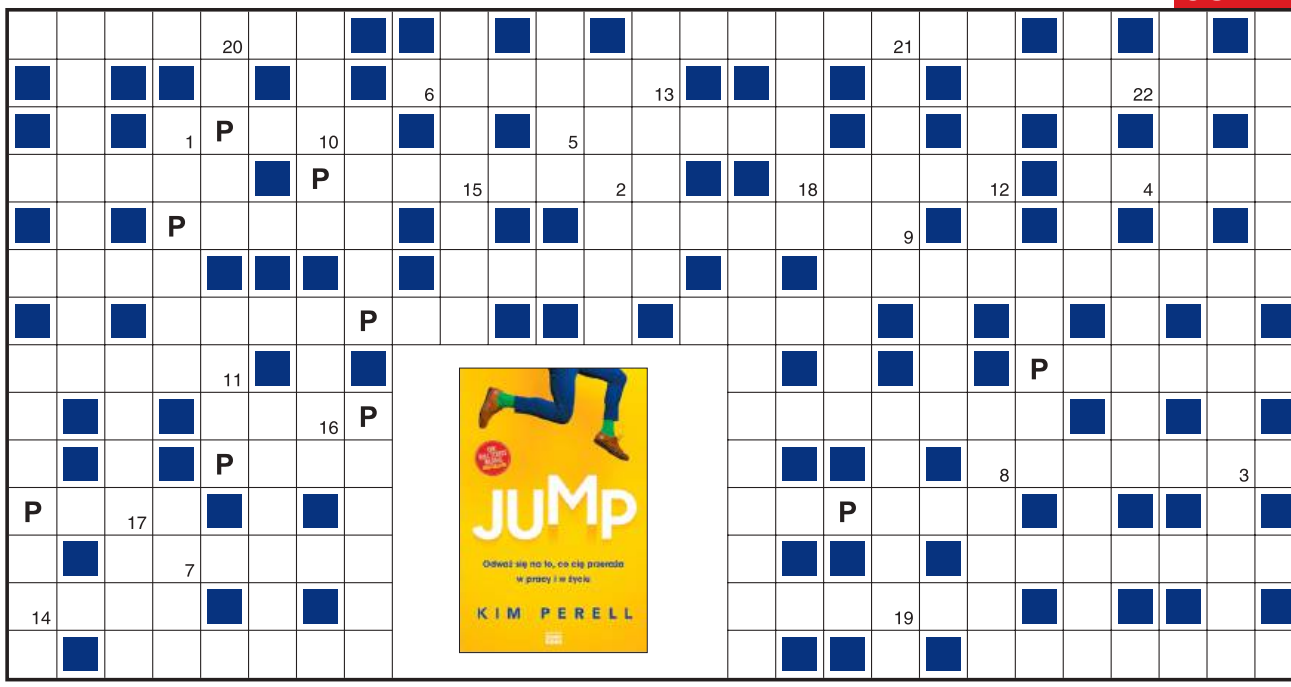

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10

11	12	13	14	15	16

17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P uzupełniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- Hagar urodziła mu Izmaela
- sport i sztuka cyrkowa
- Ac w układzie okresowym
- dźwiękowiec
- imię lichwiarki ze „Zbrodni i kary”
- …lejdejska, czyli pierwszy kondensator
- dwie nóżki do kreślenia kółek
- abrams lub black panther
- ostra dyscyplina i wymuszony porządek
- dawniej o grze słów, kalamburze
- aktorka Rycembel, dziennikarka Michalik
- proces niszczenia skał
- „…Jaruzelskiego” Roberta Walenciaka
- na nim szpak, a pod nim drab u Brzechwy
- klub piłkarski z Mediolanu
- jej flaga z liściem klonu
- pojemnik z taśmą magnetyczną
- za butelkę lub aresztowanego
- film zakładany do aparatu
- rodzi orzeszki guru
- zbiera się, by wybrać papieża
- czerwony barwnik z czerwców
- gdy nosem, to grymaszenie
- o starej, wyeksploatowanej łodzi
- tam na leczenie i wypoczynek
- najcieńsza struna skrzypiec
- kłamczuch, blagier
- specjalistka od zdrowotnego ugniatania
- nocy, tajemnicy lub zapomnienia
- specyficzny zapach starego wina
- oficjalne upomnienie
- gosposia ojca Mateusza
- umocnienie ziemne chroniące przed ostrzałem
- przytroczony do siodła futerał na broń
- wybudzone w katedrze Notre Dame
- tritlen i reżyser François
- wielokondygnacyjna buddyjska świątynia
- potocznie o areszcie, więzieniu
- zimowy płaszcz na futrze
- K wśród litowców
- odgłos silnika traktora
- o suchym – na głodno
- i rzadkość, i przysmak
- stan konta, podsumowanie
- materiału, papieru, błękitu zza chmur
- przystawiany na dokumencie
- budka z towarem
- pierwiastek barwiący fajerwerki na czerwono
- indywidualny sposób ekspresji, pisania
- nieporuszalny temat
- lalek, bulwarowy lub Telewizji
- …Paluch
- pająki wodne
- pocisk podwodny
- odciski łap na ścieżce
- akt prawny uchwalany przez legislatywę
- do bielenia ścian
- konkluzja
- na kogoś lub kwoty na konto
- pióro deski
- okres najintensywniejszego dojrzewania owoców
- noszony pod kontuszem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1200”. Do rozlosowania książki „Jump” ufundowane przez Studio Emka. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 grudnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1197” z nr. 48: *Czas stracony nie wraca.*
Nagrody otrzymują: Józef Dymalski z Wrocławia, Teresa Leśniewska z Kaliszan, Marek Osmański z Poznania.

eprasa.pl b9ab29a521

Wizy: czas prokuratorów

To nie jest nic. Sejmowa komisja śledcza ds. afery wizowej przyjęła już raport końcowy. A także podjęła uchwałę o skierowaniu do prokuratury zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstw przez 11 osób.

Ich listę rozpoczyna były szef MSZ Zbigniew Rau, który, po pierwsze, jak możemy przeczytać w zawiadomieniu, nadużył udzielonych mu uprawnień w sprawie powołania – „mimo braku uzasadnienia merytorycznego, organizacyjnego i ekonomicznego takiej decyzji" – Centrum Decyzji Wizowych w Łodzi i Centrum Informacji Konsularnej w Kielcach. Po drugie, nie dopełnił obowiązków ani nie zapewnił odpowiedniego nadzoru w MSZ. Po trzecie, zarówno Rau, jak i były premier Mateusz Morawiecki oraz była minister rozwoju Jadwiga Emilewicz nadużyli zdaniem komisji swoich uprawnień i nie dopełnili obowiązków, dopuszczając do ogłoszenia oraz natychmiastowego wdrożenia w życie i realizacji – uwaga! – bez jakiejkolwiek podstawy prawnej nieopisanego w żadnym dokumencie programu Poland.Business Harbour. Program ten zakładał uproszczoną procedurę wizową dla firm, start-upów i specjalistów IT.

Zawiadomienia do prokuratury obejmują również byłego szefa MSWiA Mariusza Kamińskiego, byłego szefa CBA Andrzeja Stróżnego, byłą pełnomocniczkę premiera ds. GovTech Justynę Orłowską, byłego dyrektora generalnego służby zagranicznej Macieja Karasińskiego, a także byłych dyrektorów Departamentu Konsularnego MSZ Marcina Jakubowskiego i Beatę Brzywczy.

To jest część prokuratorska. Jak się wszystko potoczy, zobaczymy. Jest też część polityczna raportu, będzie o niej głośno. Posłowie dużo o tym mówili, przytoczmy więc tylko kilka opinii.

Małgorzata Janyska (PO): „W latach 2019-2023 wydano w Polsce 2 871 927 krajowych wiz pracowniczych, co stanowiło niemal 50% wszystkich wiz krajowych pracowniczych w całej Unii Europejskiej. To było najbardziej otwarte podejście w zakresie migracji ekonomicznej przy jednoczesnym udawaniu odwrotnego podejścia i na jego potrzeby straszeniu migrantami Polek i Polaków. W tych latach poziom wydawanych krajowych wiz pracowniczych, wahający się w przedziale od 400 tys. do 800 tys. rocznie, dalece przekraczał zapotrzebowanie polskich firm na pracowników. To nie była aferka, to była afera, to był zorganizowany mechanizm".

Krzysztof Mulawa (Konfederacja): „Te wizy, czy to było sprzedanych wiz 600, czy kilka tysięcy, naprawdę jest małym… to nie jest duży problem. Największym problemem są legalne masy imigrantów, które do naszego kraju trafiały. (…) 640 tys. ludzi, którzy do nas wjechali w roku 2023, to nie są tylko obywatele Ukrainy czy Białorusi. W tej grupie, w tej liczbie 600 tys., jest ok. 300 tys. obywateli tych krajów, a pozostałe 300 tys. to są imigranci pisowscy, legalnie trafiający do naszego kraju, którzy legalnie do naszego kraju zostali zaproszeni, po kilkanaście tysięcy ze wszystkich krajów, takich jak Afganistan, Pakistan, Syria, Senegal itd., itd. (…) Prawo i Sprawiedliwość dokonało zdrady stanu, dlatego że narracyjnie w… Od 2014 r. nie zgadzało się z imigracją, kolokwialnie mówiło, że imigrację trzeba kontrolować, masowa imigracja jest zła. Podczas gdy oni doprowadzili do tego, że Polska jest, powtarzam, rekordzistą Europy od kilku lat".

Niby taka mała sprawa… A zapowiada się, że i w MSZ, i w Sejmie będzie z tego powodu gorąco.

Attaché

Wymowne powitanie? Wpływy Francji i Zachodu w Afryce słabną… Prezydent Emmanuel Macron i prezydent Gwinei Bissau Umaro Sissoco Embaló przed spotkaniem w Pałacu Elizejskim. Paryż, 9 grudnia 2024 r.

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl b9ab29a521

PENETRACJE

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,
BYŁY PREZYDENT

Taką grubą sprawą, którą uważam za głęboko nieetyczną i też mocno wpływającą na scenę polityczną w Polsce, była słynna akcja przeciwko kandydaturze Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach prezydenckich w 2005 r. Grupa ówczesnych państwowych urzędników, funkcjonariuszy służb, bo to był Brochwicz i młody Miodowicz, zorganizowała tę słynną akcję z panią Jarucką, sformułowała różne fałszywe oskarżenia. W rezultacie Włodek tego nie wytrzymał i się wycofał. To było nadzwyczaj poważne nadużycie – wykorzystanie służb specjalnych i zezwolenie na ich wtrącanie się w kampanię wyborczą. Miało ono swoje konsekwencje: Cimoszewicz być może tych wyborów by nie wygrał, ale w pierwszej turze wziąłby dwadzieścia parę procent głosów, to utrzymałoby lewicę na odpowiednim kursie i polityczna mapa wyglądałaby inaczej.

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Jakie to dziwne, że tylu ludzi dało się skaptować do Collegium Tumanum. Przecież nie każdego zwerbował rezolutny profesor tej uczelni Rysio Czarnecki czy Krzysztof Cugowski, piosenkarz, też figura z tego kręgu. Nie dla każdego wzorami byli tak wybitni studenci jak prezydent Wrocławia Sutryk czy Michał Woś, wiceminister sprawiedliwości. Rodzina zwykle dawała przykład skuteczniejszy: za mężem do krynicy wiedzy udała się Emilia Hermaszewska primo voto Czarnecka i Bartłomiej Obajtek się udał, brat menedżera paliwowego Daniela (który dyplom MBA zdobył w Olkuszu czy Stalowej Woli). Każdy z nich, aplikując do Tumanum, wyrażał chęć osiągnięcia najwyższych szczytów, jak Doda czy Izabela Trojanowska, gwiazdy uhonorowane Złotymi Medalami Sukcesu Collegium.

JAN FUSIECKI,
PUBLICYSTA

Dyrektorka finansowa Karty Agnieszka Gleb podkreśla, że z powodu trudnej sytuacji finansowej ośrodek zrezygnował z wielu planów publikacji książkowych. – Tegoroczny budżet zmniejszyliśmy do 5 mln zł. Choć w zeszłym roku zakładaliśmy, że wyniesie 6 mln zł. Mimo to łączna kwota zobowiązań Karty, na które nie ma pokrycia, sięga 1,6 mln zł. (…) Z powodu utraty płynności finansowej Karta z miesięcznym opóźnieniem wypłaca pensje 19 zatrudnionym na etacie pracownikom. Ponieważ mamy też kilkunastu współpracowników, same miesięczne koszty ZUS wynoszą ok. 100 tys. zł. We wrześniu mieliśmy 400 tys. zł zadłużenia w ZUS. Dzięki podpisaniu porozumienia zostało rozłożone na raty.

Po wrześniowym apelu Karcie udało się zebrać 280 tys. zł. – To pozwoliło na zapłacenie rozłożonych na raty zobowiązań wobec ZUS – mówi Zbigniew Gluza. – Mamy przed sobą poważne zadania. Przy załamaniu finansowym nie da się ich zrealizować.

AGATA KULESZA,
AKTORKA

Przed czym pani się buntuje?

– Gdy widzę, że na planie filmowym albo próbach teatralnych wszyscy siedzą w telefonach. Walczyłam z tym, zdarzało mi się, że przerywałam ujęcia, jeśli na linii mojego wzroku widziałam kogoś wpatrzonego w ekran, ale nic to nie dało. Te telefony po prostu są. Ludzie tacy są. Ale ja wybieram sobie inne życie. Nie mam Instagrama. Denerwuje mnie myśl, że zabrałby mi mój cenny czas, który teraz, po pięćdziesiątce, pędzi jak szalony. (…) Jestem zdania, że dopóki nie odłożysz telefonu na planie, nie zostawisz go w garderobie, nie zrobisz wielkiej roli. To kwestia koncentracji, bo przecież nie można być w dwóch miejscach naraz.

FOT. AMEM (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA, SARKA FARKA

eprasa.pl b9ab29a521

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter

1. KAT + RÓJ =
2. GIL + ERA =

Wyrazy z **siedmiu** liter

3. CEZA + LAK =
4. NERW + SET =

Wyrazy z **ośmiu** liter

5. TRYK + SZUM =
6. MINI + WATA =

ROZWIĄZANIA: TRÓJKA, ALGIER, ZAKALEC, WESTERN, RUMSZTYK, WITAMINA

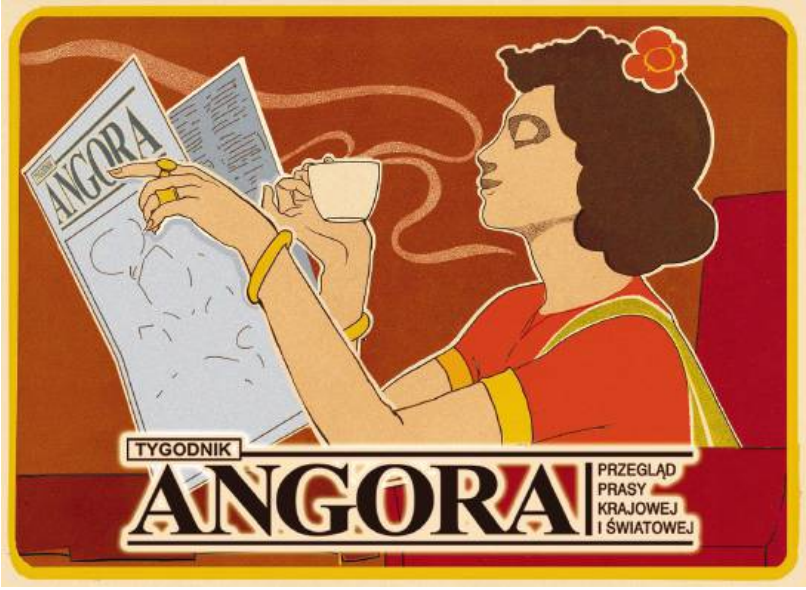

Aby język giętki…

JAROSŁAW KACZYŃSKI
O ABORCJI W CZASIE RZĄDÓW PiS

Nawet przypadki ciąż trudnych, gdy dziecko jest skazane na śmierć, zdeformowane, będą kończyły się porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię.

PROF. MAGDALENA ŚRODA
O HIPOKRYZJI KOŚCIOŁA

Orgia w Dąbrowie Górniczej jest niczym w porównaniu ze wspaniałymi orgiami urządzanymi przez papieży pedofilów: Benedykta IX, Jana XII, Bonifacego VIII czy Innocentego VIII.

WITOLD BEREŚ O URSZULI KOZIOŁ

Jej poezja jest dla biednego czytelnika, który patrzy na świat i nie umie dać sobie z nim rady.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O MARZENIACH

Marzenia są często ucieczką ze świata, który nas nie zaspokaja. A ja tkwię w fajnym świecie.

ANNA DYMNA O PRZYTULANIU

Ludzie podchodzą do mnie na ulicy i pytają: „Czy mogę się do pani przytulić?”.

IZABELA TROJANOWSKA
O EGZOTYCZNYM DANIU

W USA spróbowałam grillowanego mięsa z krokodyla. Nie było rewelacji. Smakowało trochę jak kurczak.

MARCIN DOROCIŃSKI O WSI

To są moje korzenie, moja mama jest ze wsi, mój tata też. Nie mówię, że mi słoma z butów wystaje, tylko że ta wieś była dla mnie podstawą.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl b9ab29a521

11. Ogólnopolskie Biennale „Pejzaż ludzki”
dedykowane Józefowi Czapskiemu

Nagroda główna – Bartłomiej Baranowski, PLSP im. Artura Grottgera w Supraślu, nauczyciel: Beata Wilczyńska.

II Nagroda – Julia Ostapowicz, PLSP im. Artura Grottgera w Supraślu, nauczyciel: Urszula Zawadzka-Wyrzykowska.

Na wystawie pokonkursowej 11. Biennale „Pejzaż ludzki” dedykowanego Józefowi Czapskiemu prezentowane są prace młodych twórców ze szkół plastycznych. Wkrótce jako dorośli ludzie będą nasz świat tworzyć, teraz przyglądają się mu, analizują, marzą. Rozwijają swoją osobowość, malując, pisząc, działając. Cechą młodości jest poszukiwanie przewodników i mistrzów. Takim mistrzem dla wielu jest Józef Czapski, dla niego natomiast mistrzami byli Matisse, Rouault, Soutine, Cézanne czy Bonnard. Oglądając obrazy młodych twórców, odnajdujemy ciągłość artystycznej wspólnoty.

Pałac Sztuki
Kraków, pl. Szczepański 4
do 6 stycznia

III Nagroda – Blanka Rudzka, PLSP im. Artura Grottgera w Supraślu, nauczyciel: Beata Wilczyńska.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

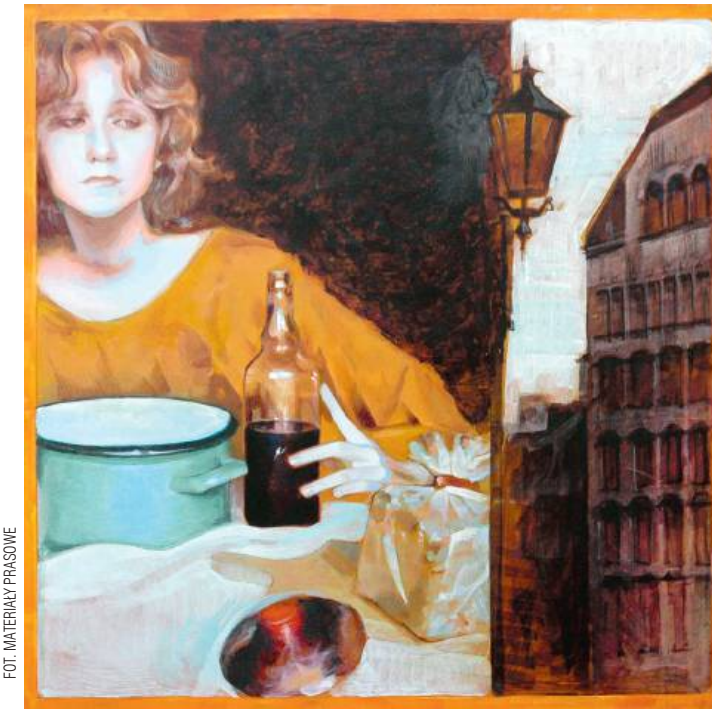

Nominowana do nagrody – Amelia Wojciechowska, PLSP im. Katarzyny Kobro w Zduńskiej Woli, nauczyciel: Marzena Sroczyńska-Gudajczyk.

eprasa.pl b9ab29a521

TEATR CAPITOL

Sylwester 2024/25

z najlepszymi komediami!

GDAŃSK • KRAKÓW • WARSZAWA • KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl •

Szukasz pomysłu na Świąteczny Prezent?

VOUCHER
TEATR CAPITOL

Zamów i dowiedz się więcej na:
www.teatrcapitol.pl/podaruj-capitalne-emocje

Patroni Medialni: RMF MAXX, onet, Rzeczpospolita, Tygodnik, Kobiety, ams, Familie.pl, Przegląd

Partnerzy Teatru: Gatta, Zapato, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, Strefa Music, mzo

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl b9ab29a521

powszechny

Teatr, który się wtrąca

Adamczyk
Artman
Bożek
Ilczuk
Leończyk
Leżoń
Mucha
Pieczyński
Rucińska
Sobik
Sowul
Stoczyński

premiera
19.12.2024

na podstawie dramatu
Williama Shakespeare'a

Opowieść zimowa

instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

opracja.pl